





Noc królewska

K 82/228  
400 -



NOC KRÓLEWSKA.

Noc królewska.

Zoo Krolowska

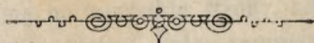
# NOC KRÓLEWSKA.

POWIEŚĆ

Z OSTATNICH LAT PANOWANIA STANISŁAWA AUGUSTA

PRZEZ

JANA ZACHARIASIEWICZA,



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79  
Tel. 26-68-63



WE LWOWIE I W POZNANIU.

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

1872.

MOG KRÓLEWSKA.

POWIEŚĆ

Z OSTATNICH LAT PANOWANIA STANISŁAWA AUGUSTA

WYDAŁ NACZELNIKOWI



525

Z drukarni narodowej W. Manieckiego we Lwowie.





## I.

**B**yło to roku 1792.

Nad wieczorem pięknego wiosennego dnia przyjechał do Warszawy podróżny i kazał siebie zawieźć do zajazdu zwanego Hôtel de Pologne.

Hôtel de Pologne, położony przy ulicy Senatorskiej, był podówczas jednym z najlepszych zajazdów.

Przybyły podróżny wszedł szparkim krokiem do bramy, a unikając ciekawości natrętnej służby, kazał sobie dać pokoik niedrogi w miejscu jak najwięcej zacisznym.

Służba zajazdu, widząc w przybyłym gościu chudeusza, rozpierzchła się na wszystkie strony, zostawiwszy na placu tylko osmolonego stróża, który zarzuciwszy tłumok podróżnego na plecy kazał temuż iść za sobą.

Za kilka chwil był już gość w swoim pokoiku, którego dwa okienka wychodziły na mur sąsiedniego domu. Rozpatrzywszy się w nim, zdjął starannie z siebie dużą torbę i na stole położył. Potem zajął się obejrzeniem drzwi i okien.

Zdaje się, że z jednych i drugich był zadowolony, bo z wypogodzonym obliczem usiadł na krześle i spokojnie zaczął czytać w pugilaresie.

Godziny upływały jedna po drugiej. O gościa, który wziął izdebkę jak najtańszą, wcale nie troszczyła się służba

zajazdu, przyzwyczajona do gości hałaśliwych i wybrednych, którzy za hałas i fumę dukatami płacili.

Tym sposobem miał podróżny spokój, jakiego pożądał. Nikt do niego nie przyszedł, nikt się nie zapytał, nikt mu jeść nie przyniósł. Ze swego tłumoka wyjął kawał zimnego mięsa i sztukę chleba, a spożywszy to z widocznym apetytem, popił jakimś likworem z nieprzezroczystej flaszki.

Po tym zaimprovizowanym obiedzie wziął znowu pugilares do ręki i czytał w nim aż do wieczora. A gdy zmrok wieczorny już mu nic czytać nie dozwolił, otworzył ostrożnie drzwi izdebki i cicho spuścił się wążkami schodami na dziedziniec, z którego szybkim krokiem wyszedł na ulicę.

Ulica Senatorska już dla własnego swego nazwiska należała wtedy do najpryncypalniejszych ulic stolicy. Był tutaj pałac Prymasa, dóm bankiera Blanka i kilka innych znakomitszych posesyj miejskich. Od rana do nocy turkotały tutaj wozy i powozy, a sąsiedni Marywil dostarczał do tego nie mało ruchu i hałasu. Był to bowiem najruchliwszy punkt całej ówczesnej Warszawy.

Podróżny z polskiego hotelu wmieszał się w tłum uliczny i długi czas tam i napowrót chodził, jakoby bez celu. Przypatrywał się ludziom i powozom, o ile na to zezwalały słabe światła, bijące z otwartych magazynów kupieckich.

Po niejakiem czasie zatrzymał się przy młodym, obdartym żydku, a dobywszy z kieszeni srebrny pieniądz zapytał o mieszkanie pana Bułhakowa.

Podczas gdy obdarty żydek z rozdziawioną gębą na pytającego patrzył — ozwał się za nim głos dźwięczny i donośny:

— Pełnomocny minister Moskwy, Jakub Iwanowicz Bułhaków, mieszka... ale mogę sam zaprowadzić!

Podróżny z polskiego hotelu spojrział zdziwiony na nieznanego, który nie pytany do niego przemówił, a nawet mu swoje usługi ofiarował.

Usłużny nieznamy był to młody mężczyzna zaledwie dwadzieścia kilka lat mający. Światło z narożnego, korzenego sklepu padało w tej chwili na jego twarz wyrazistą ciemnej cery. Z pod gęstych, czarnych brwi świeciły duże, ciemne oczy. Czarny wąs ocieniał mu usta i łączył się z lekkim zarostem brody. Miał na sobie ubior jakiś napół fantastyczny, przypominający częścią hiszpański a częścią włoski.

Podróżny zaważał się chwilę, jakby nie wiedział, co ma robić. Wkrótce jednak uklonił się uprzejmie i odparł:

— Bardzo będę Wpanu wdzięczny, jeżeli mi tę przysługę wyświadczysz!

Rzekłszy to schował dobyte pieniądze do kieszeni i obaj zwrócili się ku kolumnie Zygmunta.

Długi czas szli okok siebie w milczeniu. Zdawało się, że nawet jeden o drugim wcale nie myślał. Tylko gdy koło latarni-przechodzili, można było widzieć wyraźnie, że z pewną ciekawością zokosa na siebie patrzali.

— Wpan zapewne nie jesteś tutejszym, jeżeli nie wiesz, gdzie ambasador Moskwy mieszka — zapytał młody towarzysz — bo jakkolwiek tenże mieszkanie zmienił...

— Jestem handlarzem koni, z Łowicza — odparł zapytany — a właśnie podsłuchałem w gospodzie, że ambasador Moskwy poszukuje złoto-gniadej czwórki...

— Zapewne chce wystąpić okazale przy nadchodzącej uroczystości, która za kilka dni ma nastąpić.

— Uroczystości? Jakiej uroczystości?

— A cóż to waść z lasu przybywasz?.. Uroczystość obchodu trzeciego maja!

— A! trzeciego maja!... Prawda, że to pojutrze! Człowiek zajęty handelkiem i jarmarkami łatwo o tem zapomina!

Młody towarzysz spojrział zukosa na mówiącego i uśmiechnął się dziwnie. Posunął ręką po wąsach i mówił dalej:

— Gdybyś Wpan nie miał do czynienia z końskimi ogonami, tobym sądził, że jesteś z obozu hetmana lub generała artylerji, którzyby chcieli, abyśmy w naszym kalendarzu nigdy trzeciego maja nie mieli!

Zagadnięty w ten sposób odwrócił się szybko od światła latarni, koło której przechodzili. Po chwili odparł spokojnie:

— Sprawy publiczne są dobre dla ludzi, którzy na odziedziczonych fortunach wygodnie sobie żyją; ale kto na grosz ciężko pracować musi, ten na to nie ma czasu.

— Z tego widać, że Wpan nie jesteś szlachcicem, kiedy dla spraw Rzeczypospolitej czasu nie masz. To właśnie dlatego powinieneś tem więcej pamiętać o trzecim maju, który mieszczanom dał takie same prawie przywileje, jakich używa szlachta!

— Mówiłem waszmości, że mi o grosz chodzi, a nie o prawa głosu i sejmikowania! Niech inni uprawiają politykę!.. Czy daleko jeszcze do domu ambasadora?

— Widzę, że grosz moskiewski diabelnie Wpana kusi...

Tutaj zbliżyli się do małego pałacyku, którego dziedziniec otoczony był od ulicy kratą żelazną.

— Otóż mieszkanie Ipana Bułhakowa! Sprzedaj waść swój towar jak najdrożej, bo tu za wszystko dobrze płacą!

Po tych słowach wykręcił się młody towarzysz i z jakimś dziwnym śmiechem zniknął w ciemnościach nocy.

Pozostały podróżny długi czas stał przed żelazną bramą i patrzył w tę stronę, w którą odszedł dziwny jego przewodnik. Śród turkotu powozów słyszał jeszcze wyraźnie jego śmiech, słyszał echo szybkich kroków, które raz się oddalało i znowu zbliżało, jakby idący odchodził i znowu się wracał.

Po niejakiem czasie, gdy echo kroków już ustało, wziął za klamkę od bramy i ostrożnie wsunął się w ciemny dziedziniec.

W dziedzińcu nie było nigdzie ani światła ani służby. Zdawało się, że cały ten w głębi czerniący się dóm jest pustką. W żadnem oknie nie świeciło się, znikąd nie było słyhać żadnego głosu żywego człowieka. W zupełnej ciemności nie można było dopatrzeć się żadnych drzwi, żadnego wejścia.

Przybyły gość długi czas chodził po omacku wszcz i wzdłuż dziedzińca. Nigdzie nie spotkał ani żywej duszy. Wszędzie cicho i pusto, jakby wszyscy ludzie tutaj wymarli. Żaden nawet szmer nie przerwał tej grobowej ciszy.

Trwało to czas niejaki. Podróżny już chciał napowrót do bramy się udać, aby na ulicy szukać jakiego sposobu dojścia do tego zakłętego domu, gdy z ciemnej framugi muru ruszyły ku niemu dwie olbrzymie postacie, które dotąd śród ciemności za karyatydy uważał. I zanim jeszcze zdołał z jakiegoś dziwnego przestachu przyjść do siebie, uczuł na szyi jakby dwie ściskające żelazne obręcze, które mu żadnego głosu z gardła wydobyć nie dały. Wkrótce

opuściła go przytomność, i już dalej nie wiedział, co się z nim działo.

Gdy przyszedł do siebie, obaczył kilkunastu wysokich drabów, którzy ciekawie w niego się wpatrywali. Po za plecami tego dziwnego towarzystwa rysowały się ściany i sklepienie obszernej izby, oświetlonej wysoko płonącym kagańcem. Na środku izby stał stół prosty, na którym leżały kości do gry obok potłuczonych szklanek i poszczerbionych misek.

— Tam do kata! — zawołał zdziwiony takim przyjęciem podróżny — czy to w ten sposób dostają się gości do pełnomocnego ministra wielkiej Imperatorowej?

— Gości ministra znają doskonale drogi, jakimi idzie się do niego — odpowiedział najokazalszy z drabów — a Wpan błąkałeś się po dziedzińcu jak ślepy!.. Czy masz waszmość jaką cedułkę?

Zapytany wyjął z pugilaresu małą kartkę i przesunął ją przed oczyma mówiącego.

— Dobrze — odpowiedział tenże — chodźcie za mną.

Na te słowa wróciło całe towarzystwo do kości rozrzuconych na stole, a przybyły podróżny poszedł za swoim przewodnikiem.

## II.

Mimo pozornej na zewnątrz ciszy dóm pełnomocnego ministra wielkiej Imperatorowej był wewnątrz dosyć ożywiony. Po kurytarzach snuła się służba, wypełniając w milczeniu dane rozkazy. Jedni roznosili talerze i butelki, inni stali nieruchomi przy drzwiach jak posągi z kamienia. Tylko błyszczące oczy, obracające się na wszystkie strony, okazywały, że te posągi żyły.

Kiedy gość tajemniczy wraz z przewodnikiem wszedł na kurytarz pierwszego piętra, ozwał się dzwonek z przeciwległej strony. Na odgłos tego dzwonka wybiegł z bocznych drzwi ubrany z francuzka, średniego wieku człowiek z twarzą gładko ogoloną, i przewodnikowi dał znak ręką, aby dalej nie szedł. Na ten znak chwycił przewodnik swego towarzysza za ramię i pociągnął go ku najbliższym drzwiom, które starannie zamknął za sobą.

Tymczasem człowiek z ogoloną twarzą pobiegł ku stronie, z której dzwonek dał się słyszyć, odryglował drzwi i wchodzącego powitał niskim ukłonem.

Nowy gość był wysokiego wzrostu, twarzy wyrazistej, dosyć zaokrąglonej z peruką na głowie. Na barkach miał płaszcz szeroki, który mu połowę twarzy zasłaniał.

Kamerdyner zostawiwszy go na kurytarzu pobiegł szybko do gabinetu ambasadora.

Była to obszerna komnata zapełniona różnymi sprzętami, między którymi najwięcej uderzały trzy biórka dosyć prostej, ale nadzwyczaj mocnej struktury. Jedno stało między dwoma oknami, a przy niem siedział człowiek średniego wzrostu, twarzy nijakiego koloru. Nie był ani czerwony ani blady, ale mimo to widać było na tej twarzy wiele życia i przebytej pracy. Szorstkie, do góry wzniesione brwi okazywały umysł czynny. Małe, ukośnie wykrojone oczy świeciły się jak dwa robaczki świętojańskie. Twarz miał zwiędłą, usta na dół obwisłe były w ustawicznym ruchu, jakby coś mówił do siebie. Zdawało się, że tym ruchem wypowiada myśli swoje, które rodziły się pod jego czaszką spłaszczoną.

Był właśnie zatopiony w czytaniu jakiegoś pisma, gdy u drzwi pojawił się kamerdyner.

Podniósł głowę i spojrzał na niego z zapytaniem.

— Marszałek nadworny, Raczyński! — ozwał się kamerdyner wyprostowany.

— Wpuścić! — odparł ambasador i przykrył papiery

Za chwilę wszedł gość do komnaty.

— Z jakąż nowiną mości marszałku? — zapytał wchodzącego podsuwając mu krzesło.

— Nic dobrego, mości ministrze — odparł zapytany — zawsze jedno i to samo. Zdaje mi się, że naciąga wielka burza.

— Dajmy pokój wielkiej polityce; lepiej powiedz mi, mości marszałku, coś z naszych ulubionych ploteczek miejskich! Cóż robi Niemcewicz... pani Lucchesini była wczoraj w fatalnym humorze. Nie stawiał się u kasztelanowej...

— Czytał wczoraj u Sołtyków swego „Kazimierza Wielkiego“, którego przedstawiają na scenie w dniu trzeciego maja.



— Niedorzeczne agitacye!.. Cóż tam jest w tym „Kazimierzu Wielkim“!

— Jest bardzo wiele patryotycznych aluzyi do dzisiejszej sytuacji Rzeczypospolitej!

— Coś zapewnie o Moskalach!

— Tak... wprost nie mówi o nich, ale wyraźnie palcem wskazuje. Między innymi powiada w jednym miejscu: „Jeżeli ci się nasze ustawy nie podobają, to jedź gdzie chcesz, lecz nie radzę ci poduszczać cudzoziemców przeciw swoim“!..

— Czy to ma być do generała artyleryi?..

— Kazimierz mówi to do magnata p.

— Cóż więcej?

— Potem dalej mówi: „Chociażem stary, choć ze siwą głową, pójdę z dobrymi Polakami, i albo trupem padnę, albo zostawię Polskę szanowaną i niepodległą“!..

— Poseł Inflancki, jak widzę, chce być koniecznie Szekspirem polskim! Trudno jednak, aby tego dopiął. Lepszym jest kochankiem niżeli pisarzem!.. Czy pani Lucchesini —

— Á propos Lucchesini bardzo się o coś niepokoi. Wczoraj wysłał kuryera do Berlina. Otrzymał listy bezimienne, aby przy obchodzie trzeciego maja iluminował okna!

— To znaczy aprobować rewolucyą! Czemże bowiem jest uchwała sejmu trzeciego maja, jeżeli nie rewolucyą?

— Lucchesini zdaje się wahać w swoich zapatrywaniach się. Wczoraj mówił do Niemcewicza po tajnem posiedzeniu sejmu: *Qu'il avait toujours dit d'être modéré avec la Russie, qu'il n'a jamais aimé à allumer le feu ni à mettre la discorde..*

— Piatoli zaczyna wpływać na niego przez posła Inflanckiego. Wzorowy małżonek!

— Piatoli rozmawiał wczoraj z królem o ewentualności wojny i wyraził się w ten sposób: Jeżeli Prusy rozpoczną wojnę z Francuzami... la Russie profitera de ce moment pour fondre sur nous... Ale jeżeli w Niemczech nie będzie wojny, to nam dadzą pokój.

Bułhaków na te słowa zamyślił się.

— A cóż słyhać o posiedzeniach „Straży“? — zapytał po chwili.

— Pracują dzień i noc, jakby jutro do wojny przyjsć miało. Armię chcą dokompletować do stu tysięcy. Zawezwano jenerałów z zagranicy... Marszałek litewski Sapieha wniósł na posiedzeniu Straży, aby hetmana Branickiego z Petersburga odwołać i nie dać mu więcej frysztu. Obawia się, że hetman uczyni tam coś, co jemu jako siostrzeńcowi może przynieść zakałę na całe życie!

Długo jeszcze rozmawiał ambasador z marszałkiem nadwornym o różnych, jak się grzecznie wyrażał, ploteczkach stolicy, gdy wreszcie spojrzawszy na zegarek dał mu poznać, że już tych nowin ma dosyć.

Zrozumiał to marszałek, a odkrząknąwszy kilka razy— odezwał się:

— Prosiłbym poręczenia ministra... Bankier Tepper niepokoi mnie pewnym długiem, który byłem zmuszony zaciągnąć u niego...

— Wszak pensją doręczyłem ci niedawno, mości marszałku! — odparł z cynicznym uśmiechem ambasador.

Marszałek króla poczerwieniał.

— Prosiłem tylko o zareczenie — wyszeptał z cicha.

Bułhaków zaruszał obwisłemi ustami, ale nic na to nie odpowiedział. Wziął ćwiartkę papieru, napisał kilka

słów i wręczył marszałkowi królewskiemu, który zgiąwszy się we dwoje nisko się skłonił.

Bułhaków był już do niego obrócony plecyma.

— À propos — ozwał się do odchodzącego marszałka — przypomnij tam Wpan Szwejkowskiemu komisarzowi wojskowemu i dyrektorowi poczty Sartoriusowi, że już dawno ich nie widziałem!.

Rzekłszy to zadzwonił na kamerdynera i dał mu znak ręką, aby marszałka na dół sprowadził.

Zaledwie przy biurku usiadł i papiery napowrót wziął do ręki, gdy kamerdyner znowu u progu się pojawił.

— Parendier! — zawołał — z pewnem znużeniem.

Mimo licznych odwiedzin nie podzielał jednak Bułhaków znużenia swego kamerdynera. Nazwisko nowego gościa zelektryzowało go nawet. Małe jego oczka rozśmiały się, jak gdyby do kochanki.

Parendier Francuz z rodu i wychowania był sekretarzem ministra marszałka Ignacego Potockiego, w którego rękach były klucze wszystkich spraw Rzeczypospolitej.

To też szparko poskoczył ambasador do Francuza, uściskał go za rękę i poufale go przy sobie posadził.

— Czy masz pan depesze, o które prosiłem? — zapytał.

Parendier uśmiechnął się i wyjął z pod fraka gruby pakiet. Złożywszy go przed ambasadorem, rzekł do niego.

— Najtrudniej było mi z podkanclerzym Chreptowiczem. Depesze swoje chowa pod trzema zamkami! Ale przecież udało mi się!..

Bułhaków przerzucił spiesznie kopie depesz i przeczytał z nich kilka. Potem wstał, otworzył szufladkę i wyjął rulon, który podał Francuzowi bez wszelkiej osłody,

jak się zazwyczaj podaje zapłatę rzemieślnikowi za dostarczoną robotę.

Francuz skłonił się, rulon schował i w dodatku do dostarczonych depesz tajemnych opowiadał ambasadorowi różne „ploteczki“ o swoim pryncypale, marszałku Ignacym Potockim, co wczoraj mówił, robił i pisał.

Teraz dopiero po odejściu Francuza przyszła kolej na nieznanego gościa, który z przywodnikiem swoim czekał w odległej komnacie.

— A! jak się masz... mości starosto! — zawołał ambasador przeczytawszy kartkę, podaną przez przewodnika.

— Starosto? — powtórzył z zadziwieniem gość przybyły.

— Tak jest!.. Miło mi, że pierwszy mogę Wpana tem mianem powitać!.. Postarałem się moim wpływem, aby ludzie służący szczerze Rzeczypospolitej, a nie chcący jej zbawiać żadną rewolucją, jaką jest uchwała sejmu z trzeciego maja, byli za służbę swoją dobrze wynagrodzeni. Dzięki Bogu, że w narodzie jest wiele ludzi a nawet dygnitarzy, którzy podobnie myślą jak Wpan, mości starosto!.. Czy prosto Wpan jedziesz z Petersburga?

— Prosto! — odparł nowokreowany starosta.

— Cóż tam hetman Branicki? A generał artylerji Szczęsny Potocki?.. Toż Wpan nic nie słyszałeś o swoim starostwie? Może z kancelaryi jeszcze nie wyszło...

Mówiąc to poszedł ambasador ku drzwiom i zamknął je na klucz. Kamerdyner kilka razy zlekka brał za kłamekę, lecz widząc, że drzwi zamknięte, odchodził napowrót. Tego dnia nie wprowadził już do ambasadora żadnego gościa.

Ambasador długo w noc konferował przy drzwiach zamkniętych z nowokreowanym starostą.

### III.

Tego samego wieczora przy Nowym Świecie w obszernych komnatach na pierwszym pięttrze odbywało się dziwne posiedzenie.

Dwa duże salony napełnione były samemi kobietami, czyli wyrażając się przyzwoiciej damami.

Było to szczególne i nader malownicze towarzystwo. Wkoło dużego, palisandrowego stołu siedziało kilkanaście najpiękniejszych, z nadzwyczajną elegancją ubranych kobiet. Rozmaitość kolorów wyobrażała jakoby misterny węzeł utworzony z szerokiej wstęgi tęczy. Wysoko nastroszone włosy, posypane białym, złotym lub srebrnym pudrem, przypominały owe lekkie majowe chmurki, mieniące się za każdym poruszeniem promieni słońca. I jak w dniach gorącego maja nie trudno o grzmot i błyskawice, tak też i zpod tych kunsztownych fryzur błyskały nieraz ogniste wężyki, a z ust koralowych wydobywały się gromowe pociski, godne wszechwładnej prawicy gromowładnego Jowisza!..

I jakież znaczenie miał ten szczególny w swoim rodzaju sejm niewieści?

Było to zgromadzenie tak zwanych: nieprzejednanych spiskowych.

Obeznany z historią różnych tajemnych spisków mogłoby się zdawać, że to zgromadzenie znakomitych

matron polskich, noszących nazwiska zaszczytnie w krwawych dziejach Polski znane, ma przynajmniej na celu oswobodzenie ojczyzny od czyhających na nią nieprzyjaciół. Również możnaby wnosić, że spokrewniona z pierwszymi rodami Rzeczypospolitej gospodyni domu IMpani starościna Adelaida zwołała towarzyszek swoje, aby w ciężkiej dobie kraju naradzać się z nimi nad poprawą obyczajów, reformą ubiorów zbytkowych i życia domowego, którego dawna poczciwa tradycja już do szczętu zaginęła!.. A może też zgromadzenie najpiękniejszych kobiet Warszawy zamysłała w tej chwili przy nadchodzącej prawdopodobnej wojnie z Moskwą złożyć na ołtarzu ojczyzny wszystkie klejnoty swoje i związać się przysięgą bronięcia praw i honoru upadającej Rzeczypospolitej, która wydała Chrzanowskę z Trembowli?..

Wszystkie te przypuszczenia byłyby zupełnie mylne.

Zgromadzone u IMpani starościny Adelaidy matrony polskie należą wprawdzie do tak zwanego spisku nieprzedjednanych, ale założenie i historia tego spisku Sarmatek polskich jest zupełnie inna, jakby to z historii spisków wnosić można było.

Powstanie tego spisku było następujące:

Wiadomo, że sejm uchwalił zeszłego roku przynależność starostw wyłącznie Rzeczypospolitej. Dobra te stały się przez tę uchwałę sejmu majątkiem narodu, którym król nie mógł dowolnie szafować. Uchwała sejmu, czyli tak zwana konstytucya trzeciego maja, zatwierdziła to zapatrywanie się. Wprawdzie użyto do przeprowadzenia tej drażliwej uchwały o starostwach różnych środków i

środeczków, mimoto uchwała stała się uchwałą, do której nawet malkontentom potrzeba się było zastosować.

Nie tak jednak myślały matrony spadłych z etatu starostów. *Liberum veto* bowiem, wynalezione i praktykowane przez polskie sejmy, jest własnością i prerogatywą wszystkich kobiet pod słońcem, nie wyjmując Chin i Nowej Zelandyi. O obowiązkach mniejszości względem większości parlamentarnej nie można mówić żadnej kobiecie, a tem mniej, jeżeli ta kobieta jest piękną.

Polskie damy z owej epoki były prawie wszystkie piękne, to jest, prawie wszystkie miały twarze malowane, włosy przyprawiane i bogate ubiory. Uchwała zaś sejmu odbierała im połowę piękności, to jest, dzierzawione przez mężów starostwa z pańszczyzną i suchą intratą!..

To też bardzo prostym sposobem, po tej pamiętnej w dziejach Polski uchwale, przeszły na stronę ambasadora Moskwy, który we wszystkich urzędowych swoich aktach uchwałę z trzeciego maja nazywał rewolucją. A że każda rewolucya jest wstrętną istotom tkliwym i uczciwym, tóż małżonki niezdarnych posłów sejmowych zawiązały między sobą spisek, który miał na celu przeciw jednej dokonanej rewolucyi wzniecić drugą, jako kontrrewolucją, której wybuch miał nastąpić w samą wilią nowego roku 1792.

W dniu tym zwykł był król zgromadzać na swoich pokojach wszystkie najpiękniejsze kobiety Warszawy i Rzeczypospolitej. Był on bowiem nie tylko panującym monarchą, ale kochankiem idealnym wszystkich pięknych panien, wdów i mężatek. Otoczony takim wieńcem czuł się może szczęśliwszym, rozumniejszym i potężniejszym. U progu każdego nowego roku pokrzepiał się takim wi-

dokiem na nadchodzące burze Rzeczypospolitej. Pod ożywym ogniem tylu pięknych oczu, pod wrażeniem tych słodkich, tęsknych, złośliwych i zabójczych wejrzeń niknęły z jego serca złowrogie obawy o przyszłe losy kraju, a jutrzienka nowego roku uśmiechała się do niego z rogiem obfitości tego wszystkiego, czego sobie życzył..

Wilia nowego roku była dla Stanisława Augusta nadzwyczajną uroczystością, do której bardzo wielką wagę przywiązywał. Według tej uroczystości prorokował sobie dzieje przyszłego roku tak swego jak i Rzeczypospolitej żywota.

Otóż spisek nieprzejednanych matron polskich wybrał ten dzień do wybuchu rewolucyi, aby tym sposobem króla od nierozsądnych uchwał sejmowych odwrócić, a jeżeli to się nie uda, to przynajmniej zamglić mu horoskop życia na cały rok!..

Zebrane u starościny Adelaidy żony niezdarnych posłów sejmowych i starostów, którzy stosownie do uchwały sejmu starostwa swoje jako majątek Rzeczypospolitej zwrócić musieli, uchwały jednogłośnie, aby żadna dama polska tego wieczora nie považyła się okazać na pokojach królewskich.

Był to pierwszy wzór praktykującej się dzisiaj w parlamentach europejskich polityki abstynencyi.

I abstynencya była zupełną.

Była już godzina jedenasta. Komnaty królewskie gorzały tysiącem światel. Kilku szambelanów snuło się niecierpliwie nadsłuchując przy oknach, czy nie usłyszą turkocących powozów... ale wszystko napróżno! Szambelan Trembecki ułożył nawet w bezczynnem oczekiwaniu jakiś wiersz o kilkunastu zwrotkach, z których kilka tubalnym



głosem swoim Chreptowiczowi do ucha wygłosił... a dam jak nie ma tak nie ma!

Wreszcie o pół do dwunastej zjawił się król. Na czole jego osiadła chmura. Konstelacya nowego roku okazywała burze, kłopoty, zmartwienia!

— Cóż to jest? — zapytał Mniszcha, który zakłopotany stał opodal.

— Spisek, mości królu! — odparł Ignacy Potocki za Mniszcha.

— Tylko nie Jakubinów! — dodał z ironicznym uśmiechem Kołłątaj, patrząc na przestraszonego Mniszcha.

— Tak jest, spisek, najjaśniejszy panie — mówił dalej Ignacy Potocki — ale spisek tem niebezpieczniejszy, że do niego należą nasze najpiękniejsze damy!

— A to gorsza — dodał Sołtyk — że spiskują razem z Moskalami!

Twarz króla, na której malowało się każde, najmniejsze wrażenie, zasępiła się smutkiem i boleścią zawiedzionych nadziei.

— Nie pojmuję dzisiaj słów waszych! — odparł smutno spuszczać oczy na ziemię.

— Przecież Bułhaków z tem się nie tai — podjął Sołtyk — że uchwała nasza z trzeciego maja jest rewolucją, która Rzeczpospolitę zgubi. Otóż w tym względzie z ambasadorem Imperatorowej zgadzają się nasze piękne damy utrzymując, że sejm tylko na zgubę kraju tę konstytucyą wynalazł!.. Ona bowiem odbierając mężom starostwa intratne, pozbawia je środków okazywania się na pokojach królewskich! In de ira!

— Dawnymi czaśy, miłościwy królu — ozwał się litewskim



akcentem wysoki szlachcic z podgoloną głową — dawnymi czasy matrony polskie przędły dla nas koszule, abyśmy wróciwszy z boju mieli się w co przebrać. Dzisiaj nauczone je wykwiłtnie się ubierać, błaznować po salonach, wysiadynać po teatrach... Nie dziw więc, że cały ich patryotyzm zasada się teraz na kosztownych gałgankach, którymi błyszczeć muszą! Kto im te gałganki odbiera, jest ich wrogiem, czy to król, czy mąż-poseł, głosujący za zbawieniem ojczyzny!..

Król skrzywił się na te harangę litewskiego szlachcica i odwrócił, aby skarcić Hulewicza za jego ostatnią mowę w sejmie.

W tej chwili na szczęście tłumacza Owidiusza zaszeleściły jedwabie, a kilka dam okazało się na progu.

Panująca księżna Kurlandzka i pani Krakowska! — szepnął szambelan Trembecki do Niemcewicza.

Aha! — zawołał śmiejąc się poseł Inflancki — już teraz wiem, dlaczego nasze piękne damy nie przyszły!

— Ciekawy jestem, jak to tłumaczy pani Lucchesini — z ironicznym uśmiechem zapytał poeta szambelan.

— Mówią, że król kocha się w księżnej! — odparł dobroduszny poseł-poeta.

— Pani Lucchesini ma złe informacye... I cóż ztąd?

— Co ztąd?... Panie nasze przez zazdrość nie przyszły!

— Les absents ont tort! Któraż kobieta zostawia swobodnie pole rywalce?

— Można daleko więcej działać nieobecnością!

— Dlaczego tej maksymy do siebie nie zastosujesz!

Poseł inflancki nie miał ochoty znosić dłużej uszczy-

pliwych słów poety szambelana. Odwrócił się szybko i zginął w tłumie posłów.

Rozmowa o spisku kobiet zaczęła wszystkich rozweselać, prócz Litwina z podgoloną czupryną, który w tym spisku coś innego upatrywał. Widział on w nim upadek cnót dawnych, i zupełne zniszczenie wychowania kobiety, która za czasów panowania Stanisława Augusta stała się tylko zgrabnie i artystycznie pomalowaną lalką gipsową.

Rozbierano także rzucony przez posła Inflantskiego afekt króla dla księżnej Kurlandskiej, i opowiadano na ten rachunek różne sceny z generałową Grabowską, której tolerancją i pobłażaniem dla słabostek ukorowanego kochanka wynoszono pod niebiosa.

— Czyż pani Julia do spisku należy? — zapytał Sołtyk z uśmiechem swego przyjaciela, Ignacego Potockiego.

— Julia przyjdzie — odparł tenże — tylko wymożono na niej, aby wzięła na siebie perkalikową sukienkę.

— Gdyby podobna demonstracya stała się zwyczajem — odparł Sołtyk i pobiegł szybko ku drzwiom, bo w przedpokoju zaświeciły się właśnie, jak dwie olbrzymie gwiazdy, oczy pani Julii.

Któż nie zna tych dziwnych, czarujących oczu?

Julia Potocka była najpiękniejszą damą ówczesnego wielkiego świata warszawskiego. Czarowała ona wszystkich swoją postacią, ruchami, tańcem a nadewszystko temi dużemi czarnemi oczyma, przy których nie potrzeba było żadnej mowy, bo one same o wszystkim mówiły!.. Julia Potocka należała do owych nadzwyczajnych zjawisk, które jak dobrotoczne gwiazdy przynoszą strapionym i smutnym pociechę i ukojenie. Osobliwie król radbył ją widzieć i

wtedy upojony szczęściem wpatrywał się w jej oczy, jakby ztamtąd pił słodycz niewysłowioną. Siostra króla, pani Krakowska, jeżeli chciała dostojnego swego brata z pojawiającej się u niego coraz częściej melancholii wyrwać, i rozweselić, wtedy prowadziła go do księcia Wojewody, obiecując mu, że Julia tańczyć będzie. Taniec Julii był dla króla nader skuteczną medycyną na jego troski i umartwienia.

Zaledwie Sołtyk do drzwi się zbliżył, aby gwiazdę dzisiejszego wieczora przed króla wprowadzić i tym sposobem blask obcego klejnotu, jakim była księżna Kurlandska, należycie przyćmić, gdy skromnie w białą sukienkę ubrana Julia, przestraszona śmiechami mężczyzn, prędko się cofnęła i na skrócie schodów znikła.

— Klejnoty nasze nikną — ozwał się poseł Krakowski do Ignacego Potockiego — a tymczasem w kraju i na dzisiejszym wieczorze przyświecają nam tylko słońca cudzoziemskie!

— Z wyjątkiem księdza Piatolego — odparł Ignacy Potocki, ściskając rękę nowego gościa — który sercem i duszą jest najprawdziwszym Polakiem!

Tak być powinno — odparł z uśmiechem ksiądz Piatoli — jeżeli dawnego rodu Polacy przechodzą do obozu obcych, to inni, obcy ludzie powinni ich stanowisko zająć i być na niem tem, czem tamci być byli powinni! To się zwykle na świecie powtarza.

— Ba, ale cóż robić, jeżeli to samo dzieje się z kobietami? — wtrącił dowcipkujący szambelan-poeta.

— Z kobietami? — powtórzył ksiądz Piatoli, i powiódł okiem po pustej sali.

— Wszystkie przeszły do Bułhakowa... z powodu ustawy, która mężom odebrała starostwa!

— To mnie mocniej zasmuca, niżeli dzisiejsze depesze, które mi Podkanclerz Chreptowicz przeczytał! — odpowiedział smutno Piatoli. — Utinam sim falsus vates!.. Od kobiet poczyna się upadek każdego narodu!

Na te słowa, wymówione z jakimś przykrem uczuciem, posmutnieli wszyscy, a nawet wesołe koncepty szambelana-poety nie mogły stojącej grupy rozweselić. Nawet i w dalszych grupach zapanowała w tej chwili jakaś cisza poważna.

Zegar na marmurowym kominku wybił godzinę dwunastą.

Rok 1792 miał bardzo smutny horoskop.

#### IV.

Od tej paniętnej wili nowego roku upłynęły już cztery miesiące. Wprawdzie zagorzałe spiskowe panie przysięgły wytrwać w uchwalonej abstynencji aż do końca życia, jeżeli król i sejm wprzód do rozumu nieprzyjdą; ale mój ty miły Boże, cóż jest trwałego pod słońcem, a tem bardziej przysięga kobiety?...

Otóż zaraz przy pierwszych okazalszych festynach dworskich zaczęło się zbiegostwo z szeregu spiskowych. Z początku rzucano klątwy na odbiegające od chorągwi, prześladowano obmową, dręczono różnemi miłosnemi intrygami niebaczne apostatki, ale z każdym tygodniem, z każdym balem świetniejszym przeredzały się szeregi tych, które w szlachetnym zapale przysięgły wierność i posłuszeństwo aż do deski grobowej!..

Mimo licznego zbiegostwa pozostał jednak dosyć liczny zastęp nieprzejednanych, których ani blask dworu, ani czarujące oczy xięcia Józefa do złamania przysięgi skusić nie zdołały.

Był to zastęp istnych Spartanek, gotowych dla raz założonego celu wszystko poświęcić, wszystko, co tylko niegdyś dla ich matek i babek było najdroższem w życiu. Król, sejm, Rzeczpospolita, ustawa trzeciego maja, wszystko to było dla nich nieprzyjacielskim obozem, przeciw

któremu walczyć miały wszystkimi siłami, głową i wdziękiem.

Pierwszą bolesną ofiarą tej walki prawdziwie domowej byli mężowie tych zacnych dam, którzy mieli ten zaszczyt głosami swymi poselskimi przyczynić się do uchwały o nieszczęsnych starostwach. Od owego dnia pamiętnego stracili pokój domowy, stracili przyjaźń dozgonnych przyjaciółek, a natomiast sprowadzili sobie do domu wraz z protokołem posiedzenia sejmowego istne piekło! Nic nie pomogły perswazye, nie pomogły żadne tłumaczenia się, chociaż wielu z nich było w tym względzie zupełnie bez winy.

W przededniu bowiem owej pamiętnej uchwały o starostwach wpadł jakiś sprytny patryota na szczególny koncept. Sprawa o starostwa była nader trudną sprawą. Na poufnem posiedzeniu u Ignacego Potockiego policzono głosy i zwątpiono o uchwale jutrzejszej. Zrzec się dobrowolnie posiadane starostwa przechodziło siły i patryotyzm niejednego ojca ojczyzny. Nawet X. Piatoli, który w takim razie zawsze miał jakiś środek w zanadrzu dla ratowania upadającej Rzeczypospolitej, nie widział tutaj żadnego ratunku.

Na co jednak rozum stanu uczonego doradcy korony zdobyć się nie mógł, na to zdobył się jakiś domorodny polityk i dyplomata, którego nazwiska, jak nazwiska najpierwszych bohaterów ludzkości, nie podała historia pamięci potomnych.

Oto zaprosił ktoś posłów sejmowych na świeże ostrygi i wino francuzkie z niektórymi jeszcze dodatkami.

Ostrygi i wino francuzkie były podówczas w modzie w domach wykwintnych, jak rzecz nader droga i osobliwa. Ostrygi bowiem przy braku kolei żelaznych sprowadzane

były nadzwyczajnym kosztem, i rzadko kiedy doszły zdrowe i świeże do stolicy Rzeczypospolitej.

Otóż rezultat tej lukulusowej uczty z ostrygami był taki, że nazajutrz na posiedzeniu sejmowem większa część krzeseł poselskich była próżna, a fatalna ustawa o starostwach została uchwaloną. A uderzało wszystkich, że na tem posiedzeniu brakło tylko tych posłów, którzy znani byli z nieubłaganej opozycji swojej przeciw wnioskowi o starostwach!..

Istny ten przypadek, który wytłumaczono jako skutek owej biesiady z ostrygami, nie uniewinnił bynajmniej biednych małżonków wobec trubunałów domowych. Ile ztąd było łez i umartwień, ile rozwodów i jeszcze gorszych scen domowych, o tem wiadomo tylko Bogu i tym, którzy byli niezasłużoną ofiarą zawsze ślepego losu...

Dzisiaj spisek nieprzejednanych był jeszcze dosyć liczny. W ostatnich tygodniach, w których na pokojach zamkowych żadnych świetniejszych wieczorów nie było, nawróciło się wiele apostatek, które teraz były tem nieubłagańsze, im więcej za popełnione chwilowe odstępstwo potrzeba było czemś odpłacić się spiskowym.

To też bogate salony starościny Adelaidy były dzisiaj napełnione najpiękniejszymi amazonkami, które zgromadziły się, aby w obronie swoich wdzięków powziąć daleko sięgającą uchwałę...

Za dwa dni miano w Warszawie obchodzić z wielką uroczystością dzień trzeciego maja.

Obchód ten miał mieć wielkie polityczne znaczenie. Dzień ten bowiem przypominał wielką epokę w dziejach Rzeczypospolitej, bo uchwałę konstytucyi.



Znajome są dzieje i skutki tej wiekopomnej uchwały.

Konstytucya trzeciego maja była przełomem, z którego trysnąć miała nowa siła w spróchniały organizm narodu.

Różnie jednak zapatrywano się na to wielkie dzieło sejmu. Jedni uważali je poprostu za zamach stanu, który nowy porządek rzeczy ze szkodą starego chciał w kraju zaprowadzić. Wyłączne przywileje szlachty upadły, czy raczej rozszerzyły się na pozbawione dotąd tych praw niższe warstwy narodu. A stało się to widocznie z uszczerbkiem pierwszej, która lękała się o swoje synekury.

To też w zastępie wyższej szlachty powstała nieubłagana opozycja przeciw uchwale trzeciego maja, która jawnie i skrycie przeciw niej agitowała, nie przebierając nawet w środkach, które imię patrioty słusznie hańbiły.

Wrogami tejże konstytucyi nowej były także mocarstwa ościenne, które się Polską dzieliły, chociaż niektóre z nich w pierwszej chwili dosyć życzliwie o niej się wyrażały przez swoich ambasadorów.

Otwartym nieprzyjacielem tej ustawy była Rosya. Pełnomocnicy jej bez ogródki nazwali ją rewolucją, i grozili za nią krajowi zasłużoną karą.

W takim stanie rzeczy upłynął rok cały. Kraj podzielił się na obozy, które gotowały się z sobą do śmiertelnej walki.

Obóz przeciwników konstytucyi był wprawdzie nieliczny, ale za to możny wpływem i zasobami, jakimi rozporządzał. Przeciw nim dotąd stał król i naród cały, czy jak powszechnie mówiono: król z narodem, naród z królem.

Rocznica więc tej konstytucyi była dniem wielkiej

wagi. Naród miał w tym dniu okazać, czem ona dla niego była. Dla tego wszystkie stronnictwa skupiły swe siły na ten dzień potrzebne, jedne aby konstytucyą utwierdzić, inne, aby ją obalić. Nieprzyjaźne wszelkiej naprawie Rzeczypospolitej mocarstwa skorzystały nader zręcznie z tych stronnictw, aby odrodzenie się kraju udaremnić.

Zgromadzenie u starościny Adelaidy miało także przyczynić się do manifestacyi w tym dniu przeciw konstytucyi, która intratne starostwa na rzecz majątku Rzeczypospolitej z prywatnych rąk poodbierała.

Starościna Adelaida nie była już pierwszej młodości. Tylko nadzwyczajna sztuka, połączona z niemałym kosztem, mogła jeszcze niknącym wdziękom nadać jaki taki urok. To też uchwała sejmu, która jej mężowi trzy starostwa odebrała, dotknęła ją bardzo boleśnie. Brylanty, koronki, lugduńskie jedwabie, któremi ostatek młodości swojej podtrzymywała, stały się teraz dla niej owocem, jeżeli niezupełnie zakazanym, to nader rzadkim i drogim.

— Zważcie tylko — mówiła tragicznym głosem — co się dalej stanie! Z lepszych czasów mamy jeszcze wprowadzić klejnoty i szaty, ale te wtedy coś znaczyły, jeżeli niemi wianowano córki i wnuczki. Dzisiaj niemodne brylanty i zeszloroczne szaty dopisują dziesiątki lat do naszego wieku, a czemże jest kobieta, jeżeli nie ma uroku mody i tego, co ona sprawia — młodości?

— Wszystkiemu winna owa konstytucya — ozwała się szambelanowa, prześliczna brunetka — i pojąć tylko nie mogę, dlaczego kraj nią się tak cieszy! Czyżto zbawi Rzeczpospolitą, że mieszczanki będą z nami razem w ławkach kościelnych siedzieć? *Fi don c!* Należy więc uradzić, jak

się podczas obchodu tego nieszczęsnego trzeciego maja zachować mamy.

Tutaj powstały najrozmaitsze spory, których w żaden sposób zarejestrować nie można. Dziesięć dam mówiło naraz, każda chciała, aby jej zdanie przyjęto.

Z tego parlamentarnego chaosu tyle tylko zapisać można, że jedne były za manifestacją spokojną i nader uroczystą. Cały związek nieprzejednanych miał włożyć na siebie czarne, kaszmirowe szaty, głowy popiołem czyli popielatym pudrem posypać, i w ściśnionych szeregach przed królem w grobowem milczeniu tragicznym krokiem postępować. Wniosek ten jednak nie utrzymał się, a to z tego prostego powodu, że czarny kolor nie wszystkim był do twarzy!

Drugi wniosek radził zupełną abstynencyą od uroczystości tego dnia nieszczęsnego. Wszystkie okna spiskowych miały być szczelnie zasłonięte, a żadna z nich pod klątwą ekumunikiacyi nie powinna się na ulicy okazać..

Wniosek ten trafił także na opozycyą. W dniu tym było tyle rzeczy do widzenia, tyle ciekawych można było zrobić spostrzeżeń, tyle twarzy pięknych obaczyć, że niepodobnabyło zamknąć się w domu i do tego okna jeszcze zasłonić!..

Inne wnioski miały na celu, aby choć częściowo tę zapowiadzaną uroczystość udaremnić. Spiskowe miały w takim razie swoich amantów zwołać na miłosną schadzke w tym dniu na miejsce za miastem położone, i tam ich jak najdłużej przytrzymać. Nie wadziło dla dobra sprawy publicznej użyć niewinnego podstępku, to jest: że każda spiskowa miała równocześnie wszystkim swoim jawnym i skrytym wielbicielom na rozmaitych miejscach wyznaczyć

schadzkę, i tam ich trzymać w daremnem oczekiwaniu aż do wieczora.

Wniosek ten atoli nieludzki i okrutny został znaczną większością spiskowych odrzucony, co szlachetnym sercom kobiecym czyniło zaszczyt niemały!

Słowem, mimo wszelkich usiłowań starościny Adelaidy, nie mogło przyjść do żadnej uchwały. Spierano się jeszcze długo i uporczywie, podawano nowe wnioski i zarzucano je, a gdy wybiła godzina dwunasta, zaczęto bez żadnego rezultatu tłumnie opuszczać salę posiedzeń.

Światła zaczęły już nawet gasnąć jedne po drugich, w salonach nie było już nikogo, prócz służby zaspanej. Tylko starościna Adelaida siedziała jeszcze na prezesowskim krześle i smutnem okiem patrzyła przed siebie. A przed nią w okropny sposób, z jakichś dziwnych węzów złożona, rysowała się liczba: Czterdzieści!

Czterdzieści lat!... i żadnych nowych brylantów, modnych ekwipaży, jedwabów lugduńskich!.. Czemże jest kobieta w latach czterdziestu bez brylantów i jedwabiu?..

Śród tych smutnych medytacyj strasznie jakoś zadźwięczał dzwonek w przedpokoju.

— Któżby to mógł być o tej porze? — zawołała zbudzona nagle z czarnych myśli starościna.

Może jaki szatanik z piekła niósł jej upragnione brylanty.

W tej chwili w istocie dały się słyszeć za drzwiami spieszne, drobne kroki, jakby idącemu było bardzo pilno...

## V.

Drzwi salonu otworzyły się z trzaskiem. Młodziutka, wysmukłego wzrostu kobieta o jasnych włosach stanęła przed starościna tak szybko, że ta jeszcze do siebie z jakiegoś niezwykłego przestachu przyjść nie mogła.

— Zlituj się Julito, co ty robisz! — zawołała starościna — któż o tej godzinie biega po mieście!.. Od czasu jak ten artysta...

Piękna blondynka przytknęła drobne paluszki swoje do ust starościny, aby dalej nie mówiła, a sama rzuciła się jej na szyję i z taką namiętnością zaczęła ją całować, że zaledwo od niej przemocą oderwać się mogła.

— Julito, bój się Boga — wołała starościna jak Lakoon w objęciach węża — *fi donc*, czy mnie chcesz udusić?.. Czy to skutki dzisiejszej twojej nauki... rysunków?

Młoda kobieta wysilona wybuchem jakiejś dziwnej, tajemnej namiętności, upadła bezwładnie na krzesło, a oparłszy głowę o poręcz, wyglądała jakby omdlała.

Starościna z pewnym niepokojem patrzyła na nią.

Światło sześcioramiennego kandelabra oświecało teraz całą jej postać uroczą. Piękna nocna rusalka mogła mieć najwięcej lat dwadzieścia. Twarz jej blada i przezroczysta. Oczy duże, błękitne, przesłonięte były jakby gazą przezroczystą. Korалowe usta otwarły się, jak kielich kwiatu

spragnionego rosy. Przecudnych kształtów pierś wznosiła się lekko, jak fala bujnych kłosów w dniach lipcowych. Oddech jej napełniał komnatę jakąś dziwną, gorącą atmosferą, jakby wonią kwiatów egzotycznych...

— Julito, ja ciebie nie poznaję! — zagadnęła po niejakiem czasie starościna — powiedz mi, co się z tobą dzieje!.. Nie przyszedłeś na posiedzenie. Zapisaliśmy się pewnie do Jakubinów!..

— Laissez moi mourir! — wyszepnęła Julita.

— Mówisz jak zakochana!

— Bo kocham!

— A coś słyszała o mężu?

Na te słowa zerwała się szybko młoda kobieta i z układem przypominającym kota lub tygrysa stanęła przed starościna. Niejaki czas patrzyła jej rzewnie w oczy.

— Czemuż mnie zawsze kłujesz szpilkami? — zawołała głosem, w którym drżały łzy i błyski piorunu.

— Dobrze, że mąż jest u ciebie tylko szpilką. Nic nie mam przeciw temu. Czasami jest jeszcze mniej niż szpilką... Ale nowa awantura przewróciła ci zupełnie głowę!

— Starościno! Nie nazywaj miłości mojej awanturą!

— A za ile dni będę ją mogła tak nazwać?

— Jesteś okrutną! Ja przyszedłam właśnie do ciebie, aby na twojej piersi kołysać się w moich snach złotych...

I znowu rzuciła się na szyję starościnie i zaczęła ją namiętnie całować i ścisnąć.

Starościna wzięła ją za kształtną główkę, podniosła do góry, i ujrzała w jej błękitnych oczach duże dwie łzy, które jak perły szklily się do światła.

Łzy dla takiej damy wielkoświatowej są zawsze

czemś niezwykłym. Mają one wtedy dla niej taki sam znak, jaki dla oczu biednego ma pieniądz złoty za oknem bankiera.

— Chciałabym wiedzieć historią tych pięknych dwóch łez! — rzekła starościna po chwili milczenia.

— Ty ich nigdy nie zrozumiesz — odpowiedziała z uśmiechem szczęścia Julita.

— Naucz mię tego!

— Nauczyć cię? — powtórzyła z wolna piękna kobieta, obiegając litościwem okiem pomarszczoną twarz starościny — nauczyć cię? Ach, to się nie da nauczyć, to przychodzi samo z siebie, gdy nam w piersi serce żywo bije!

Starościna spojrzała do wiszącego na przeciwległej ścianie zwierciadła, a obaczywszy tam twarz niemłodą, westchnęła lekko i smutno spuściła oczy na ziemię.

— Zrozumiałam twoje słowa — rzekła po chwili — są one gorzkie i okrutne, ale oraz niesłuszne. Wprawdzie młodość zewnętrzna ucieka od nas szybko, rumieńce znikają nam nielitościwie z twarzy, ale pozostają nam wspomnienia chwil naszych błogich i szczęśliwych, któremi karmi się serce i zapomina, że na twarzy już jesień zapisana! Wierzaj mi, takie serce więcej czasem rozumie, niżeli twarz o jaskrawych kolorach wiosny!...

W ostatnich słowach starościny było tyle żalu i boleści, taki dziwny, melancholijny smutek wychylił się ze zmarszków jej twarzy niegdyś pięknej i zachwycającej, że rozmarzona Julita uczuła wyrzuty sumienia i z właściwą jej namiętnością rzuciła się w objęcia przyjaciółki.

— Bóg świadkiem — rzekła do niej przez łzy — nie chciałam ci żadnej przykrości sprawić, przeciwnie zazdroszczę ci twego spokoju! Nie wiem bowiem, co lepsze, czy spokój

czy to ustawiczne drganie serca, które mi w dzień i w nocy spocząć nie daje!

— Jesteś kobietą... fantazyjną!

— Nazwij to jak chcesz, wybierz ze swojego słownika miłości jakie bądź słowo, ja ci tylko tyle powiedzieć mogę, że są chwile, w których nie wiem, czy jestem nieszczęśliwą, czy najszczęśliwszą z pomiędzy wszystkich kobiet na ziemi! Często zdaje mi się, że jestem nieszczęśliwą, ale tego nieszczęścia nie oddałabym za wszystkie skarby świata!

— Przemawiasz do mnie niezrozumiałym językiem.

— Słów nie rozumiesz, a chcesz zrozumieć łyzy moje!

— Możebym te drugie rozumiała, gdyby pierwszych więcej było.

— Więcej?.. Więcej słów? Może masz słuszność. Jestem dzisiaj w takim usposobieniu, że nawet z roskoszą twoim żądaniom zadość uczynię.

Na ulicy dały się słyszeć kroki. Młoda kobieta podniosła się z krzesła i słuchała z uwagą czas niejaki. Potem przystąpiła do okna, odchyliła jedwabną zasłonę i patrzyła z niepokojem na ulicę, oświetloną światłem księżyca, który w tej chwili wychylił się z poza Święto-Krzyskiego kościoła.

Z lekkim westchnieniem wróciła do starościny.

— Być może, że jestem dla ciebie niepojętą i niezrozumiałą — rzekła po chwili — ale spowiedź moja może ci zupełnie wyjaśnić dzisiejsze moje położenie. Gdy byłam młodą dziewczyną, nie mogłam tego pojąć, jak mogą ludzie jeść chleb czarny zamiast ciast francuzkich i cukrów. Otóż raz wydarzyło się, że księżna generałowa urządziła sielankę, to jest, całe towarzystwo miało się zjechać na romantycznej polance za lasem Czernichowskim, rozumie



się bez kuchni i piwnicy, bo to nie byłoby sielanką. Myśmy wszystkie były ubrane w kostiumy pasterek, a mężczyźni mieli w swoich torebkach pasterskich przynieść nam to do pożywienia, co każda z nas najlepiej lubi. Otóż tak się złożyło, że każdy miał z sobą najwyszukańsze cukru i bakalie, a nikt chleba nie przyniósł. Ale cukry i bakalie nie zaspokoily naszego głodu, a przyniesiony od chłopca chleb czarny wydawał nam się bożą manną!.. Wtedy zrozumiałam, że...

— Gdyby to tutaj... Rafael usłyszał!

— Ja mu to sama nieraz mówię, tylko może w innych słowach. Nigdy mi tego za złe nie bierze. To jest człowiek, jakich ty nigdy nie znałaś i znać nie będziesz!

Starościna spojrzała znowu do zwierciadła.

— Ale dotąd jeszcze nic mi nie powiedziałaś — wyszeptała zcicha.

— Słuchaj, słuchaj i bądź moim spowiednikiem — odparła młoda kobieta siadając przy niej na adamaszkowym podnóżku, a opierając się jak małe dziecko o jej łono — słuchaj choćby do rana, tem większą ulgę sprawisz memu biednemu sercu!

— Słucham cię Julito! — odpowiedziała starościna z lekkim westchnieniem — odwracając oczy od zwierciadła.

— Wiesz starościno, że jako daleka krewna chowałam się u Branickich. Znasz dóm Branickich. Niczego mi nie brakowało, opływałam we wszystko. Nie myślałam nigdy o jutrze, bo każdy dzień był tylko rozrywką i rokoszą. Miałam szczęście podobać się i byłam zawsze otoczoną całym orszakami adoratorów. Podziwiano moje oczy, do moich warkoczy pisano ody i elegie, nawet stary Halewicz

przełożył z Owidiusza jakieś rytmy, które się miały do mnie stosować, a w którym Korynnę Julitą nazwał; słowem byłam adorowaną i karmioną najwyszukańszymi frazesami, jakie tylko prócz mnie Julii Potockiej się dostawały. A kiedy raz król Jegomość rozerwać się niczem nie mógł, a Potockiej w Warszawie nie było, którą król w tańcu zawsze rad widział, to pani Krakowska zaprosiła mnie do siebie, aby król patrząc na mnie miał jakie takie złudzenie, że Julią widzi. Uznasz sama, że był to dla mnie zaszczyt niemały... i od tej chwili były mój mąż, który był wtedy szambelanem króla, zwrócił na mnie uwagę i zaczął się o moję rękę starać...

...Znałaś dobrze szambelana. Był to człowiek urodziwy, na wielkim świecie żyjący, zgrabny tancerz i powszechnie podobał się kobietom. Branicka uważała to za szczęście moje, bo ja nie miałam wielkiej fortuny, a szambelan był w łaskach u króla i miał przyobiecane jedno z najbogatszych starostw w ziemi Przemyskiej.

— I poszłaś za niego! Cóż dalej?

— Poszłam za niego i zdawało mi się w pierwszych tygodniach, że byłam szczęśliwą. Tak przynajmniej pisałam do wszystkich moich przyjaciółek, malując im moje szczęście w jak najjaskrawszych kolorach, najpoważniejszym świetle...

...I rzeczywiście były chwile, w których czułam się bardzo szczęśliwą. Jakkolwiek mąż mój nie miał znacznej fortuny, jednak pozycja jego przy dworze ułatwiała mu stosunki z najznakomitszymi domami naszymi. Dnie więc naszego małżeńskiego pożycia były nieprzerwanym łańcuchem balów i zabaw, z których mi tylko tyle czasu po-

zostawało, ile potrzeba było, aby się z pokojową o wybór nowej taolety naradzić i ubrać...

...Dni te zabawy i rokoszy miały jeszcze świetniejsze momenty, które się nigdy z pamięci nie ścierają!... Pamiętam, było to w dzień urodzin króla Jegomości, gdy ubrana w suknię z jasnoblękitnego jedwabiu, narzuconą srebrnymi gwiazdkami, z przepaską słomianego koloru przez prawe ramię weszłam na salę zamkową. Król długi czas wpatrywał się we mnie. Potem uśmiechnąwszy się łaskawie rzekł do Trembeckiego: Tak tylko mogła wyglądać Psyche!..

...Nazajutrz przyszedł do nas Bacciareli i prosił mnie, abym mu pozowała do obrazu jako Psyche!..

...Był to zaiste zaszczyt dla mnie nie mały. Generałowa Grabowska spać nie mogła, gdy się o tem dowiedziała, ale wyrozumiała jak zawsze dla słabostek króla, uspokoiła się, a nawet sama przyszła do mnie dając mi wskazówki, jak się mam ubrać, aby jak najlepiej Psyche przedstawić.

...Było dla mnie szczęście, wielkie szczęście, ale nie wiedziałam, że ono właśnie stanie się początkiem innego szczęścia, o którym wtedy ani przecucia ani wyobrażenia nie miałam!...

...W pracowni Bacciarelego, która jak wiesz znajduje się w lewym skrzydle zamku, pozowałam w stosownym stroju cały tydzień. Mówiono mi, że przez górne okno od korytarza patrzył także i król na mnie... Z postępem obrazu rosła także i łaskawość króla dla mnie, a gdy mnie za kilka dni u pani Krakowskiej widział, dał mi do zrozumienia, że za trudy mego pozowania wynagrodzi męża mego oczekiwaniem starostwem...

...Otóż stało się jednego dnia, że Bacciareli był słaby czy zatrudniony, a nie chcąc mnie ubranej stosownie do tego, co obraz miał przedstawiać, do domu odprawić, polecił jednemu z najpierwszych uczniów swoich, aby go w robocie zastąpił, co tem łatwiej nastąpić mogło, ile że chodziło tylko o wykończenie stopy i draperyi już narysowanej.

...Nigdy nie zapomnę tej chwili w życiu! Z bocznych drzwi wyszedł młody człowiek z paletą w ręku. Miał długie, krucze włosy w pierścieniach spadające na ramiona. Oczy duże, jak węgiel czarne, toczyły się pod gęstymi brwiami jak dwie kule ogniste. Twarz miał bladą z lekkim zarostem. Fantastyczny ubiór na pół włoski, na pół hiszpański, dodawał mu coś z uroku bohaterów, widzianych tylko na deskach teatralnych...

...Nigdy inaczej nie wyobrażałem sobie Rafaela, gdy z paletą w ręku stał przed swoim modelem do Madony...

...Uczułam jakieś dziwne wzruszenie, jakiego dotąd nigdy nie zaznałam!.. Pracownia była obszerna, na ścianach wisiały obrazy i szkice, na podłodze porozstawiane były różne rzeźby i posągi. Osobliwie szkice na kartonach, wyobrażające pojedyncze studia do większych obrazów, nadawały tej pracowni jakąś dziwną fizyonomią, zaludniając pojedynczemi figurami całą szeroką przestrzeń komnaty...

...A w tej przestrzeni było nas tylko dwoje... towarzyska moja drzemała bowiem zdala od nas przy stoliku...

...Nie wiem, jak to się stało, ale zrazu nie wymówiliśmy do siebie ani słowa. On w milczeniu zbliżył się do sztalugi, patrzył na mnie chwilę, jak się zazwyczaj patrzy na martwy model, potem zaczął malować...

...Widziałam jednak, że światło jego czarnych oczu zaczęło się mącić. Jakiś niepokój coraz większy malował się w każdym jego spojrzeniu, w każdym pociągu pędzla. Twarz jego zaczęła farbować się gorętszym kolorytem... ale usta miał blade i jakby zaciśnięte.

...Kiedy przystąpił do wymodelowania nóżki, która z pod szaty powiewnej wychylała się, widziałam wyraźnie, jak mu ręka zdrzała, a pot wystąpił na czoło...

...Pojawienie się mistrza uwolniło go od tej męki widocznej. Bacciareli odstąpił od obrazu i zdala chwilę mu się przypatrywał. Potem klasnął w dłonie, wymówił kilka słów po włosku, jak to było jego zwyczajem, a potem ucznia serdecznie uściskał.

— Gdy malować przestanę — zawołał w uniesieniu — odziedziczysz po mnie moje paletę!

...Uczeń skłonił się, spojrzał na mnie płonąącym wzrokiem, pomilczał chwilę, a potem rzekł:

— Maestro! Powierzyłeś mi tylko stopę i kilka draperyj, a sam wzięłeś dla siebie twarz, oczy, usta i te cudowne włosy!... Proszę cię tylko o jeden pociąg przy tych ustach...

— E bene! e bene! — odpowiedział uśmiechając się dobrotliwie Bacciarelli.

...Uczeń chwycił skwapliwie za pędzel, wpatrzył się we mnie w jakimś dziwnym natchnieniu, a potem pociągnął kilka razy po płótnie...

— Per dio! — zawołał mistrz w zdumieniu — co to znaczy młodość! Młodość, to więcej niżeli talent i praca!.. Młode twoje oko dojrzało od razu, czego tej twarzy jeszcze brakowało!... Tak, tak... młode oko przy żywo bijącym sercu widzi tajniki duszy i jej wdzięków!...

...I zaczął zacierać ręce i uśmiechać się, podczas gdy ja przed sobą nic nie widziałam, prócz utkwionych we mnie palących się oczu szczęśliwego ucznia...

— Voila le mot! — zagadnęła starościna — zakochała się!

— Nie, nie powiem tego, żebym się zakochała — odpowiedziała patrząc przed siebie szambelanowa — w mojem sercu nie było wtedy miejsca na taką miłość!.. Za godzinę czekał mnie obiad u Branickich, za trzy godziny miałam być ubraną na wieczór u Potockich, jutro ułożona była wycieczka do Mokotowa, a pojutrze puszczał się Blanchard balonem z Potockim pod niebiosa... Czyż przy tem wszystkim było miejsce w mojem sercu dla czarnych oczu natchnionego młodego malarza?..

...Ale pamiętam, że od tego dnia często one stawały uporczywie przedemną. Na pokojach królewskich, wśród tysięcy światel i najwyszukańszych frazesów, wdierały mi się te oczy przed duszę i niedały mi poić się szczęściem obecnem. Nawet wśród tańcu widziałam je czasem goniące za mną... widziałam je w teatrze zawieszone gdzieś w powietrzu przed sceną, a nawet widziałam je w kościele, gdy się do Boga modliła!..

Piękna szambelanowa spoczęła tutaj, a załamawszy ręce patrzała czas niejaki rozmarzona przed siebie.

Zbudziły ją w tej chwili znowu kroki na ulicy. Powstała i wyrzała z niepokojem przez okno. Starościna z uśmiechem patrzała na nią.

— Widzę — ozwała się po chwili — że opowiadaniem skrócasz sobie jakieś oczekiwanie...

— Ach, tyś zimną Adelaido! — z wyrzutem odparła młoda kobieta — z tobą nie można mówić o miłości...

— Mów moja droga, mów, jak mnie kochasz, mów!

Szambelanowa milczała chwilę, poprawiła swoje przesłizne włosy, które jej na skronie spadały, i mówiła dalej:

...Gdyby mój mąż obiecanę otrzymał starostwo, gdybym miała środki używania życia i świata, jak dotąd używałam, możeby te oczy, które się przedemną zjawiały, gasły powoli wśród zabaw i licznych adoracyj i zupełnie zaginęły... Ale wiesz, co się stało. Fortuna męża wyczerpała się, sejm odebrał królowi prawo szafowania starostwami, a stanowisko nasze stało się dla nas tylko ciężarem!

— Więc widzisz, moja droga — pochwyciła szybko starościna — że sejm i król, który przyjął i podpisał tę nieszczęsną uchwałę, są główną przyczyną twego nieszczęścia.

— Nieszczęścia? — przerwała szambelanowa — któż mówił o nieszczęściu?...

— Mów dalej, mów dalej — rzekła z ironicznym uśmiechem starościna — jeżeli nie teraz, to niezadługo zgodzimy się z sobą w zdaniach naszych.

Szambelanowa nie słyszała tych słów starościny. Patrzała przed siebie okiem rozmarzonym czas niejaki, a potem jakby zbudzona ze snu mówiła dalej:

...Zasoby naszej fortuny wyczerpały się zupełnie. Nie było za co kupić klejnotów i modnych strojów, bez których, jak wiesz, niepodobna okazywać się w świecie. Wymawiałam się więc od tańców i wieczorów pozorem słabości lub niedobrej nowiny od rodziny. Zamykałam się w domu, aby nikogo nieprzyjmować. A w samotności nachodziły mnie różne myśli, dla jakich pierwaj czasu mi nie stało. Samotności mojej nie miałam czem zapełnić. Przyzwyczajonej

do zabaw i festynów wydawał mi się mąż mój teraz ciężarem! Życie straciło dla mnie wszelką ponęte...

...Zauważał to mąż i zaproponował mi jaką rozrywkę domową. Nasze damy zajmowały się rysunkami i malowaniem, aby się królowi, który także malował, przypodobać.

...Pewnego dnia przyprowadził mi mąż nauczyciela do rysunków... był to ów Rafael mój idealny z pracowni Bacciarelego, który też rzeczywiście nazywa się Rafałem...

— Ach to istny romans! — zawołała starościna.

— Czyż ja temu winna? — odparła żywo Julita — czyż nie przypadek sam stał się przyczyną, że jestem dzisiaj w tem położeniu, w jakim mię świat widzi?

— Dziwne skrupuły! — wpadła starościna z uśmiechem — któż się z takich rzeczy tłumaczy? Któż odpowiada za afekt serca, któż poczytuje sobie za winę, że zwycięża?.. Vous etes drôle ma petite!

— Ale widzisz, moja droga, ja ci opowiadam szczerze jak było. Początkowe lekcye rysunków szły jeszcze jako tako. Nauczyciel mój patrzył na mnie z jakąś bojaźnią, a ręka mu drżała, gdy mój ołówek wraz ze mną prowadził; ale po kilku lekcjach... Nie, moja droga, tego już opowiadać nie będę, bo nie zrozumiesz! Jestto świat jakiś inny, jakiegoś ty nigdy nie widziała, o jakim nie masz nawet wyobrażenia! A świat ten nie potrzebuje ani peruk pudrowanych, ani fraków francuzkich, ani kluczków szambelańskich, ani festynów o tysiącu światel!... Dla tego świata świecą gwiazdy na niebie, świecą miliony kropel rosy majowej, świeci słońce na niebie i księżyc nocny! A co najważniejsza, świat ten nie potrzebuje klejnotów, ani jedwabów lugduńskich, można w nim być szczęśliwym



i dziękować Bogu za to szczęście... A taki świat stworzył dla mnie mój nauczyciel!

— Fantazyjna! — szepnęła do siebie starościna.

— Wierzaj mi — mówiła dalej entuzjastka — przyzwyczajano mnie inaczej patrzeć na życie. Słyszałam nieraz najpiękniejsze, najkosztowniejsze słowa, jakie tylko dla kobiety wymyślano. Ale słowa te wymawiano z zimnym uśmiechem jakby lekcją jaką. Na twarzy tych, co je wymawiali, nie widziałam żadnej zmiany, głos ich był ten sam, gdy nim pudła wołano. Inaczej widziałam to u mego Rafaela... Nie, moja Adelaido, słowa, które doskonale znamy, zupełnie inne sprawiają wrażenie, jeżeli przy nich brzmi głos jak struna lutni silnie trącona... jeżeli te słowa pierwiej przechodzą przez wzrok namiętnie palący się, nim je usta wypowiedzą... jeżeli dotknie się ręki naszej dłoń, w której czujemy wszystkie tętna bijące z pospiechem... a jeżeli...

Szambelanowa zasłoniła sobie oczy i kilka chwil tak milczała. Potem odsłoniła nagle twarz rozgorączkowaną i mówiła dalej:

— Za miesiąc powiedziałam mężowi, że dłużej z sobą żyć nie możemy! Powiedziałam to spokojnie i stanowczo.

...Mój mąż wtedy miał miłosny stosunek, jak wiesz, ze starościna Adelą. Wiedziałam o tem. Ale mimoto prawdopodobnie kochał mnie, bo na moje słowa zbladł i osłupiał...

...Długo perswadował mi, błagał, zaklinał, klękał a nawet zdaje mi się, że płakał, ale byłam niewzruszoną. Nie mogąc więc przełamać mego uporu, a winując przedewszystkiem króla, że tak niedorzeczną ustawę o sta-

rostwach przyjął, która się do naszego rozvodu przyczyniła, porzucił służbę u króla, a zostawiwszy mnie samej sobie, zniknął z Warszawy i gdzieś tam po sejmikach się ugania.

Szambelanowa umilkła tutaj i piękną swoją główkę podparła ręką. Starościna także zamyśliła się. Po jej wysokiem, surowem czole przebiegały jakieś uroczyste myśli.

— Przychodzi mi coś do głowy — rzekła po chwili — bo juźci z wszystkiego korzystać trzeba. Twój Rafał, czy Rafael, jak go nazywasz, który cię teraz tak uszczęśliwia i prawdopodobnie sam jest szczęśliwy, powinien się w czemś przyłożyć także do naszej sprawy. Wszelkiemi siłami trzeba królowi tę nieszczęsną konstytucją wybić z głowy, w której się nagle, jak Rafael w tobie, rozkochał. Więc słuchaj: Król jest nader wrażliwy, osobliwie sztuka sprawia na nim silne wrażenie. Pojutrze jest obchód rocznicy tego nieszczęśliwego trzeciego maja. Robimy co można, aby król na tej rocznicy nie był i tym sposobem konstytucją potępił. Nie wiemy co nastąpi... Wieczorem ma być iluminacya, koło której krząta się marszałek Ignacy Potocki z księdzem Piatolim, który jest kusicielem króla i teraz właśnie z żydami nas brata, zbratawszy nas z mieszczanami... Otóż niech twój Rafał wymaluje obraz... transparent przynajmniej, i gdzieś przed oczy królowi wywiesi. Obraz na przykład niech przedstawia króla podpisującego konstytucją trzeciego maja, a koło niego *comme une apparition*, jakby duch jaki niech się unosi ojczyzna... Kobieta z herbami Polski na skroniach... zakuta w kajdany... przebita sztyletem, to jest konstytucją trzeciego maja!... Na ojczyznę możesz ty pozować, a król, który cię już jako

Psychę admirował, będzie uderzony nową twoją transfiguracją i może wejdzie w siebie!...

Szambelanowa zamyśliła się.

— Wierzę — rzekła po chwili niby do swoich myśli — gdy mnie Rafał wymaluje, to król może mnie pozna...

W tej chwili zaturkotała karetka na ulicy i ktoś w ręce klasnął trzy razy.

Szambelanowa zerwała się szybko, a wycisnąwszy w pośpiechu pocałunek na czole starościny, pędem ku drzwiom pobiegła. Starościna patrzyła za nią z uśmiechem.

— Niezapomnij o transparencie! — zawołała za nią.

Potem zbliżyła się do okna i spojrzała na ulicę. Na ulicy stała karetka, a obok niej jakiś mężczyzna o długich włosach w stroju z włoska-hispańskim...

## VI.

Gdy szambelanowa z bramy na ulicę wybiegła, podała drobną rączkę młodemu mężczyźnie, który obok karety zdawał się na nią czekać.

— Czekałam cię z taką tęsknotą — ozwała się dziwnie drżącym głosem — czekałam do północy... Za co mnie ukarałeś?

Młody mężczyzna podniósł drobną rączkę do ust, trzymał ją długo, długo przy ustach, jakby tym różowym paluszkiem z czegoś się spowiadał, potem westchnął i odrzekł:

— Miałem wiele, bardzo wiele do czynienia! Każda z dzisiejszych chwil to chmura ciężarna burzą, piorunami — albo bożą manną, jeżeli jej odbierzemy strzałę piorunową!

— Ach tyś stał się dziwaczny od kilku dni, tygodni...

— Inaczej nie byłbym godny ciebie!.. Cóżbyś powiedziała o mnie, gdybym przy tobie zapomniał, że ojczyzna woła na nas wszystkich o ratunek w swoich bolach śmiertelnych? Gdybym wiedząc oprawców jej, nie pospieszył ostrzedz o tem tych, którzy czuwać mają?..

— Nie rozumiem cię... Noc piękna, chodźmy do ogrodu.

Rzekłszy to dała znak stangretowi, aby powoli jechał, sama zaś wzięła towarzysza pod rękę, i oboje wolnym krokiem puścili się ku Saskiemu ogrodowi.

Ogród Saski, położony w środku miasta, był już podówczas ulubionem miejscem przechadzek dla mieszkańców Warszawy. Więcej zacieniony i zdziczały niżeli teraz, dawał cień i wilgoć wśród gorących promieni słonecznych. Pragnący świeżego powietrza staruszek, jaśniejąca wdziękami kobieta, strojny galant, wszystko to cisnęło się do zacienionych alei ogrodu i roilo się jak fala po zielonych przestrzeniach. A kiedy zmrok wieczorny zapadać zaczął, wyludniały się z wolna aleje, i tylko białe, samotne postacie przemykały się po krętych ścieżkach, szukając siebie w zacieniach nadciągającej nocy. Wtedy drzewa głucho milczały, bełkot fontanny przycichał coraz więcej, jakby nie chciał płoszyć tych, którzy tu od zgiełku wielkomiejsowego uciekli, aby siebie lepiej słyszeć i zrozumieć...

Późną nocą głuchnęło wszystko w ogrodzie, jakby już nikogo nie było. Tylko czasem zabłąkany puszczyk ozwał się z wypróchniałego drzewa, albo straż miejska przeszła odmierzonym krokiem, nasłuchując bacznie, czy kto ratunku nie woła...

O tej porze spóźnionej zaludniał się czasem ogród jakimiś dziwnymi, fantastycznymi istotami... Przy blasku księżycy przesuwwały się po aleach jakieś tajemnicze postacie, jakby zakłęci rycerze, a przy nich w powiewnych, fantastycznych szatach kroczyły zakapturzone kobiety, jakby rusałki, które w nocy miesięcznej opuściły tajemnicze swoje pałace... I słychać było wtedy ich dziwny, dla pachołków miejskich niezrozumiały język, słychać było śmiechy i chichoty, a czasami nawet odezwały się skarzące tony cytry i zabrzmiał śpiew słodki roskoszy, jakby śpiew błagającego pasterza...

Nie były to jednak ani duchy ani upiory, ale zwyczajni ludzie śmiertelni, którzy tutaj zeszedli z komnat pierwszopiętrowych Krakowskiego przedmieścia albo Nowego Świata.

Były to bowiem czasy poezji sielankowej, sentymentalnej. Bawiące się w pałacach towarzystwo przy blasku tysiąca świec i potłuczonych butelkach zapragnęło czasem nagle, po północy, świeżego oddechu natury i jej poezji. Wtedy na pierwsze dane hasło opuszczano na chwilę kopące światła i duszną atmosferę, i udawano się całym taborem do ogrodu Saskiego. Mężczyźni w perukach, frakach aksamitnych i kapeluszach trójgraniastych, kobiety z pudrowanymi włosami i blanszem na twarzy, osłonię gazą i jedwabiem, spuszczaali się z pałaców, i naśladowując wiek pasterski, piechotą szli do milczącego ustronia natury.

Tutaj rozmawiano wiele o księżycu, o gwiazdkach na niebie, o drżących liściach drzewa i brylantowym blasku rosy nocnej. Tutaj składano miłośne rymy, lub wygłaszano najnowsze utwory Trębeckiego, Węgierskiego lub zawsze wesołego Niemcewicza.

Była to niejako sztuczna sielanka, zbliżenie się do natury, jakiego wówczas Rousseau doradzał; był to epizod poezji sztucznej, wpleciony niezgrabnie w życie pełne prozy, rozpusty i cynizmu, słowem był to blansz i róż na wyzółkłej chorej twarzy owego społeczeństwa.

Gdy szambelanowa z swoim towarzyszem do ogrodu weszła, zamiast upragnionego ustronia obaczyła aleje zaludnione nader licznem, nocnem towarzystwem.

— Zlituj się — wyszepnęła zcicha — to goście Wojewody, jeśli mnie poznają... Chodźmy na tę ścieżkę!

— Nikt nas nie pozna — odparł towarzysz — tylko nie kryjmy się, bo zwrócimy na siebie ich uwagę. Będą nas mieć za należących do siebie — towarzystwo jest tak liczne... Wszyscy są dyskretni dla drugich... Czy widzisz tam tę tkliwą parę? Nikt im nie przeszkadza!

Szambelanowa przycisnęła się do swego towarzysza, zarzuciła koronkową chusteczkę na głowę, i oboje wmięszali się w bawiące się towarzystwo.

Noc była prawdziwie majowa. Ciepły, wonią kwiatów zaprawiony wietrzyk pociągał od południa. Na niebie świecił księżyc, otoczony myriadami gwiazd, które zdawały się mrugać do uspiętej ziemi... W mieście było cicho i głucho.

Szambelanowej biło serce z bojaźni, jednak ta bojaźń miała coś tak rokosznego, a przytem tak nieokreślonego, na co w mowie ludzkiej żadnego nazwiska nie ma... Na pokojach królewskich, w komnatach pałaców, wśród dymu najwonnejszych kadzideł, obwieszona brylantami i koronkami nie zaznała nigdy podobnego uczucia, jakiegoś dziwnego szczęścia i niczem nie wysłowionej rokoszy... Zdało się jej, że to sen jakiś, ale ten sen tak słodki i rokoszny!..

Rozmowa dwóch jegomości, idących przed nimi w pudrowanych perukach, przerwała kochankom nieokreślone marzenia. Mówili napół po francuzku napół po polsku.

— Que faites vous apres demain? — zagadnął jeden.

— Nie wiem jeszcze. Jutro naradzimy się.

— Otrzymałem listy bezimienne, że mnie ogłoszą za wroga ojczyzny, jeżeli okien nie oświecę.

— To słowo „ojczyzna“ znamionuje oficynę ulicy...

— Vous avez raison. Myśmy mówili: Rzeczpospolita! Odkąd uchwała trzeciego maja odebrała nam Rzeczpospolitą, ulica wzięła w arendę — ojczyznę!

— Jakóbini strasznie się krzątają!.. Słyszałem, że życie króla ma być w niebezpieczeństwie!

— Sam sobie winien... Massei nie daremnie koło niego tańczy. Byle się i nam co nie dostało! Z Paryża są wiadomości bardzo smutne!

— Descorches coraz bardziej głowę podnosi. Wczoraj zapytywał podkanclerzego Chreptowicza, jakie miejsce mieć będzie na obchodzie trzeciego maja jako reprezentant Francji, ma bowiem od nowego gabinetu rozkaz, nie ustąpić nikomu pierwszeństwa.

— Z każdym dniem rosną kłopoty, a wszystkiemu winna ta nieszczęsna konstytucja, którą słusznie Bułhaków rewolucją nazywa.

— Aprôpos — Bułhaków mówił, czy raczej napomknął mi, że Jakóbini zamyślają przy obchodzie trzeciego maja pozbyć się króla... w tłumie atentat bardzo łatwy... Wskazał nawet —

— Bułhaków wie o wszystkim!.. Posiada nawet tajemnice wybornej kuchni... Przedwczoraj na obiedzie u siebie uraczył nas takimi delikatesami, o jakich nawet król nie ma wyobrażenia. Trzeba mu przyznać, że umie urządzać i podać prawdziwie lukulusowe kąski!

— Tak wybornych ostryg nawet u Prymasa nie jadłem!.. Ale wracając do obchodu pozajutrzejszego...

— Czy w Foxsalu wystąpi pozajutrze Barbetti czarująca?

— Zdaje się, że odłożono jej występ, bo Niemcewicz sklecił jakieś patryotyczne widowisko o Kazimierzu Wiel-



kim, o którym Bułhaków dowcipnie się wyraził, że trąci pleśnią grobową...

— Litewski marszałek konfederacji (Sapieha) zbiera jutro kilku pofnych przyjaciół dla „cosetty“... Hetman Branicki bawiący się w Petersburgu spać mu nie daje...

— Mniszek jutro zapowiedział świeże ostrygi u siebie.

— Dziwna rzecz, jaką drogą on je tak świeże dostaje; nie chce nikomu powiedzieć z zawiści... Czy już pewna, że Potocki jedzie z Blanchardem do księżycyca?

— Starościna ze swoim embecevido zakręca do alei westchnień. Światło księżycowe bardzo jej sprzyja; nie widać zmarszczków ani tynku...

— Mówią, że wojska rosyjskie wkraczają poza kordon; książę Wirtemberski otrzymał od króla polecenie, udać się do swego oddziału, aby w razie potrzeby rozpocząć kroki nieprzyjacielskie.

— Wirtemberski nie da sobie królowi rozkazywać, jestem tego pewny. Niech poseł krakowski (Sołtyk) z marszałkiem Ignacym idą sobie do obozu... Czy Lucchesini zamyśla w dzień imienin swojej żony wyprawić swoim sposobem smaczny obiadek?

— Poseł Inflantcki powinienby o tem wiedzieć.

— Nic mi nie mówił... Z Petersburga od Branickiego miał ktoś przyjechać z ważną instrukcją...

— Wiem o tem. Wpadł do mnie z tą ważną nowiną Suchorzewskiego kuzyn... Czy szambelanowa otrzymała już rozwód?

— Od kilku dni jest już gotowy; czy ma go w rękach, nie wiem.

— Tymczasem kocha się jak Doryda!

— Prześliczna kobieta, jeszcze więcej wyładniała!.. Ciekawy byłbym, gdyby króla pojutrze spotkało aliquid humani... Saski elektor nie chce przyjąć prawa następstwa.

— I bardzo słusznie. August saski rodził się w Polsce, patrz tam, za tą aleją strzelał z okna do psów, przynęconych ścierwem naumyślnie w tym celu tam porzuconem... Cóż miał robić z nudów?

— Gdzie to, gdzie?

— Tam właśnie przechadza się teraz starościna z Witoldem...

Obaj towarzysze rozśmiali się głośno z tego konceptu, który miał być dowcipną aluzją do romansującej pary...

Szambelanowa pociągnęła swego towarzysza na boczną ścieżkę, koło której właśnie przechodzili.

Ścieżka ta była osamotnioną. Kamienna ławka w wonnem zacieniu zapraszała do wypoczynku.

— Usiądźmy tu, mój drogi — szepnęła przytulając się do ramienia towarzysza — a zostawmy prozę codzienną daleko za sobą. Szept tych liści, osrebrzonych blaskiem księżyca, i ten bełkot spadającej w dali wody, jest mi słodszy i rokoszniejszym nad te plotki miejskie i rozmowy o ostrygach i Rzeczypospolitej!.. Gdyby to wzlecieć na jaką planetę, gdzieby ani Rzeczypospolitej ani Warszawy nie było!..

— Wzleciałabyś bezemnie — odparł towarzysz całując białą, pulchną rączkę.

— Czyż ci sama nie wystarczam? Niewdzięczny! Za tyle szczęścia i rokoszy!..

Umilkła, bo towarzysz nie dał jej dokończyć.

I długi czas panowała cisza na ocienionej kamiennej ławce. Wietrzyk tylko szeleścił liśćmi lip starych i akacyi, tylko spadająca kropla rosy przesuwała się z szeptem tajemniczym pomiędzy gałązki drzew i spadała jasnym dyamentem u stóp zakochanych...

A tam zdala dochodziły coraz słabiej wesole rozmowy, śmiechy, śpiewy i deklamacye, jakimi wychwalano ospały księżyc na niebie i drzemiące nad chmurkami gwiazdy... coraz słabiej dochodziła wrzawa wesołego towarzystwa. Wreszcie ucichło wszystko, wszyscy z tego poetycznego epizodu wrócili na salony, a wrócili szczęśliwi, weseli i orzeźwieni.

— Zapewnie o tobie mówili, moja najdroższa Julito — ozwał się kochanek szambelanowej — nadmieniając o rozwodzie...

— Być może — wyszepnęła z lekkim westchnieniem szambelanowa.

— Ty wzdychasz, czy to ci boleść sprawia?

— Nie, to zbytek szczęścia!

— Nie mogę sobie nawet wyobrazić tej chwili, gdy z tobą na kobiercu uklęknę, gdy potem w całym mieście...

— A ja marzę w tej chwili o cudnych gajach cytryn i i pomarańczy, o niebie włoskiem, które nigdy śniegiem nie prószy, o wiecznem mieście na siedmiu pagórkach...

— A nic o Polsce?

— O Polsce? Ach mój drógi, my tutaj nie możemy zostać! Ja pragnę szczęścia przy tobie, a tutaj... tutaj nie miałabym tego szczęścia. Jakżeby tu na mnie patrzano, gdybym została twoją żoną! Odsądzonoby mnie od rozumu,

odepchnięto od towarzystw, od krewnych moich!.. My możemy być tylko szczęśliwi w jak największem incognito. Ten księżyc, te gwiazdy nie powinny nas znać!

— Czyż miłość moja gorąca hańbi ciebie?

— Widzisz, gdybyś był mi równy, świat by nic nie powiedział... a tak ukrywać się musimy, boby mi nikt tego nie darował.

Młody mężczyzna zamyślił się. Piękne czoło jego popałało się. Z pod gęstych czarnych brwi wydobywał się dziki, namiętny ogień.

— Więc miłość moja może hańbić was, urodzonych w zamkach i pałacach — ozwał się po chwili — a przyjaźń i zmowa z wrogami ojczyzny, a pobierany od tych wrogów jurgielt nie tylko że nie hańbi, ale nawet wynagradzany zaszczytami i estymą!..

— Ty patrzysz na świat z okienka ubogiego domku, a ludzi wyższej kondycyi nie potrafisz pojąć i zrozumieć. Zresztą jedni chcą tym, drudzy innym sposobem zbawiać ojczyznę...

— Ale kto w nocy potajemnie przedziera się do domu ambasadora Moskwy, który przecież jest otwartym naszym nieprzyjacielem...

— Ty zawsze miewasz przywidzenia i strachy. Tak samo straszą zawsze nas Potocki Ignacy, Sołtyk i ks. Piatoli.

— Dzisiaj przecież na własne oczy widziałem, a nawet naumyślnie sam odprowadzałem takiego jednego ptaszka do Bułhakowa! Lecz postarałem się, że nie wyjdzie z tamąd bez kreski na plecach. Jest to nowy herb, datujący się od kostytucyi trzeciego maja. Tym herbem znaczymy zdrajców i zbiegów...

— Jesteś niewdzięczny... przy mnie marzysz o innych rzeczach! Patrz na ten cień akacy z drżącymi listkami... patrz, jak jej konary kołysząc tulą się do ciebie... a zalotne promyki bladego księżyca przewijają się pomiędzy te liście, jak złośliwe języki świata pomiędzy miłosną parą snując intrygi i nieporozumienia!... O zostawmy ten świat i wszystko za sobą, wszystko, abyśmy byli tylko sami, samiutency jak dwie trawki obok siebie, posrebrzone światłem księżyca i zwilżone rosą majową!.. Przypomnij sobie tę chwilę, gdy byłam jeszcze dla ciebie Psychą, gdyś z paletą w ręku zbliżał się okiem do mojej nóżki niewinnie odsłoniętej...

W tej chwili zaglądnął księżyc ciekawie na ławkę i oświecił srebrnym blaskiem odsłonioną niedbale nóżkę szambelanowej... Młody mężczyzna namiętnie pochwycił jej rękę, przycisnął do ust palących. Ona jak wiotka trzcina pochyliła się ku niemu, objęła czarne pukle włosów śnieżnym ramieniem i zbliżyła do jego ust gorący swój oddech... gdy nagle na zakręcie ścieżki zabłysnęła latarka.

Był to stróż ogrodowy, w żółtej saskiej liberyi, który ze schyloną ku ziemi twarzą postępował ostrożnie, przyświecając sobie latarką.

Szukał on chustki koronkowej, uronionej w zachwyceniu poetycznym przez starość; która w towarzystwie p. Witołda przechadzała się przed chwilą po owym historycznym za czasów Augusta II. miejscu.

Ogrodowy ujrzał siedzących na kamiennej ławce. Widząc ich w porządnym sukniach, zdjął czapkę i przemówił nawet słów kilka, opowiadając o zgubionej chusteczce a znalezionej książce.

— Wszak to moja teka! — zawołał towarzysz szambelanowej, — wysunęła mi się z zanadru.

Rzekłszy to wziął tekę z rąk ogrodowego wsuwając mu za to złotówkę. Ogrodowy podziękował i przyzwyczajony w takim razie do dyskrecyi, chciał się spieszenie oddalić, gdy szambelanowa zawołała:

— Postaw nam przyjacielu na chwilę twoją latarkę.

— Co chcesz robić? — zapytał towarzysz.

— Popatrzę do teki, czy jest co nowego? Może jaka piękna twarzyczka! Jestem zazdrosną z powodu twojej sztuki...

— Nie ma żadnej pięknej twarzyczki, nie obawiaj się!

— A to co?

— To przecież twarz szpetna i podła!

Szambelanowa zbliżyła światło do karty i zaczęła się ołówkowemu rysunkowi przypatrywać, który wyobrażał profil głowy.

— Mówisz, że to twarz szpetna i podła? — ozwała się po chwili.

— Bo jest twarzą podłego prawdopodobnie człowieka — odpowiedział towarzysz.

— Któż to jest ten człowiek?

— Nie wiem, ale przydybałem go dzisiaj wieczorem, gdy się pytał o mieszkanie ambasadora Bułhakowa. Skorzystałem z przypadku i sam odprowadziłem go, przypatrzwszy mu się dobrze przez drogę. Dla pamięci próbowałem jego profil narysować, aby w razie potrzeby poznać tego ptaszka, który się wydał za handlarza koni...

— Rysunek bardzo niewyraźny.

— Miał twarz płaszczem osłonioną.

— Z czola podobny... do mego... exmęża!.. cały jednak układ, nos, usta... znamionują człowieka już niemłodego. Ale wiesz, przychodzi mi coś do głowy, o czem właśnie mówiła mi Adelajda... Przyjacielu, weź sobie latarkę!

Ogrodowy wziął latarkę, powiedział dobranoc i oddalił się.

— Starościna Adelajda — mówiła szambelanowa — ma jak wiesz najrozmaitsze koncepty. Należy ona, czy raczej jest głową spiskowych, które do zamku nie chcą chodzić z powodu poodbieranych mężom i kochankom starostw. Otóż Adelajda mówiła mi, abyś wymalował transparent na dzień obchodu, na którym byłby wyobrażony król podpisujący konstytucyą, a ja pozowałabym jako Rzeczpospolita zakuta w kajdany i okryta ranami!

— Zakuta w kajdany — powtórzył artysta i zamyślił się..

— Tak jest, w kajdany zakuta przez konstytucyą!

Niewidzialny, gorzki uśmiech przebiegł po twarzy artysty.

— Jabym ci pozowała... ale już nie jako Psyche — mówiła dalej szambelanowa bawiąc się rąbkiem chustki koronkowej.

— Byłabyś czemś więcej... byłabyś Ojczyzną!.. Ale w takim razie musiałabyś pozować w tej samej komnacie, w której byłaś Psychą!

— Dla czegoż nie? Do zamku tyle ludzi wchodzi!

— Nie mógłbym w dzień malować, jeźliby to było niespodzianką dla króla na owym obchodzie..

— Przyjdę wieczorem... lub późną nocą...

— Zrób sobie z szarych sznurków kajdany... potargane!

— Potargane? Dla czego potargane?

— Bo tak cię malować będę!.. Król podpisujący konstytucyą potargał kajdany Rzeczypospolitej, które na nią włożyć chcieli nieprzychylni jej rodacy i wrogowie...

Szambelanowa pomyślała chwilę.

— Maluj, jak chcesz, mój drogi Rafaelu — rzekła przytykając usta do jego czoła — tylko tak mnie maluj, aby mnie król poznał i przypomniał sobie owę Psyche, która tańcząc zastępowała mu czasem Julię Potocką!.. Prawda, że to uczynisz?

— Dobrze, ale kajdany porwane, potargane... wkoło głowy gloria odrodzenia i zwycięstwa!..

— Zgoda, zgoda... ale czy pozna mnie król?... Chodźmy! Księżyc chowa się za chmury. Znudził się mną niegodziwy! A ty mój Rafaelu? Czyż ciebie ten zdrajca księżyc namawia...

— Ja cię pożegnam.

— Już mnie chcesz pożegnać?

— Mam do spełnienia niektóre jeszcze obowiązki.

— Ach ta konstytucya i ten obrzydły trzeci maj, tyle nam roskoszy wydziera!.. Odprowadź mnie na Grzybowskie. — O czem tak myślisz Rafale?..



## VII.

Druga godzina była na zegarze zamkowym, gdy młody malarz szybkim krokiem zbiegał nadół koło kolumny Zygmunta, kierując kroki ku Świętojańskiej ulicy. Wszędzie już było głucho i pusto.

Wyszedłszy na rynek Starego-miasta spojrzął z uwagą na prawą stronę, gdzie właśnie jakby z gorejącego piekła wydobywała się z podziemia jasna łuna, i malowniczym światłem na sposób Rembrandta oświecała dwie pobliskie karyatydy, podpierające sklepienie nad bramą.

Młody malarz zbliżył się do tej łuny. Była to piwnica, w której za osobnym królewskim przywilejem szynkowano miód litewski i gdańskie, czarne piwo.

Z drzwi od piwnicy, do których wchodziło się po kilkanastu schodach kamiennych, mocno wyżłobionych, wydobywała się wraz z światłem czerwonym jakaś gęsta, biaława para. Kłębiąc się dół góry w różnych odcieniach, przybierała kształty obłoków unoszących się ku niebu błyszczącymi jasnymi gwiazdami.

Malarz stał chwilę nad tymi obłokami, jakby przysłuchiwał się głosom wraz z parą wymykającym, wreszcie zanurzył w nie nogi, a wkrótce przepadł w nich z głową. Tylko gęściejsze kłęby pary, które teraz w górę buchnęły,

okazywały, że nowy gość wszedł do piwnicy. Na rynku Starego-miasta pozostały tylko śmiejące się karyatydy z jaskrawem oświetleniem i cisza głucha.

Piwnica była pełna biesiadników i miała podobieństwo do rozłożonego obozu w podziemnej jaskini. U pułapu wisały trzy olbrzymie kagańce i po kurzących się czuprynach rozlewały światło jaskrawe. Różnego kształtu łysiny świeciły się wśród tego morza światła jak wyspy archipelagu. Niektóre poczynały się od czoła, drugie szły od kołnierza, inne, które ani do jednej ani do drugiej kategorii nie należały, były widocznym skutkiem jakiegoś przypadku, czy to od szabli czyli mniej szlachetnej broni. Długie, białawe blizny przerzywały je czasem w różnych kierunkach, a niektóre świadczyły wyraźnie, że pochodziły od ulubionej sztuki krzyżowej.

W braku pisemnych dokumentów, relacyj urzędowych lub też świeżej tradycji, mógłby jaki uczony badacz z fizjonomii tych łysin zebrać dzieje niejednego sejmiku, znaleźć genezę niejednej późniejszej uchwały sejmu konstytucyjnego. Wszystko tu było czytelne jak na dłoni, począwszy od złotego „liberum veto“, aż do intryg partyj familijnych, którym ochoczo służyli właściciele tych łysin nie pytając się wcale o motywa.

Piwnicę, w której te wypróbowane dostatecznie łysiny w należyтым ordynku na ławach dębowych zasiadły, nazywaną powszechnie piwnicą gdańską od czarnego piwa, które w niej szynkowano.

Piwnica gdańska miała w owe czasy wielkie w polityce znaczenie. Była to zbrojownia różnych stronnictw politycznych i intryg familijnych, które Rzeczpospolitą rządziły.

Do niej udawano się, gdy potrzeba było dobrych szabel i dobrego gardła. W niej rekrutowano satelitów dla tej lub owej partyi, a wysłani pełnomocnicy pełnili nie raz swobodnie obok siebie włożone na nich obowiązki, nie przeszkadzając jeden drugiemu, chociaż byli z obozów przeciwnych.

Czasami tylko, gdy chodziło o dobrego rębacza, sparli się z sobą komisarze wysłani, a wtedy piwnica gdańska podobna była do eksplodującej bomby, która zamiast duszącej pary wyrzucała przez drzwi i okna rozczuchrane czupryny, potargane pasy i czapki barwy walczących z sobą w Rzeczypospolitej magnatów.

Wtedy zazwyczaj ojciec gospodni z przygotowanego na ten cel piąterka, które zarazem służyło mu za mieszkanie, wylewał cebry pełne wody, gasząc niesforny żywioł, który w boju nie mógł nigdy zachować należytej miarki.

Po takim żywszym nieco epizodzie następowało sumiennie dotrzymywane armistitium, w którym nieprzyjaciel nieprzyjacielowi pomagał uporządkować szaty swoje i zatamować krew z rany, którą mu przed chwilą własną ręką zadał. Mniejsze draśnięcia zalepiano sobie wzajem chlebem z pajęczyną, który to specyfik zawsze obficie w piwnicy był pod ręką. Czasami nawet w sposób rozczulający dzielono się szatami, jeśli jakiego zapamiętałego rębacza spotkał ten despekt, że po boju zaświecił sromotą, co przecież dla szlachetnie urodzonego nie uchodziło, chociaż było zwykłym losem każdej wojny. Adwersarz wtedy wspaniałomyślnie przyodział zwyciężonego własnym kubrakiem, albo dopomógł mu rozlatującą się odzież zeszyc naprędcę do kupy.

Po takiej krótkiej burzy następowała zazwyczaj prześliczna pogoda, a jeżeli ojciec gospodni uznał za rzecz bezpieczną opuścić swoje dominującą warownię, wtedy dzbany miodu litewskiego i gdańskiego piwa krążyły daleko żywiej i więcej się pieniły, niżeli przed burzą.

Taką była owa piwnica gdańska, do której teraz wpadł jakby do jaskini młody malarz.

Kilkudziesięciu biesiadników siedziało przy długich, w podkowę ustawionych stołach. Ustawienie takie stołów było skutkiem wieloletniej praktyki i głębokich rozmyślań ojca gospodniego.

Wchodzący bowiem gość siadał obok drugiego, póki się cała piwnica nie zapełniła. Tym sposobem stawał się każdy niewolnikiem drugiego i nie mógł dowolnie miejsca opuścić lub zmienić. Tamowało to wprawdzie wolną cyrkulacją gości, ale dla ojca gospodniego miało nieobliczone korzyści.

Najprzód siedzący za stołem biesiadnik mógł tylko ze swoim sąsiadem lub naprzeciwko siedzącym wejść w jakieś bliższe stosunki, bo był przywiązany do miejsca. Również konsumowano więcej, bo niejedni nie mogąc zza stołu się wydostać, powtórzył racyą, bez której byłby się może obył. Głównym zaś celem tej organizacyi była kontrola przy zapłacie napitku. Ojciec gospodni nazwał to niejako szlacheckiem „adscriptio glebæ.“

Młody malarz stanął w samym środku tej podkowy i zaczął się całemu zgromadzeniu przypatrywać.

Zgromadzenie to miało dzisiaj cechę niezwykłą. Dziwne, wąsate twarze z porębanemi czołami, których

tutaj dawno nie widziano, napełniały prawie połowę piwnicy. W ubiorach także było coś niezwykłego. Jedni mieli szare kubraki, barankami obszyte, i szerokie myśliwskie pasy. Zdawało się, że ci ludzie gdzieś z obławy na wilki dopiero co przyszli, albo się na nią gotowali. U boku mieli krótkie, mało co zakrzywione szable, które więcej do kordelasów myśliwskich, używanych na niedźwiedzie, były podobne. A twarze tych mieszkańców kniei były tak ogorzałe od wiatrów i mrozów, że patrzący na nie malarz uczuł istotne zimno i dreszcz w całym ciele.

Niektórzy znowu przypominali barwą i krojem kontuszów najodleglejsze strony Rzeczypospolitej, jej kresy na wszystkie cztery części świata. Zdawało się, że z tych kresów dopiero co nadciągnęli, że ze wszystkich stron stawili się naraz w piwnicy gdańskiej na jakieś tajemnicze, dane z góry hasło...

Jedni z nich z wypieczonymi policzkami gwarzyli wesoło i głośno, drudzy znowu siedzieli w milczeniu i szybko biegającymi oczami chwyтали każdą nową fizioznomią, każde wyraziste słowo, każdy giest dobitniejszy.

Na tych szczególnie zwrócił uwagę młody malarz.

## VIII.

Jedna z grup, ulokowana na rogu stołu przy kominie, była najwięcej ożywiona. Pięciu czy sześciu wąsatych biesiadników skupiło głowy do kupy, aby wśród zgiełku i wrzawy tem lepiej siebie słyszeć i rozumieć. Za nimi jakby nie należący do grupy i od nich wcale nie widziany, stał barczysty jegomość o siwym wąsie, a krugulczym nosie, i pochyłony nad rozmawiającymi przysłuchiwał się im z wielką uwagą. Miał na sobie żupan wytarty koloru tabaczkowego, przepasany wełnianym perłowego koloru pasem, zpod którego wisała krzywa szabla z pogiętą pochwą.

Do tej grupy zbliżył się malarz i zajął stanowisko za szerokimi barkami nieznajomego obserwatora.

— Konstytucya, konstytucya! — mówił jeden z siedzących z przerąbaną na krzyż łysą czaszką — cóż tam do diabła jest w tej konstytucyi! Paragrafy i paragrafy, a czy to paragrafy utuczają szlachcica, jeżeli mu się boki do kupy schodzą?

— Już to od czasu, jak zaczęto spisywać te zakręcane baranie rogi, które waszeć paragrafami nazywasz — ozwał się siwy szlachetka w wytartym kubraku — zaczęło się mącić w Rzeczypospolitej!.. Gdy woda ma prąd mocny i zasób niewyczerpany, to i groble na nic się nie-zdadzą, a młyn w końcu diabli wężmą! Zamiast mleć jak dawniej

melto, wzięto się do stawiania sztucznych młynów na wzór zagranicznych, a tymczasem i żytko i mielników czarci porwą!

— Słusznie mówisz waćpan — dorzucił otyły biesiadnik ocierając pot z czoła — przy dzisiejszej konstytucyi człowiek schudnie i stanie się jak kōmar w zimie!

— Ja też to nieraz mówię — podjął pierwszy — że tylko wróg Rzeczypospolitej mógł coś podobnego wymyśleć! Dawniej nie było pisanych ksiąg, ale byli Radziwiły, Sapiehy, Potoccy, Czartoryscy i im podobni magnaci. Gdy człowiek chciał brać udział w sprawach Rzeczypospolitej, nie zaglądał do paragrafów, ale zaciągnął się do chorągwi jednego z tych panów i miał przytem *victum et amictum*! Jak tam szła sprawa publiczna, to już nie jego głowa w tem była, ale pana, któremu służył. A sprawy te musiały iść nie źle, jeśliśmy mieli Polskę od morza do morza, a w kraju nie było ani Prusaków, ani Austryaków, ani Moskali!.. Dzisiaj konstytucya wszystkich nas zrobiła panami, ale panami bez papki i czapki; mieszczuchom dała takie same prawa, co człek pierwej szablą tylko wyrąbać sobie musiał, a nawet i z żydami już wchodzą w konszachty, aby psom — niedowiarkom coś z naszej poły odkroić! Chłopa wzięto „pod opiekę prawa“ tak, że go teraz i trącić nie można, a kiedy przed półrokiem leśnego złodzieja z kniejówki ubiłem, to musiałem pięć razy w sądzie grodzkim świecić oczyma, nim się z tego jako tako wylizałem! I my mamy pojutrze cieszyć się z tych kart konstytucyi na naszym grzbiecie napisanej?

— Mówią — ozwał się inny — a nawet sam w jakiejś księdze czytałem, że gdy sułtan, któremu na stole pisać nie

wolno, na grzbiecie niewolnika rozkaz swój napisze, to ten niewolnik staje się wolny i dostanie jeszcze pieniędzy na nowe szaty!

— Ba, a z nas szaty ściągniono! My z wolnych stajemy się niewolnikami kawałka papieru, my którzyśmy po dziadach pradziadach naszych odziedziczyli prawem miecza wolność złotą, jedyny i wiecznotrwały nasz posag!..

— Dzisiaj żaden magnat i kaszy z szwedami człowiekowi nie chce dać, mówiąc: nie trzeba mi was!

— Nie wiem, jeżeli to długo potrwa, to człek będzie musiał zrzec się swego klejnotu, a wdziawszy opończę, będzie żydom wodę wozził, którzy teraz ks. Piatolego wraz z malowanym królem za pięć milionów złotych kupują, jak to mi mówił jeden z dworzaninów Branickiego, hetmana naszego.

— Koniec końców przecież my coś znaczyemy! Dawniej przy szopie pod Wołą dawaliśmy królom korony, a dzisiaj kurczymy się i chowamy pod pierzynę, jakbyśmy o wszystkim zwątpili! Przecież gdybyć tak jak dawniej bywało...

— Ba, to puszczą na człeka chłopów, mieszczan i żydów jak psy z sfory! A co je jeszcze gorsza od tego wszystkiego, zamkną do turmy i wytoczą procesy!

Biesiadnicy zamilkli tutaj w smutnych pogrążeni myślach. Jeden z nich rozprowadzał palcem rozlany miód po stole, jakby kreślił plany kampanii przeciw konstytucji trzeciego maja. Drugi lepił gałki z okruszyn chleba, jakby przygotowywał bomby i granaty, a trzeci melancholijnym wzrokiem patrzył na swój brzuch tłusty, który był świadkiem lepszych czasów, kiedy to człek tylko pasa popuszczał.

— Ja przecież mam nadzieję, że to inaczej będzie —



ozwał się właściciel brzucha tłustego z lekkim westchnieniem.

— Może być inaczej — dorzucił rysownik planów miodowych.

— Ja nawet wiem z pewnością — dodał fabrykant granatów — bo mi tarknął coś do ucha marszałek wojewody...

— Czyż hetman Branicki i generał artylerji JWpan Szcześnie Potocki napróżno w Petersburgu siedzą?

— Ba — odparł granatnik — jakże to pogodzić te dwa słowa: Petersburg i Warszawa?

— Już tam pałka waszeci nie do tego, abyś te słowa godził z sobą, jak Twardowski mieszał wodę z ogniem, — ofuknął mówiącego planista — głowa w tem tych, którzy tam są! To nazywa się polityką, o czem waszmość ani pojęcia nie masz!

— Mam czy nie mam to mniejsza; ale jeżeli przez tę politykę trzy kawaly Rzeczypospolitej straciliśmy, to ta polityka diabła będzie warta!

— Otóż masz skutki konstytucyi! Chudy szlachcic, którego na to Bóg stworzył, aby magnatowi służył, chce sam kierować sprawami Rzeczypospolitej!.. A niech tam panowie sobie głowy nad tem suszą, abyśmy tylko dobrą służbę mieli!

Znowu nastąpiło milczenie, które jeszcze kilka razy się powtórzyło, osobliwie gdy chleb schodził się ze sprawami Rzeczypospolitej.

— Mimoto wszystko — ozwał się jeden z grupy po dłuższej pauzie milczenia — mimo to wszystko gotują na pojutrze obchód uroczystości, jakiego jeszcze Warszawa nie widziała!

— Tak, Warszawa ma się z czego cieszyć! Żydzci, mieszczanie, rzeźniki, szewcy i piekarze!

— A dla naszej Rzeczypospolitej to obchód rocznicy pogrzebu!

— Na Krakowskiem przedmieściu stawiają maszty, na których chorągwie z herbami Rzeczypospolitej powiewać będą.

— Fara będzie obita czerwonym adamaszkiem.

— Tysiąc kamieni świec kupiono na oświecenie rządowych gmachów, bo tak marszałek Ignacy Potocki i pan Massei nakazali.

— Mój Boże! Coby to powiedział śp. hetman Jan Zamojski, gdyby wstał z grobu i obaczył, co się z wolnością szlachecką stało? Umarłby po raz drugi!

— Ale cóż na to wszystko król?

— Król... król... ot król malowany! Byle miał ładnych kobiet tuzin koło siebie i kilka nowych obrazów włoskich!..

— Ba, ależ to w takim razie z nim sprawa!

— A jużcież z nim: detronizacya, ogłoszenie bezkrólewia... szopa pod Wolą... toby było mości panie inne życie w Rzeczypospolitej, jakiego od stu lat nikt nie zapamięta!

— Gdyby to być mogło! Gdyby to tak się stało!

A kiedy tak wszyscy gorąco wzdykali do rokosznych marzeń swoich, ozwał się za nimi tubalny głos barczystego jegomości, który akcentem swoim coś zlitewska zatęczał:

— Mości panowie! Kto z was strzela najcelniej z kniejówki? Tysiąc czątych na rękę i dank Rzeczypospolitej!

Biesiadnicy obrócili się do mówiącego i patrzali na niego czas niejaki z zadziwieniem.

— O czem waszmość myślisz? — zapytał jeden z nich olbrzyna.

— O tym, o którym mówiliście — odpowiedział olbrzym.

— Mówiliśmy o królu!

— Jestem z wami w zgodzie.

— Jak to w zgodzie?

— Od głowy ryba cuchnie.

— Od głowy?.. Cóż z tą głową?

— Cóż z tą głową... tam do kata... precz z tą głową!

Biesiadnicy zmierzyli w głębokiem milczeniu olbrzymia o pogiętej pochwie, potem spojrzeli po sobie, jakby się oczami porozumiewali. Olbrzym patrzył na nich z góry z śmiałem, miedzianem czołem. Koło szerokich ust jego wił się uśmiech złośliwy.

— I cóż wy na to mościpanowie?

— Na takie słowa nie masz odpowiedzi! — zawołał granatnik.

— Ja rozumiem zrobić kofenderacją — mniemał planista — obwołać interregnum, bić się nawet porządnie i uczciwie z adherentami króla malowanego, ale... brać się do kniejówki... to absurdum mospanie!

— Nie tylko absurdum, ale coś więcej, mój bracie — wołał trzeci, głaszcząc się po tłustym brzuchu swoim — i radzę waszmości prędko ztąd się wynieść, bo gdy mi się krew rozgrzeje, to źle będzie! A już czuję, że mi się coraz cieplej robi!

Na te słowa jakiś błądy jegomość w czarnym falendyszu, który milczał dotąd siedząc zdala na ławie, zbliżył się do olbrzyma z pogiętą szablą i szepnął mu półgłosem:

— Daj pokój! Pójdziemy do innych.

Potem obaj zwrócili się ku drzwiom.

Malarz szybko postąpił ku młodemu człowiekowi, który niedbale siedział przy kubku miodu.

— Chrzest! — zawołał do niego półgłosem.

— Pokuta! — odparł szybko zagadnięty wstając na równe nogi.

— Pójdiesz natychmiast za tymi dwoma — rozkazującym głosem ozwał się malarz do stojącego przed nim młodzieńca, który zdawał się być jakimś rzemieślnikiem.

Młodzieniec z uległością przyjął rozkaz i z widocznym zadowoleniem pomknął za olbrzymem z pociętą szablą.

Malarz tymczasem przysunął się do dawnej grupy, i rozpoczął z nimi rozmowę o uroczystości pojutrzejszej.

— Idź Wpan do czarta — ozwał się jeden z nich — my z Jakubinami nic nie mamy do czynienia! My chcemy Rzeczypospolitej, jaką dawniej była i jaką teraz być powinna! Za taką będziemy się bić i wytoczymy krew naszą, to jest, za dawną polską cnotę, Rzeczypospolitą i wolność złotą.

Malarz westchnął patrząc na te biedne rybki, które pochwyli pierwsza lepsza matnia niepokojonego pychą magnata...

## IX.

Gdy się to w gdańskiej piwnicy działo, na zacisznej ulicy „Rybaki“ oświecone były jasno okna małego domku, które śród nocnych ciemności podobne były do oczu czuwającej straży.

Na ulicy była cisza tak głucha, że dobre ucho mogło wyraźnie słyszeć plusk fali wiślanej, która opodal odbijała się o bolwark nadbrzeżny i jakieś dziwne tajemnice powierzała owiniętej w kamienne szaty Syrenie...

Czasami tylko z poza chmurek majowych przebiegał się księżyc i sinymi swymi promieniami wyścielał błotnisty chodnik ulicy biednej, jakby chciał walczyć z czerwonym światłem wychodzącym z okien małego, czuwającego domku...

Fala Wisły połyskiwała wtedy jaśniej, i jak srebrną łuską okryta Melozyna wyprawiała rokoszne płasy mruzcząc jakieś dziwne, tajemnicze, niezrozumiałe pieśni...

A po tych srebrnych łuskach pomykała się właśnie w tej chwili długa, wąska łódka i dążyła do brzegu kierując się światłem, wychodzącym z okien małego domku.

Wreszcie stuknęła dzióbem o bolwark, a śmiały rotman wyskoczył na brzeg, przywiązał sznur do pala i

z długim wiosłem na ramieniu udał się najprościej drogą do oświeconego domku.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał w prógu, stawiając przy ścianie godło swego żywota, godne Neptuna.

W izbie, do której wszedł, było liczniejsze zgromadzenie. Za stołem siedział gospodarz rozebrany wygodnie, jakto zwykli czynić ludzie ciężkiej pracy. Do wchodzącego gościa wyciągnął ramię, owinięte tylko białą koszulą, i serdecznie za rękę go uściśnął.

— Na wieki wieków — odpowiedział z dobrotliwym uśmiechem na rumianej twarzy. — Czy z drugiego brzegu Błazeju?

— Tak, zabawiłem się do późnej nocy, połów dzięki Bogu był dobry! Pół korca drobiu puściłem napowrót do wody.

— Dobrze robicie — odparł gospodarz — to znaczy dobrze gospodarować Wisłą. Wprawdzie z tego drobiu już tam my pożytku nie będziemy mieli, ale za to będzie go miał rybak piędziesiąt mil poniżej... Tak, tak swacie Błazeju; gdyby to w naszej Polsce dawniej tak gospodarowano, nie byłoby dzisiaj takiego skweresu! Dzisiaj wszystkie sieci zapuszczają do wody, i jakież połow? Żaby, głowacze i piskorze, co to zaraz z matni się wymykają!

— A najgrubsze ryby w Petersburgu! — odparł szerokobarczysty rybak, i z własnego konceptu zaśmiał się z takim zadowoleniem, że w izbie wszystkie okna zabrzęczały.

Teraz obejrzał się po izbie, aby wszystkich obcych przywitać.

Izba była obszerna i schludna. Po sprzętach można było wnosić, że gospodarz jest zamożnym człowiekiem. Na pułkach stały różne cynowe naczynia, które w owym czasie były zawsze oznaką dobrego bytu mieszczanina. Obrazy na ścianie przedstawiały obok Matki Boskiej Częstochowskiej różnych patronów korony Polskiej. Najokazalej jednak w politerowanych ramach wyglądał św. Piotr, zarzucający sieci do wody, jako szczególny patron rybackiego cechu. Jego to opiece oddał gospodarz wszystkie papiery swoje, rachunki i kwity, które zatknięte za ramy sterczały ponad falami morza, wyobrażającego wogóle wodę, jako jedyne źródło zarobku rybaka. Za to królowej Polski z Jasnej Góry dostały się idealniejsze rzeczy, jako to gromnica, święcone palmy i pęki makówek, również poświęconych, a na uroki złych ludzi nader skutecznych.

Sprzęty izby były nader proste. Pod ścianą stał duży stół dębowy czysto wymyty, koło niego długie dwie ławy. Przy drugiej ścianie opierał się pękaty kufer zielony, misternie żelazną blachą po rogach wybity. Służył on również do siedzenia. Między oknami była duża skrzynia jasionowa z olbrzymim zamkiem, który wyraźnie zdradzał, że tam leży uciulany pracą grosz gospodarza.

Z tej izby prowadziły drzwi do alkowy, czyli jak mieszczanin nazywał, alkierza, który był przeznaczony dla rodziny.

Pod olbrzymim piecem była w trójkąt przytwierdzona ławka, na której opierał się sięgający aż do pułapu drąg dobrze ogładzony, przeznaczony do przytrzymywania sieci podczas roboty. Pod piecem widać było trzy kanały,

w których mieszkały króliki, jako nieoceniony specyfik na reumatyzm, jakiemu często ulegają rybacy. Sam ich pobyt w izbie ma działać nader skutecznie na tę dolegliwą chorobę, od której żyjącemu na wodzie rybakowi trudno się ochronić.

W izbie było dzisiaj zgromadzenie dosyć liczne. Kilkunastu mieszczan w granatowych kapotach z pętlcami, czerwoną podszewką podbitych, siedziało na ławach przy stole i na zielonym kufrze. Na stole stały na cynowych misach resztki przekąski, składającej się z jakiegoś mięsiwa. Pomiedzy misami były dwa dzbany z białej gliny misternie wyrobione, z których jeden przedstawiał żyda z długą brodą, a drugi żydówkę w stroju narodowym, z ozdobną bindą i perłami na głowie. Żyd na brodzie miał napisane: „Kto miód pije, długo żyje“, a żydówka dźwigała na piersiach słowa: „Prorok dzbanek miał z oliwą, a ja daję miód i piwo!“

Na ławie pod piecem siedziała młoda dziewczyna, o bladej twarzy i włosach jak len jasnych, i robiła sieć przymocowaną do drąga. Niebieskie jej oczy patrzyły rozmarzone na wiążące się oka sieci, jakby przed sobą nic innego nie widziały.

Gości gospodarza składali się po większej części z rybaków, najbliższych jego sąsiadów, z dodatkiem dwóch, których kapoty tłuszczem przesiąknięte okazywały, że należeli do cechu rzeźnickiego. Byli to krewni gospodarza, który jako cechmistrz rybacki częstował dzisiaj u siebie towarzyszków swego zawodu.

Przybyły z drugiego brzegu Wisły rybak powitał wszystkich serdecznem uściśnieniem ręki i wszystkim jakies wesołe słowo powiedział.



Wkońcu zbliżył się do bladej dziewczyny, pogłaskał ją pod brodę jak mógł najdelikatniej, i rzekł:

— Cóż to, panno Anno, tak smutno oka liczysz! Jeżeli do tej sieci mają przychodzić rybki, to trzeba ją robić z śmiechem i radością!.. A gdzież pan Rafał?

— Właśnie czekamy na niego — odparł gospodarz — obiecał, że przyjdzie, ale go coś bardzo długo nie widać!

— Ej, pan Rafał na pańskich pokojach! — odparł Tryton — gdzie tam jemu „Rybaki“ w głowie! On na Krakowskiem Przedmieściu, na Nowym Świecie, na Senatorskiej!..

— Niech mu Bóg szczęści; uczył się czegoś lepszego od nas, nie będzie potrzebował po nocach na wodzie przebywać! Woda, ojczyźnie Błażaju, to zła rola! Człowiek nigdy nie wie, co ma pod sobą, czy kupę piasku, czy stadko sandaczy.

— Ha, cóż robić! Cały świat nie może ryb łowić; musi być ktoś, co je zjada.

— Ale wracając do rzeczy, bośmy tu właśnie o tem mówili, otóż musicie wiedzieć, kumie Błażaju, że pojutrze mamy w mieście wielkie święto.

— A jaktobym, nie wiedział! Przecież trzeci maj!.. Pamiętam go, co to było tamtego roku o tym czasie! Płakałem jak bóbr, gdy mnie jakiś senator wpół wziął, uściskał i powiedział mi: „Bracie!..“ Wierzcie mi, że gdybym wtedy miał szablę w rękę, a Moskala lub Niemca przed sobą, tobym w kawałki porąbał, gdybym nawet sam miał dzidą w same serce dostać... Bo to widziałem ja tych biednych Konfederatów, jakto na drodze do Hły z rozprutymi brzu-

chami leżeli! A to było takie młode, wychuchane, wypieszczone, zwyczajnie jak pańskie dziecko! Łzy biegły mi z oczu jak groch, choć byłem jeszcze dzieciakiem... To też mówiłem do tego senatora, co mnie wpół uściśnął: „Moście kasztelanie, źle się dzieje w Polsce; widziałem na drodze do Hły wasze paniątka z rozprutymi brzuchami... Komuż to się bić z wrogiem? Dlaczegoż to nam wtedy nie powiedzieliście: „Bracia“! A my przecież mamy lepsze ręce i szersze ramiona, bo w pracy człowiek nabiera siły, a mybyśmy nie dali ani sobie brzuchów rozpruwać, ani kordonu przez zagony Polski wyciągać! He? Dlaczegoż to wtedy nie było tego, co dzisiaj, że mospanie mieszczanin tak samo sobie dobry, jak szlachcic i senator?.. A nas jest przecież więcej, niżeli senatorów. Jakbyśmy tak razem...

— Zaczekajcie, zaczekajcie — przerwał mówiącemu rzeźnik — będzie czas i na to, i to da Bóg wkrótce! W naszym cechu mówiono o tem szeroko i długo. A ja wam powiadam, że rzeźnik nie żartuje. Zawsze ma nóż u pasu!...

— Co Bóg da, to będzie — przerwał gospodarz — ale teraz rzecz idzie o co innego. Z miasta dano znać cechmistrzom, aby pojutrze z wszelką uroczystością cechy wystąpiły.

— Rozumie się, rozumie się! — wołano chórem — w słubnych kapotach! Bo też ten dzień, to nasz ślub z Polską, jak mówi Rafał — dodał gospodarz.

— Ba, kiedy ślub, to muszą być i gody — wtrącił jeden z młodszych — a gody wartoby wyprawić wrogom!

— O to i ja św. Piotra zawsze proszę — wtrącił drugi — bo też już patrzeć nie mogę na to bestyjstwo!

— Szkoda tylko, że ci panowie senatorowie wcześniej nas tak wół nie wzięli, jak kuma Błażeja, i nie powiedzieli: „Bracia“! Ręczę wam, żeby i Polska cała była i mybyśmy tego niechlujnego bestyjstwa w naszym kraju nie widzieli!.. Alboż to Niemiec nam za każdym krokiem nie śmierdzi, co jeszcze do tego pieniądze nasze fałszuje?

— Ale znowu odchodzicie od rzeczy — przerwał cechmistrz niesfornej czeladzi swojej — ja wam chcę mówić o pojutrzejszej uroczystości...

— Toż już wszyscy o niej wiemy i wystąpimy z jarzącymi świecami tak licznie, jak gwiazdy na niebie! A spiewać będziemy „Te Deum“, aż w Petersburgu będą słyszeć!

— Ztamtąd coś niedobrego słyhać.

— Przebąkują coś o wojnie...

— Im prędzej, tem lepiej! Tylko ser odkładany dobry. A jeżeli senator do rybaka mówi „bracie...“ to wiecie, wiele to takich braci będzie! A ręczę wam, że ci nowi bracia nie dadzą sobie tak łatwo brzuchów rozpruwać, jak tamci na drodze do lży! A to z tej prostej przyczyny, że ich będzie więcej. Rozumiecie, co to znaczy „więcej“?

— Pozwólcie, Błażeju — zagadnął znowu cechmistrz — bo u was słowa tak obfite, jak ryby na św. Jana, a ja chce wam oznajmić, że pojutrze trzeba będzie jakoś naszą mizerną ulicę przystroić, bo całe miasto będzie wystrojone, jak państwo młodzi przy ślubie.

— Nic łatwiejszego, mości Macieju! Nie mamy dywanów, ani makat, ale mamy siecie i powrozy. Z naszych sieci z okna do okna porobimy takie fixy-faxy, że z Krakowskiego Przedmieścia będą się schodzić i patrzeć.

- Myśl wcale nie zła.
- Czem chata bogata, tem rada.
- Kupimy pięć beczek smoły i zapalimy na brzegu.
- Naturalnie, bo nasza Wisła musi także świętecznie wyglądać. I ona musi się cieszyć w tym dniu, w którym przed rokiem senator rybaka wpół wziął i rzekł doń „bracie“, biednego rybaka, który niejedną noc w ciężkiej pracy na czółenku przysiedział!..

— Ale teraz powiem wam coś smutnego — zagadnął cechmistrz.

— Smutnego? Cóż może być dla nas smutniejszego jak to, że nam wrogi na karku siedzą i prawa dyktują?

— Jeszcze coś gorszego!

— Cóż to jest?

— Mówił mi Rafał, że godzą w tym dniu na życie króla!

— Na życie króla?... Na życie króla?

— Tak, na życie króla.

— A któżby to był takim łotrem?

Na to zapytanie nie odpowiedział zaraz cechmistrz.

— Ktoby mógł być takim łotrem? — rzekł po chwili z dyplomatyczną miną — mogą być różni, tacy i tacy!

Milczenie głębokie zapanowało w izbie. Kilkanaście serc uderzyło żywiej na samą myśl takiej zbrodni.

— Nie, to być nie może! — ozwał się jeden z mieszczan.

— Wszystko być może — odparł pan Błażej — bo widzicie, nas jest teraz w Polsce już więcej, a wrogi chcą, aby było mniej. A zaczynać chcą od głowy!

— Przecież straż... wojsko — replikował sąsiad.

— Straż i wojsko swoją drogą — rzekł cechmistrz —

ale właśnie o to chodzi, abyśmy w tym dniu wszyscy byli strażą i wojskiem.

— Tak strażą i wojskiem! — zawołano chórem.

— Pojutrze... i w ten dzień, gdy tego także będzie potrzeba — dodał z poważną miną pan Błażej.

— Amen! — zawołał najstarszy z mieszczan i powstał z miejsca, aby gospodarza i cechmistrza na dzisiaj pożegnać.

Wszyscy poszli za jego przykładem, a w izbie pozostał tylko stary cechmistrz i błąda o białych włosach dziewczyna.

— Idź spać, Anusiu — ozwał się cechmistrz do bladej dziewczyny — już sporo jest po północy.

— Rafała jeszcze nie ma, kochany dziaduniu! — odparła dziewczyna.

— Na Rafała chcesz czekać? — rzekł cechmistrz z bolesnem na nią wejrzeniem — radzę ci nie czekać, bo jego się nie doczekasz! Idź spać, moje dziecię, i tak jesteś bladą jak cien nocny!

Rzekłszy to cechmistrz rybacki, pocałował bladą dziewczynę w głowę, wziął z przypiecka kaganiec jeden i udał się do alkierza.

W izbie została błąda dziewczyna sama jedna.

## X.

Stolica Polski pogrążona była w śnie głębokim, i nikt o tem nie zamarzył, że na odległej ulicy starego miasta czuwa w tej chwili młoda blada dziewczyna, o której za dwa dni mówić będą w całej Warszawie... Nikt jej nie znał, nikt jej dotąd nie widział, a przecież niezbadana w swoich wyrokach Opatrzność położyła palec na jej czole i naznaczyła ją do spełnienia tego, o czem dzisiaj nikt jeszcze nie wiedział...

Smutne koleje losu, łyzy i cierpienia, wszystko to staje się w takim razie narzędziem ręki kierującej, która zostawiwszy człowiekowi wolną wolę, nie zaniedbuje jednak korzystać z jego kar zasłużonych i zamieniać je na korzyść dobrego....

Historya bladej dziewczyny była nader smutna i bolesna, chociaż ludzie dzisiejsi po większej części już o tem zapomnieli.

Ojciec jej był odźwiernym u ks. biskupa Sołtyka. Ocierając się o służbę panów nabył zwolna jej nałogów, to jest, lubił grać w kości i rozgrzewającym trunkiem dodawać sobie fantazyi do życia wesołego. Żona odumarła go wcześniej i zostawiła mu małą córkę o jasnych, jak len, włosach i dużych niebieskich oczach.

Oczy tej biednej sieroty płakały często w pustej izdebce, podczas gdy ojciec w narożnym szynku zabawiał się ze służbą księcia wojewody, grając z nimi w kości lub karty, które podówczas rozpowszechnić zaczęły się w Polsce i z pałaców magnackich zeszyły do kredensów i szynków.

Życie takie było kosztowne, a odźwierny ks. biskupa, który żył bardzo skromnie, nie mógł mieć tyle zarobku, ile mieli ludzie od księcia wojewody, gdzie co wieczora bywały zabawy.

Gra w karty i kości także niefortunnie szła odźwiernemu, który był za gorący i niecierpliwy. Często nawet z tego powodu miewał spory z towarzyszami, którzy przeciw niemu jedną rękę zrobili, aby mu tylko dokuczyć.

Skutkiem tego wszystkiego było, że odźwierny miał w szynku dług dosyć spory, kredą na szafie szynkowej zapisany, nie licząc w to różnych należytości za przegraną.

Taki stan rzeczy rozdrażniał coraz więcej umysł odźwiernego, który coraz częściej z izdebki swojej do szynku wybiegał, aby tam szczęścia próbować. A w samotnej izdebce coraz częściej płakała biedna sierota, twarz jej stawała się coraz więcej przezroczytszą, a usta owijał jakiś dziwnie ujmujący uśmiech bólu i cierpienia.

Stało się jednego dnia, w którym odźwierny już ani w szynku ani u graczy kredytu nie dostał, że do jego izdebki przyszedł jakiś człowiek późnym wieczorem i zaczął z nim wiele mówić o księdzu biskupie. Wypytywał go, jak zazwyczaj ks. biskup dzień przepędza, co mówi, i kto najwięcej do niego przychodzi.

Nieznajomy mówił jakimś obcym akcentem, ale przecież dosyć zrozumiale, aby jako tako rozmowę prowadzić.

Po skończonej rozmowie wspomniał mu, że go widział w gospodzie pod białym barankiem, jak z nim ludzie od księcia wojewody grać nie chcieli, że nie miał pieniędzy. Aby się więc drugi raz to nie powtórzyło, ofiarował pożyczyc mu kilka bitych, które mu odda, gdy się odegra.

Ostatnie słowa nieznajomego były dla odźwiernego tak słodkie, jak owa manna, która wygłodniałym żydom z nieba do gęby spadała. A były jeszcze tem słodsze, że wywołały u niego pragnienie zemsty na ludziach księcia wojewody.

Pod takim wrażeniem nie słyszał odźwierny wcale, że pod żebrami na lewej stronie coś mu się niespokojnie robić zaczęło, nie zważał nawet i na to, że wyciągniona po bite talary ręka jego jakby kurczem jakim zadrzała i wśród drogi zatrzymała się... Zgarnął szybko ze stoła błyszczące srebrniki, podziękował odchodzącemu nieznajomemu, i pobiegł szybko do gospody, aby ludziom księcia wojewody zaimponować i dać im odwet za ich urąganie się.

Tymczasem przez cały wieczór płakała pozostawiona w izdebce samotna sierota, przy której prócz anioła stróża nie było więcej nikogo!

Fortuna i tego wieczora nie sprzyjała graczowi. Na drugi dzień przyszedł znowu nieznajomy przyjaciel, ofiarował znowu małą pożyczkę, ale za to żądał coś więcej dowiedzieć się o księdzu biskupie.

Odźwierny był jeszcze w alteracyi po grze wczorajszej, przy której znowu wyśmiali go ludzie od wojewody



i gołego do domu puścili. Poprzysiągł im zemstę, ale do zemsty potrzeba było pieniędzy!

Pieniądze położył znowu nieznajomy przyjaciel, a za nie chciał tylko porozmawiać o księdzu biskupie i wiedzieć, kto dzisiaj przed południem był u niego.

Odźwierny czuł dzisiaj już wyraźniej, że przy tych słowach coś go w bok ukuło, jakby go ktoś kułakiem upomniał, aby się z tej drogi ustąpił; ale pamięć wczorajszej gry nieszczęśliwej i obelgi, jaką mu z tego powodu wyrządzili ludzie wojewody, pozbywając się go z gospody w sposób nieprawowity, była tak silna i taką napoiła go roskoszą zemsty, że tego napomnienia bynajmniej nie usłuchał, tylko wzięwszy srebrniki, życzeniu nieznajomego swego dobroczyńcy zadość uczynił.

I trwało to czas niejaki. Bywały chwile wprawdzie, w których odźwierny kłócił się sam z sobą, gdy w pustej izdebce wszystko sobie rozważał, a nawet groził pięścią nieobecnemu nieznajomemu w sposób nader niebezpieczny; ale te chwile mijały bez żadnego skutku, a nieznajomy przyjaciel był zawsze wielce pożądanym, gdy się w izdebce z dobrotliwym uśmiechem zjawiał.

Pewnego dnia, po dłuższej nieco rozmowie i po wręczeniu kilku najnowszego stępla talarków, przyszło nieznajomemu przyjacielowi nagle do głowy, obaczyć komnaty księdza biskupa, w których najczęściej przebywa.

Biskupa właśnie nie było w domu. Odźwierny podumał trochę nad tą propozycją. Ależ miły Boże — pomyślał sobie obracając w kieszeni talarki — cóż w tem będzie złego, jeżeli ciekawemu człowiekowi okażę, jak wyglądają pokoje biskupie? Przecież to nieraz zdarza się,

że ludzie oglądają komnaty królewskie lub księcia wojewody?..

Wprawdzie brzęczały talarki w kieszeni jakimś dziwnym dźwiękiem, a ten dźwięk szedł po szpiku w kościach, jakby po naciągnionych strunach, aż gdzieś pod żebra, ale wkońcu ustał ten dźwięk, a odzwierny wziął z kołka pęk kluczków i dał znak nieznanemu przyjacielowi, aby się z nim udał.

Nieznanomy przyjaciel podziwiał bogate sprzęty, przypatrywał się obrazom i bogatym kotarom, otwierał i zamykał drzwi, wyglądał przez okna, słowem wszystko chciał widzieć i o wszystkim wiedzieć. Najmniejsza drobnostka interesowała go.

Obejrzawszy wszystko, pytał odzwiernego, w których komnatach ks. biskup najmilej przebywa, gdzie pije śniadanie, a gdzie je wieczerzę i co potem robi.

Odzwierny na wszystko dawał odpowiedzi, choć go to coś niepokoić zaczynało. Przychodziły mu przy tem różne myśli do głowy, ale wzgląd na wspaniałomyślność nieznanego, który zwrotu swoich pożyczek nigdy nie żądał, i żądza zemsty nad wygrywającymi zawsze ludźmi od wojewody, przepłaszwały te myśli, jak natrętne komary, które gwałtem cisną się do krwi ludzkiej...

Wreszcie zadowolili się nieznanomy, a wyręczając odzwiernego sam pozamykał wszystkie drzwi od komnat i kurytarzy. Uporawszy się z tem wszystkim zeszli obaj do izdebki przy bramie, gdzie jeszcze niejakiś czas rozmową o ks. biskupie się zabawiali.

Po małej próbie odwetu, która i tym razem nie udała się w gospodzie, wrócił odzwierny mocniej niżeli kiedykolwiek zmartwiony do swojej izdebki.

W izbie spała już dziewczynka o jasnych włosach a bladej twarzy. Zdaje się, że usnęła wśród płaczu, bo spod długich rzesów świeciła się jeszcze duża kropla, jak perła połyskująca.

Gdy się ojciec do niej z kagańcem zbliżył, zaczął jakiś dziwny niepokój malować się na twarzy spiącej. Silny rumieniec wystąpił na lica, a nabrzmiąte usta zaczęły się ruszać, jakby mówić chciały a nie mogły!..

Walka ta czuwającej duszy z martwym ciałem zwiększała się z każdą chwilą. Ciężkie bolesne westchnienia wydobywały się z jej piersi, złożone na piersi ręce siliły się do jakiegoś ruchu, odpychającego naciskający się przed oczy przedmiot...

— Anusiu! — zawołał odźwierny — co ci to jest?

Dziewczyna otworzyła oczy i spazmatycznym ruchem odepchnęła rękę ojca. Kaganiec wypadł z ręki odźwiernego, a palący się na ziemi gnot oświecił w tej chwili izdebkę w sposób przerażający.

Dziewczyna równemi nogami wyskoczyła z łóżka.

— Czegoś się tak przestraszyła? — ofuknął odźwierny podnosząc gnot z ziemi i kładąc go do kagańca.

— Snili mi się rozbójnicy — odparła przestraszona dziewczyna — a ty ojcie, byłeś ich hersztem!

— Co ci to po głowie lata!.. Idź spać, idź spać! — mruknął odźwierny z jakimś nieukontentowaniem, z którego nie umiał sobie zdać sprawy.

Dziewczynka przeżegnała się, odmówiła pacierz i położyła się znowu na spoczynek. Za jej przykładem poszedł i odźwierny, ale bez przeżegnania się i pacierza. Bó jakoś o tem w tej chwili zapomniał. Sen Anusi poruszył w jego

głowie jakieś dziwne myśli, od których rad był być jak najdalej.

Długo nie mógł usnąć. Różne obrazy tłoczyły mu się przed oczy. Gospoda pod białym barankiem, ludzie księcia wojewody, nieznajomy przyjaciel, i widziani we śnie przez Anusię rozbójnicy, których miał być hersztem, wszystko to przesuwano się kolejną przed nim i powoli ciemniało coraz więcej, póki ostatecznie gdzieś nie przepadło!

Odźwierny usnął.

Zbudziła go jakaś dziwna wrzawa. Wyskoczył do sieni... Jakiż tam straszny widok odłania się przed nim?

Oto sień cała zapełniona wojskiem moskiewskim, najeżona bagnetami. Tylną bramą zdąża jeszcze sukkurs nowy tym nocnym gościom... Z dziedzińca toczy się ku sieni zamknięta karetka... A u schodów napół ubranego prowadzą biskupa pod ręce żołnierze, który w tej chwili przy oświetleniu pochodni zupełnie był podobny do owego mistrza w ogroju, którego uczeń pocałunkiem zdradził i zbrojnej rzeszy wydał!..

A pomiędzy tą rzeszą, która biskupa uprowadzała, widział odźwierny swego nieznajomego przyjaciela, któremu był winien tyle bitych talarów!..

Biskup Sołtyk miał rzewny wyraz na twarzy, i do płaczącej służby, która zdala stała, zdawał się mówić: Nie płaczcie nademną, ale płaczcie nad tymi, co zostali, aby sprzedać ojczyznę i ją do grobu włożyć!

A kiedy ręka moskiewskiego żołdaka szanownego kapłana do karety wepchnęła i skinieniem woźnicy znak

dała, rozległ się w sieni i na ulicy krzyk i płacz służby, aż się wszystkie okna w pobliskich domach pootwierały.

A tymczasem wśród nocnych ciemności pomknął oddział obcych żołnierzy z porwanym biskupem ku Pradze...

— Biskupa nam porwali! Biskupa porwali! — zawołał tłum na ulicy, zbudzony płaczem służby.

— Co to jeszcze dalej będzie!

— Czasby już był, aby się wziąć do nich!

— Wprzódzy wezmą się oni do nas!

— Jak się nie mają brać, jeżeli panowie się z nimi całują!

— A biskup nie chciał się całować, to go porwali!

W tej chwili podniósł ktoś z ziemi uronioną przez biskupa chustkę. I tłum uliczny rzucił się na tę chustkę i rozszarpał ją w strzępki, aby jako relikwią zanieść do domu po świeżym męczenniku!..

Na to wszystko patrzył odźwierny szeroko otwartem okiem i nie mógł jeszcze myśli swoich pozbierać.

A blada dziewczynka leżała tymczasem bez przytomności na progu izdebki. Widok porwania biskupa odebrał jej zmysły i powalił na ziemię.

Widok leżącego bez duszy dziecka przyprowadził odźwiernego do przytomności. Wylał na nią konew zimnej wody, podniósł i do łóżka położył. Potem usiadł i zaczął nad czemś myśleć.

Dziewczynka przyszła do siebie, ale jakieś dziwne majaki otaczały ją nieustannie. Wskazywała je ojcu i mówiła przytem rzeczy, które widocznie burzyły krew odźwiernemu.

A gdy już świtać zaczęło, wstał ze stołka odźwierny,

wyjął z pod pieca duży, kuchenny nóż, i zaczął go ostrzeć na osełce.

Pociągając nóż tam i napowrót miał na twarzy dziwny wyraz. Zdawało się, że w marzeniach swoich poił się widokiem krwi!..

Od czasu do czasu próbował ostrza palcem i uśmiechał się do swoich myśli. Czasem nawet robił nożem gest taki, jakby kogoś nim w samo serce przebijał! A wtedy uśmiech szatański wykrzywił mu twarz jakąś dziką, nieokreśloną roskoszą.

Gdy dzień już nastał, położył nóż na stole, a sam siadł na stołku jakby na kogoś czekał.

Siedział tak godzinę, dwie, trzy, a do izdebki nikt nie przyszedł. O tym czasie zwykł już być jego przyjaciel nieznajomy, a dzisiaj dotąd go nie ma? Czemuż nie przychodzi?

Odźwierny patrzył przez okno na ulicę, wreszcie wyszedł do sieni, ale w sieni i przed domem stały tłumy z twarzami roznamiętnionemi, których w tej chwili jakoś dziwnie obawiał się oszołomiony nocną sceną odźwierny... Cofnął się do swojej izdebki i ztamtąd już się tego dnia więcej nie pokazał.

Tymczasem zebrane tłumy uliczne zaczęły o porwaniu biskupa opowiadać rozmaite szczegóły. Jedni utrzymywali, że Moskale zrazu byli cudem bożym osłepieni, że w żaden sposób nie mogli trafić do komnaty ks. biskupa, ale jakiś nieznany człowiek, który u odźwiernego często bywał, zaprowadził ich bez żadnej przeszkody do biskupa, który właśnie klęczał i modlił się...

Słowa takie i tym podobne rozchodziły się pomiędzy

tłumem, przebiegały szerokie ulice Warszawy, wchodziły do komnat pierwszopiętrowych i ztamtąd lazły na poddasza.

Słowa te precisiuły się także przez szpary izdebki odźwiernego i weszły tam, gdzie zwykł siadywać ów nieznajomy przyjaciel, i przesunęły się po stole, na którym ten nieznajomy liczył srebrniki...

Odźwierny milczał na to wszystko i czekał niecierpliwie z nożem wyostrzonym przed sobą, po który często sięgał, i nim różne pchnięcia w powietrzu wykonywał.

Ale nieznajomy nie przychodził. Minął dzień jeden, drugi i trzeci. Anusia wstała z łóżka, ale miała ciągle jakieś przywidzenia. Odpędzała coś ustawicznie ręką od siebie, jakby natrętne komary.

Za tydzień krewni biskupa odprawili odźwiernego zapłaciwszy mu, co się należało.

Odźwierny rzucił te pieniądze do skarbonki dla biednych, a ze swojej izdebki nic nie wziął tylko Anusię i nóż wyostrzony. Resztę wszystko zostawił i ani razu więcej tu się nie okazał.

Co robił i gdzie przebywał, nikt nie wiedział. Jedni mówili, że się powiesił, bo tak samo zrobił Judasz Iskariot; drudzy inną śmiercią ginąć mu kazali, a byli nawet i tacy, którzy jednej nocy burzliwej na własne oczy widzieli, jak go diabeł żywego niósł do piekła.

Jakkolwiek wieści te między sobą się różniły, w tem jednak była zgoda powszechna, że taki człowiek żyć na ziemi nie może, i mniejsza oto jaką drogą, ale powinien dostać się do piekła.

Tymczasem na odległym przedmieściu Warszawy żył

odźwierny porwanego biskupa, żył jakby za karę trawiony wyrzutami sumienia, które mu we dnie i w nocy spokoju nie dawały.

W ubogim domku na Tamce zamieszkał skromne poddasze, a na kawałek chleba zarabiał sobie twardą pracą przy Wiśle.

Był ciągle milczący i zdawało się, że o całej swojej przeszłości zupełnie zapomniał; z nikim bowiem o niej nie mówił.

Jedna mu tylko rzecz została z tego epizodu życia. Co dzień po pracy, gdy wszedł na poddasze, wyjmował ze schówka ów nóż z izdebki dawnego swego mieszkania wyniesiony, i ostrzył go długo w noc. Przy tem zatrudnieniu ożywiała się jego twarz, oczy błyszczały, a ruch ust okazywał, że w duchu coś mówił do siebie. Od czasu do czasu próbował palcem ostrza i z nieopisaną rokoszą wykonywał w powietrzu różne pchnięcia. Potem twarz jego posmutniała, i chował nóż z widocznym zmartwieniem.

Anusia rosła wśród tego pod opieką Boga, który jak liliom barwę dał jej prześliczne jasne włosy i oczy, jak szafir połyskujące. Twarz jej jednak pozostała blada i przezroczysta.

Czasami miewała jakieś dziwne przywidzenia. Scena porwania biskupa utkwiała głęboko w jej młodej duszy i rozrosła się w jakieś dziwaczne widma.

Widziała przed sobą często obrazy mordów i pożogi, zakrywała oczy i padała na ziemię wołając o pomoc.

Czasami znowu jakby na złagodzenie rozdrażnionych nerwów okazywały się jej święci i aniołowie, na których patrzyła w zachwyceniu nieopisanem!..



I tak minął czas niejaki. Odźwierny biskupa pracował dzień cały na Wiśle, pomagając ciągnąć galary wyladowane różnymi towarami. A gdy mu tej roboty zabrakło, wtedy woził czólnem piasek z Saskiej kępy i rozdzielał go między biednych chłopców do sprzedaży.

Płynąc na wąskim czólnku po falach Wisły, doznawał nieraz wielkiej pokusy. Coś go ustawicznie ciągnęło do tych sinych, niezbadanych głębin, coś mu szeptało jakimś głosem tajemniczym, że tam znajdzie wszystko, czego człowiek w życiu nigdy znaleźć nie może, znajdzie pokój!..

Pokusie tej jednak opierał się mężnie. Najprzód myślał w takim razie o Anusi, a powtórę słyszał często księdza mówiącego, że samobójstwo jest wielkim grzechem. Grzechu zaś nie można zmyć żadnym innym grzechem!

Pchał więc jeden dzień po drugim, a gdy się raniem przebudził, smutno mu było, że znowu cały dzień żyć musi!..

Razu jednego na wiosnę wezbrała Wisła i doszła aż do niektórych ulic Warszawy.

Okropny, przerażający był to widok!

Na wzburzonych bałwanach płynęły powalone chaty włościańskie, domowe zwierzęta i różne sprzęty gospodarskie.

A wśród tych dziwnie porozrzucanych kęp ruchomych piętrzyły się góry żółtawej piany, i za każdym zderzeniem się fal rozpryskiwały w miliony atomów!..

Mieszkańcy Warszawy wylegli tłumami nad brzegi rozpasanej Wisły. Jedni zajęli wyżynę przy zamku, drudzy ze wzgórza ulicy bednarskiej przypatrywali się rozhukanym

wodom, a inni z Foxsalu i Tamki patrzyli z bijącym sercem na coraz nowsze obrazy spustoszenia.

Już nad samym wieczorem rozległ się między tłumem na Tamce krzyk przeraźliwy.

Śród pieniacego się wiru, samym środkiem Wisły płynął na kawałku drzewa szyper, którego tratwa, jak się zdaje, rozbiła się.

Po przeraźliwym krzyku nastąpiła grobowa, jeszcze bardziej przejmująca cisza...

Każdy wstrzymał swój oddech, i zdawało się, że te tysiące ludzi nagle skamieniały!..

Szyper bowiem pasował się z falami, które mu kawał drzewa wydzierają. To się wgłąb zanurzał, to znowu na wierzch wypływał, i od czasu do czasu głosem omdłym zaklinał wszystkich, aby go ratowano!..

Na brzegu między tłumem stał biedny wyrobnik, którego ten widok na chwilę jakby odurzył... Po chwili jednak zaiskrzyły mu się oczy, jakby jakaś myśl radosna w głowie mu powstała.

Zwrócił się i szybko pobiegł do małego domku.

Na poddaszu w tym małym domku zastał bladą dziewczynę zajęłą jakąś robotą.

— Anusiu — zawołał dziwnie brzmącym głosem — gdybym prędko nie wrócił, to prosz Boga, aby ci jeść dawał!

Rzekłszy to chwycił za wiosło i zbiegł nadół.

Za chwilę powstał znowu w tłumie krzyk przeraźliwy.

Od brzegu odbiła wąska, długa łódka i od razu pomknęła błyskawicą na spienione bałwany...

Na łódce stał człowiek z włosom rozczochranym,

z długiem wiosłem w ręku, a twarz jego była tak straszna, jak twarz człowieka na śmierć skazanego!...

Było to samobójstwo szczególnego rodzaju...

Mała łódka kręciła się na wszystkie strony, jak skrzydło od wiatraka, bałwany podnosiły ją do góry i rzucały gdzieś w głąb koryta, a stojące na brzegu tłumy zaparły oddech w piersi, bo tu już chodziło o życie dwóch ludzi!

— Szalony! Utonie! — wołano zewsząd.

— Utonie i jeden i drugi!

— Już jeden utonął!

— Drugi także pod wodą!

— Tamten pokazał się znowu!

— I tego jeszcze widać!

— Patrzcie, łódź mocna! I ręka mocna!

— Ale teraz... O święty Boże!.. Już po nim!

— Nie, wypłynął! O stwórcu świata!

— Fala go odbiła... Szyper już tonie!

— Zbliża się do szypra... O Jezus, Marya!..

— Już po nich!

— Łódź się wywróciła!

— Uderzyła o kloc szypra!

I między tłumem zapanowała chwila grobowego milczenia, chwila straszna, okrutna!

Po tej chwili wzniósł się znowu krzyk między tłumem.

Łódź okazała się na powierzchni wody, w łodzi kłęczał szyper. Przewoźnika nie było!

— Przewoźnik utonął, Szyper ocalał! — westchnął tłum na brzegu.

— Jedno życie za drugie!

— Biedny człowiek! Może zostawił dzieci!

Między tłumem stał rybak, który przez cały dzień ratował, co mógł przy brzegu pochwycić. Patrzył długi czas na łódź z szyprem, a gdy ta niesiona prądem do brzegu dobiła, zawołał:

— Szyper uratowany! A teraz kto był ten człowiek, co utonął. Zginął na wodzie, a jeżeli zostawił dzieci, to muszą się nimi opiekować ci, co z wody żyją.

Rzekłszy to kazał się zaprowadzić na poddasze, wziął płaczącą bladą dziewczynę za rękę i zaprowadził „na Rybaki“ do swego domu. Tam pogłaskał ją po twarzy i rzekł:

— Nie mam dzieci, będziesz moją wnuczką!

Nie dość na tem. Rybak był tego zdania, że ojciec Anusi, który swoje życie dał za życie drugiego, był poczciwym i zacnym człowiekiem, i dlatego należałby mu się pogrzeb przyzwoity i trumna porządna.

Zwołał więc czeladź i sąsiadów, a przedstawivszy im rzecz całą i nieznalazłszy opozycyi, udał się z nimi nad brzeg Wisły, aby pilnie baczyć, kiedy i gdzie nieboszczyk wypłynie.

I dwa dni trzymali rybacy straż na brzegu paląc w nocy smolne łuczywo, a na trzeci dzień udało im się pochwycić byłego odźwiernego biskupa właśnie w tej chwili, gdy znudziwszy się na dnie wody, wypłynął na wierzch, aby o świcie rozpocząć swoją wędrówkę do Gdańska.

I ci, „co z wody żyją“, złożyli się po groszu i wyprawili wspaniały pogrzeb temu, co na wodzie zginął, ratując życie drugiemu!..

Taką była historia ojca bladej dziewczyny.

## XI.

Gdy cechmistrz do alkierza z kagańcem odszedł i tam na spoczynek się udał, było już sporo po północy.

Anusia przestała się robić, bo zaciąganie oczek sprawiało zawsze pewien hałas i mogło zbudzić starego cechmistrza. Nie poszła jednak spać, tylko postawiwszy kaganiec pod kominem, aby światło jego ponad drzwi do alkierza nie wpadało, przystąpiła do okna i oparła się na futrynie.

Długo, długo tak stała. Duże, niebieskie oczy patrzyły w noc ciemną, jakby tam coś obaczyć miały.

Ale na dworze było smutno i pusto. Księżyc zaszedł już był za zamek królewski, a znad Pragi wysuwały się ku Warszawie coraz gęściejsze chmury.

Błada dziewczyna patrzyła ciągle przez okno, ale przed oknem majaczyły jakieś zajmujące obrazy, które jej szafirowym oczom nie dały przedrzeć się przez szybę zapyloną.

A obrazy te były ciche i smutne, i były wprost wzięte z jej marzeń o tem, co ją dzisiaj otaczało.

Gdy po śmierci ojca w dóm ten przyszła, dowiedziała się, że opiekun jej ma krewnego, który gdzieś do cudzych

krajów powędrował, aby tam nauczyć się malować. A krewny ten nazywał się Rafał i był również jak ona sierotą.

Opiekun często mówił jej, że ich tylko dwoje na świecie, którym serce swoje otworzył. Anusia wypytywała się o Rafała, często z opiekunem o nim mówiła, a nawet listy jego czytała, choć wszystkiego, co w nich było, zrozumieć nie mogła.

Ztąd też poszło, że bardzo często o nim myślała, a czasem nawet pomarzyła sobie. Rafał przychodził jej na myśl przy każdym żywszem uderzeniu serca, przy każdej weselszej chwili, przy nieokreślonym smutku.

I tak z biegiem czasu zrósł się Rafał jakoś z jej całym życiem, choć go nigdy nie widziała. Uboga na wiedzy, bez wyższej nauki, nie miała czem innem duszy zapełnić, jak tylko dziwnie poetycznymi marzeniami, w które zawsze wchodził ów brat jej nieznanym, ów tajemniczym Rafał.

Dojrzewające w samotności serce kobiece dochodzi do takiej potęgi uczucia i namiętności, jakiej nigdy nie dosięgnie wśród zajęć światowych, poskromione nabyciem wiedzy i nauki.

Było więc w sercu bladej dziewczyny coś dzikiego, co jak nieokiełznany rumak pędzi naprzód bez względu, czy pierś własną roztrzaska, czy innych trupem o ziemię powali...

A dzika ta żądza szczęścia, żądza uczuć gorących, kryła się zdradliwie pod bladą, przezroczystą cerą, i zdawała się zupełnie usypiać w tym leniwym, posuwistym kroku, który był jej właściwym, i w tych ruchach omdlałych na pozór.

Ale w tych dużych, okrągłych prawie oczach szafirowych zabłysło czasem tak jaskrawe światło, że w nocy świecić by mogło jak smolne łuczywo. Wtedy z pod bladej cery wybijała się jakaś dziwna, gorąca łuna, która gdzieś ponad ciałem gorzała. Ruchy jej były wtedy tak pewne i żywe, jak u baletnicy, a głos miał wibracją głosu kobiet nader namiętych.

Stało się w tym czasie, że Rafał swemu krewnemu przysłał swój portret własnej roboty.

Anusia rzuciła się na ten portret, jak zgłodniałe dziecko na najśłodsza potrawę, i z zapartym oddechem wpatrywała się w niego po całych dniach, od rana do nocy.

Portret wyobrażał twarz młodego człowieka, nacechowaną pewną wyższą myślą, która każdym choćby mniej ładnym rysom nadaje pewnego uroku. Prócz tego twarz ta była piękna, miała wyraziste czarne oczy, i włos kruczy w gęstych pierścieniach wtył od skroni uciekających.

Oczy jej spragnione wpiły się w tę twarz, której dotąd w snach swoich odgadnąć nie mogła, a twarz ta wsiąkła przez jej oczy do duszy, aby już na zawsze tam pozostać!..

Była to dzika, szalona miłość.

I biedna dziewczyna tworzyła sobie w bezsennych nocach najrozmaitsze obrazy przeszłości, jak to czyni każda żywszego uczucia kobieta, choć ją często widok rzeczywistego świata oziębia.

Anusia jednak nie знаła tego rzeczywistego świata, a miłość wyobrażała sobie uczuciem bezwzględem, któremu nic nigdy w drogę wejść nie może.

Zdawało się jej, że kobieta gdy kocha, nietylko równa się wszystkim innym kobietom, ale wyższą jest od wszystkich dla tego, którego ukochała. Żadne względy światowe nie mogą wtedy jej sercu ubliżać, ani jej marzeniom sprzeciwić się.

Tak w prostocie ducha swego wyobrażała sobie miłość, takich praw żądała dla serca kobiecego... i może żądała słusznie, ale nie znała życia i ludzi.

Dzika potęga jej serca, żadnymi względzikami towarzyskimi nie umoderowana, zrodziła w niej wiarę niezachwianą, że Rafał musi ją kochać, gdy wróci, i z nią się ożenić.

Tak uroiło sobie serce biednej dziewczyny, która matki nigdy nie miała, a którą ojciec porучzył opiece Boga, tak jak ogrodnik poleca swoje lilie, róże i tulipany...

Śród tych zajęć przyszła od Rafała wiadomość, że wróci do Warszawy. Wiadomość ta sprawiła w domu wielką radość. Stary rybak kazał dwie izdebki na pięterku wyprzątnąć, wymyć i wybielić. Anusia zajęła się tem z roskoszą, poustawiała własną ręką potrzebne sprzęty, i zasiadła do marzeń, które już tak prędko spełnić się miały.

Wreszcie przyjechał Rafał.

Był to człowiek młody, należycie między ludźmi otarty, z powierzchowności nie różniący się od ludzi najwyższej sfery towarzyskiej. Wiedzą i nauką może ich nawet przewyższał.

Stary rybak spostrzegł od razu różnicę, jaka była między nim a dorodnym krewniakiem. Dlatego z pewnym szacunkiem przystąpił do niego, chociaż Rafał na to nie



chciał przystać, ceniąc w swoim krewnym starość, zacność i pracę.

Anusia nie widziała żadnej różnicy. Widziała tylko te różnice, że jest kobietą i że go kocha, a on dopiero ją kochać będzie! W niej przemawiało tylko gorące serce, ono było jej całej istoty jedynym dyktatorem!

To też z niewysłowioną radością przywitała Rafała, patrzyła w niego, jak się patrzy w klejnot nabyty, i napawała się tem szczęściem, jakiego tylko użyczyć może raz w życiu serce kochające.

Rafał zaś patrzył na biedną, zaniedbaną dziewczynę okiem obojętnem. Jako artysta mógł może podziwiać jej włos jasno-złoty, jej duże szafirowe oczy, w których dziwnie łamały się promienie światła. Zresztą cała twarz była bardzo piękną akwarelą, na którą można było patrzeć czas niejaki z upodobaniem.

Twarz ta jednak nie miała potrzebnych dla siebie akcersoryj, do których przyzwyczało się oko żyjącego na szerszym świecie Rafała. Ubior i sztuka nie podwyższały jej przyrodzonych wdzięków, przeciwnie przeszkadzały każdemu żywyszemu wrażeniu. Był to zwykły ubior biedniejszego miejskiego stanu, który dla wybrednego oka artysty nie miał wcale wiele powabu.

Cała postać bladej dziewczyny, siedzącej od dziecka przy ustawicznej pracy, nie miała tej swobody w ruchach i pozach, jaką zazwyczaj odznaczają się kobiety, nie potrzebujące pracować na kawałek chleba.

Najdotkliwiej zaś przy tych pięknych oczach dawał się czuć brak koniecznej nauki i rozleglejszej wiedzy, które dla każdej pięknej kobiety są tem, czem przyciągające

akordy pysznego instrumentu. Instrument bowiem może być okazały, może być arcydziełem zdolnego rzemieślnika, ale dopiero umiejętna ręka artysty może rozwinąć do pełni czarujące jego przymioty.

Biedna, uboga dziewczyna tego wszystkiego nie miała, a prawdziwym jej szczęściem było, że przy braku koniecznych warunków wyższego szczęścia, miała tylko namiętne serce, miała tylko dzikie pragnienie tego szczęścia, i zdawało się jej, że to szczęście jej się należy. Koleje jej dotychczasowego życia rozwinęły w niej tylko strunę uczucia do chorobliwej prawie potęgi.

To uczucie było jedynym jej skarbem, jedynym posagiem, jaki sobie dotąd uzbierać mogła. I zdawało się jej, że to dosyć.

To też z gwałtownie bijącym sercem, które pęknąć chciało, patrzyła w piękną i rozumną twarz Rafała, drżąc jakby od febry ręką podawała mu najwyszukańsze przysmaki swego gospodarstwa; ale artysta widział tylko przed sobą ubogą dziewczynę w zaniedbanym ubiorze, napół sługę, napół wychowankę swego krewnego, z którą nawet w podziękę za jej usługi rozmawiać nie mógł wiele, bo go we wszystkim zrozumieć nie mogła. A tego, czem ona do niego przemawiać chciała, on znowu nie rozumiał, a jeżeli nawet czegoś dojrzał, uważał to za coś prędko przemijającego, co nie mogło wejść do jego przyszłości.

Artystowska jego fantazyja przedstawiała mu kobietę zupełnie inaczej. Być może, że miał przy tem więcej fantazyji, tak samo jak blada sierota miała więcej uczucia, ale wpływało to już z jego zawodu, z jego sztuki, która

tylko tego kazała mu szukać, co się objawia pięknem we wszystkich tego słowa warunkach.

To też jako ideał kobiety wyobrażał sobie zawsze jedną z tych istot, które otoczone wykwintnymi wymysłami sztuki przebiegały jak jasne meteory przed jego oczyma, ośliwając je i uderzając w krótkim swoim przelocie.

A zawód jego zbliżył go do tych istot, które zawsze pozujące, umięją sprawiać wrażenie na każdym wrażliwszym umyśle.

Dlatego w marzeniach jego przesuwaly się zawsze takie postacie, a obok nich nie mogła stanąć blada dziewczyna, choć jej serce od wzruszenia pękało, choć jej ręka jakby od febry drżała... gdy tymczasem tamtym szczęśliwszym od niej istotom może serce wcale nic nie mówiło, i ręka była jak marmur spokojną!...

Rafał patrzył zatem na Anusię okiem obojętnem, choć był dla niej nader życzliwym i przyjaźnym towarzyszem. Nie należała ona bynajmniej do jego świata, w którym żył i rad marzeniem przebywał, a świat ten nie był wcale domkiem „na Rybakach.“

Gdy wrócił z zagranicy, ujrzał Bacciarelli w nim talent nadzwyczajny, i obyczajem ówczesnym przedstawił go różnym wysoko w hierarchii ówczesnej położonym figurom.

A były to właśnie czasy wielkiej namiętności dla sztuki i literatury.

Po części wypływały one z politycznego położenia kraju. Katastrofy bowiem podziału Rzeczypospolitej przez trzech sąsiadów były nader bolesnym ciosem, które nie tylko przeraziły wszystkich, ale oraz w zaspanem organizmie

obudziły boleścią tą wszystkie drzemiące tam siły, aby się przed ostatecznym ciosem ratować!

Po strasznych dopiero katastrofach zaczęto śledzić przyczyn tychże. Była bowiem w narodzie jeszcze wiara ratunku.

Przy takim zastanawianiu się nad świeżemi klęskami dojrzano między innemi, że naród w ostatnich czasach nie dotrzymał kroku z oświatą Europy, a nawet cofnął się wtył!

Z gorączkową więc namiętnością rzucano się do naprawy złego, które tak fatalne skutki na kraj sprowadziło.

Prócz tego chciano potęgą moralną, potęgą ducha zastąpić upadłą potęgę fizyczną, jakim był obszar jej dzierżaw i wojsko.

W ścieśnionem wypadkami ognisku chciał naród skupić całą potęgę swego ducha, aby z tegoż ogniska potem działać w sposób odśrodkowy ku najodleglejszym konarom dawnej Rzeczypospolitej, które pod obcym zaborem już ziębnąć zaczęły.

To też król i jemu stanowiskiem najbliżsi wzięli sobie za zadanie, wspierać sztukę i literaturę, i te czynniki narodowego życia rozwinąć do najwyższej potęgi.

Król sprowadzał do kraju artystów znakomitych, aby ci w braku krajowców zaszczepiali utworami swymi smak i pragnienie sztuki. Uczonych zbierał u siebie na obiadach, i rad był nawet popisywać się między nimi swoją erudycją, która nie była tak powierzchowną, jakby mniemać można.

Za przykładem króla poszli i magnaci korony, a

zamki i pałace zaludniały się zbiorami sztuki i literatury, i żywiły swoim kosztem poetów i artystów.

Wprawdzie żywienie poetów i artystów pańskim wikttem nie przysporzyło literaturze i sztuce w nowszych czasach wielkich ludzi i geniuszów, było jednak zawsze cechą dobrych chęci tych, którzy myśleli, że w cieplarni dobrze opalanej można taki sam cedrowy las utworzyć, jaki rośnie na Libanie!

To też artyści i poeci otrzymali w tych trudnych dla wszelkiego postępu czasach najpierwsi równouprawnienie towarzyskie, i mogli okazywać się po komnatach złożonych bez względu na to, kto ich zrodził i jakim herbem się pieczętują.

Wprawdzie patent laureata można było sobie wtedy tanim kosztem zdobyć. Osobliwie dla poetów był to złoty wiek miodu i ambrozji. Wystarczał lada jaki wierszyk, choćby bez żadnej myśli nowej i głębszej, byle tylko rym był dobrze dobrany i wszystko należycie wymuskane.

Gdy taki wierszyk się udał, mógł już poeta na laurach swoich zasypiać. Byle tylko miał się w co ubrać, mógł codziennie być na wieczorkach, balach i festynach, a wypudrowane młode i starsze kobiety pieściły się wtedy synem muz, jak się pieści zazwyczaj Azorkiem o długich, kędzierzawych włosach.

Bądź jak bądź, ale poetom i artystom było nader dobrze na ówczesnych salonach, a może nawet daleko lepiej niżeli dzisiaj. Należało bowiem do mody unosić się nad sztuką i poezją, potrzeba było pod grzechem śmiertelnym znać wszystkie najświeższe utwory jednej i drugiej siostrzycy, i mówić o nich długo i szeroko,

Przy takim składzie rzeczy miał Rafał nader obszerne pole do różnych wędrowek salonowych, jeżeli tego pragnął. A że każdy syn muzy ma wielki pociąg do tych komnat uprzywilejowanych, gdzie na pozór wszelkie są warunki najwyższego piękna, za którem dusza ugania, to też i Rafał korzystał z tej sposobności, aby fantazyą swoją od czasu do czasu widokiem pięknych grup i twarzy z tłem stosownie dobranem odświeżyć.

Już wiemy, że w tych wędrowkach swoich ustrzągł w salonie imćpani szambelanowej, czarującej rozwódki, która była w jego oczach pięknem skończonem.

I tak stanął nagle między dwiema kobietami, z których jedna dla niego tylko gwałtownie bijące serce i rękę jakby od febry drżącą, a druga miała przy posągowej postaci najpyszniejsze wdzięki, ożywione tem wszystkim, co tylko najwyższa sztuka utworzyć może.

Szelest jej sukni jedwabnej miał jakąś dziwną tajemniczą mowę, za którą mógłby szaleć każdy artysta. Dźwięk jej głosu to była czysta melodia, jaką tylko może w niebie aniołowie słyszą. Jej oczy były podobne do błyskawicy, która pierwej światło a potem grom posyła. Wprzód już można było w tych oczach wyczytać, co dopiero potem koralowe usta wypowiedzieć miały.

Rafał nie wahał się w wyborze, nawet wcale nie wybierał, bo blada dziewczyna na „Rybakach“ nie wchodziła nawet wcale w rachubę.

A kiedy raz już miał czarujące oczy szambelanowej przed sobą, był już ślepy na to wszystko, co mógł u bladej dziewczyny obaczyć. Gdy na Rybakach nie był, nie wiedział nawet, że ona żyje na świecie.

Błada jednak dziewczyna przypominała mu się zawsze, że żyje, jak każda inna kobieta żyć ma prawo, i że go kocha, jak go żadna inna kochać nie może.

Rafał tego wszystkiego nie widział, albo czasem nie chciał widzieć. Widok tego bowiem, co widział, raził go w przyrównaniu tego, co przed chwilą całą uwagę jego zajmowało.

Wybielone ściany małego domku odbijały zaudadto jaskrawo od złoconych komnat, w których się bawił, a niedbały ubior Anusi wydawał mu się tak biedny, jak ubior najuboższej kobiety. To też odwracał oczy od tych widoków i przerzucał się marzeniem w inne sfery, w których oko artysty ma na czem spocząć i ożywić się.

Niejaki czas czekała błada dziewczyna ze swoją wzgardzoną miłością cierpliwie. Myślała, że to tak być musi, że dopiero po czasie ozwie się jego serce i ją zrozumie.

W tym czasie ograniczała się na czynieniu tego wszystkiego, co tylko Rafałowi jakąkolwiek przyjemność sprawić może. Wiedziała o wszystkich jego przyzwyczajeniach i starała się je uprzedzić. Była prawie służką jego, choć on o tem nie wiedział, i byłaby jak najchętniej nawet została niewolnicą, gdyby tylko ją kochał!

I kto wie, jak długo byłby trwał taki stan jej serca, gdyby „na Rybaki“ nie były dotarły niektóre wieści z nowej Warszawy.

Już samym instynktem odgadła, że tam za Rybakami jest ktoś, dla kogo Rafał lepiej i wykwintniej się ubiera niżeli zazwyczaj, gdy na Rybakach zostaje. Tutaj wystarcza mu tylko kurtka już wcale nie świeża, podczas gdy tam idzie świątecznie ubrany z odświeżonymi włosami.

Również instynktem kobiecym odgadywała, że wybierając się do miasta miał na twarzy wyraz wcale inny, jak gdy w małym domku siedział. Na tej twarzy było oczekiwanie jakiegoś szczęścia, była niecierpliwość, aby jak najprędzej zostawić za sobą smutne „Rybaki.“ A nawet widocznem było, że myśl jego już tam dawno frunęła i teraz tylko niecierpliwie ciało za sobą pociąga.

Widziała także na jego twarzy, gdy do domu z miasta powrócił, pozostałe jeszcze błyski doznanego szczęścia. Jeszcze promieniła się ona jakimś cieplejszym kolorytem, jak promienieje niebo na zachodzie słońca, choć już to słońce dawno zapadło...

Potem zasłyszała, że jakaś wielka pani upodobała sobie Rafała, rozwiodła się ze swoim mężem i zamyśla zaślubić się z Rafałem.

Wieść ta zatwierdziła jej instynktowe podejrzenia i wzmogła jeszcze jej miłość. Służyła mu jak najprzywiązańsza służebnica, odgadywała z jego oczu, czego pragnie, i biegła nie zważając na przeszkody, aby tylko życzeniom jego zadość uczynić.

Bolesnie było Rafałowi tego wszystkiego nie widzieć. Dla biednej dziewczyny czuł tylko litość, a często nawet musiał jej dać poznać, że dla jej marzeń ukrytych nie może jej dać żadnej nadziei.

Walcząc z swoją nieodwzajemnioną miłością, uczuła nagle potrzebę obaczenia tej, która jest od niej szczęśliwszą.

Jakkolwiek upośledzony brakiem wychowania jej umysł nie mógł użyć jej sposobu, jakim mogłaby dójść do celu życzeń swoich, przepełnione jednak miłością serce



prowadziło ją do tegoż celu takimi dziwnymi drogami, jakie tylko namiętna miłość wynaleźć potrafi.

Po kilku tygodniach nieustannych poszukiwań obiecała jej wreszcie jakaś znajoma okazać ową szczęśliwą damę, która prawdopodobnie bez żadnych poświęceń miała osiąść to, czego ona po tylu poświęceniach osiąść dotąd nie mogła.

Pewnego dnia przyszła ze swoją znajomą do Saskiego ogrodu. Była to godzina trzecia po południu, o której zazwyczaj zbierał się tam wielki świat Warszawy.

Dziwnie wydała się wobec tego wykwintnego świata stojąca za krzakami blada dziewczyna w ubiorze przedmiejskim...

W malowniczych grupach przechadzały się w głównej alei strojne damy. Wszystkie prawie były w aksamitach, bo pierwsze dni kwietnia były jeszcze trochę chłodne. Niektóre miały drogie futra z fantazyą przez ramię zarzucone. A wszystkie były tak cudownie piękne, jakby inaczej od Boga stworzone były!..

Jedna z grupy najwięcej zbliżyła się teraz ku krzakom, za którymi stała biedna dziewczyna.

— To ta! — szepnęła jej towarzyszka.

Biedna dziewczyna objęła ją okiem pożerającym, stała chwilę jakby w osłupieniu, a potem krzyknęła i twarz rękami zasłoniła...

Szambelanowa rzeczywiście wyglądała cudownie. Jasne pukle włosów w bogatych pierścieniach spadały jej na aksamitną salopkę koloru ciemno orzechowego. Czarny aksamitny kapelusik, naśladujący włoską czapkę z dużym piórem, pochylony był z lekką kokieteryą na prawą stronę i szerokimi fałdami ocieniał jej czoło alabastrowe.

Szambelanowa szła w towarzystwie dwóch jegomości z francuzka ubranych, i śmiała się głośno z ich wesołych i dowcipnych konceptów.

Na biedną dziewczynę nikt nawet uwagi nie zwrócił. Powoli, omdlałym krokiem zdążyła do domu. Siadła pod piecem i siedziała tam nieruchoma aż do białego dnia.

Gdy Rafała obaczyła, nie robiła mu żadnych wyrzutów, nie okazała mu nawet swojej boleści, tylko przeciwnie z gorętszem uczuciem zbliżyła się do niego, aby mu co podać lub w czem usłużyć.

Ale za kilka dni zaczęły się coraz częściej powtarzać jej dawne przywidzenia. Osobliwie twarz porwanego biskupa, którą owej nocy widziała, stawała często przed nią i nabawiała ją trwogą śmiertelną..

Potem ta twarz zaczęła się zmieniać, i jakieś dziwne maskarony stawały na jej miejscu. Czasami znowu wkoło tej twarzy okazała się jasność, jaką zazwyczaj święci świecą, a nawet wtedy zmieniała się w jakiego świętego.

Stary rybak niepokoił się tą chorobą umysłową biednej sieroty i zwoływał lekarzy, ale ci nic pomódz nie mogli. Spostrzegł także jej nadzwyczajne przywiązanie do Rafała, ale na to nie miał żadnej rady, a biednej sierocie nie chciał serca zakrwawiać. Był tego zdania, że to z czasem ustanie.

W tajemnice zaś Rafała nie wdierał się, bo nie umiał ich dobrze pojąć i zrozumieć; o jego nauce i rozumie miał tak wielkie wyobrażenie, że żadnego lekkomyślnego kroku z jego strony nie przypuszczał.

Tak stały rzeczy aż do owego wieczora, w którym zebranych rybaków widzieliśmy u cechmistrza w gościnie.

## XII.

**P**odczas gdy biała dziewczyna przez zapyłone szyby w ciemną noc patrzyła, krętymi ulicami starego miasta zdążał Rafał do domku na Rybakach.

Na zegarze zamkowym wybiła właśnie godzina trzecia. Ulice były ciemne i puste. Echo kroków idącego odbijało się długo i przeciągle od szarych murów kamienic.

Rafał szedł zamyślony z głową spuszczoną ku ziemi. W jego głowie tłoczyły się myśli jedna po drugiej. Nieznajomy szukający drogi do ambasadora Bułhakowa, zgromadzenie młodych ludzi, którzy z gorączką rozmawiali o losach Rzeczypospolitej, a którym wieści o tym nieznanym udzielił; dóm zacnego posła Krakowskiego Sołtyka, gdzie w sprawie publicznej kilka chwil przepędził, a potem romantyczna przechadzka po saskim ogrodzie przy blasku księżycy, z dodatkiem poetyzującego o ostrygach i wojskach moskiewskich rozmawiającego towarzystwa, z epilogiem zasłyszonym w piwnicy gdańskiej — wszystko to kłębiło się ustawicznie w gorącej jego wyobraźni i tworzyło obrazy, z których jedne rokoszą go napawały, a drugie niewysłowioną trwożą przejmowały.

Był to czas dziwnej przemiany, która odbywała się w organizmie narodu.

Rok mijał, jak uchwalono tak zwaną konstytucyą trzeciego maja. Konstytucyą tą wezwano przedewszystkiem miasta, które dotąd na uboczu trzymano, do współdziałania w sprawach publicznych. Nowy, tak długo w letargu pozostawiony żywioł, zbudził się z całą potęgą do życia i przez tyle wieków odmawiane prawa wziął z gorączkową żądzą w posiadanie.

Na niwie tak długo nieuprawianej wystrzeliły bujne najjaskrawszych barw kwiaty, a obok nich rozparły się szybko mniej szlachetne zielska. Zawieszony nad ojczyzną miecz Damoklesa, który ostatecznym podziałem groził, sprawiał ustawiczną gorączkę, a ta popychała wszystkich do najrozmaitszych działań i projektów.

Potworzyły się różne kółka i związki, którym nadchodzące z zachodu wieści dodawały nowego zasiłku.

Cały naród był rozgorączkowany, wszyscy chcieli ojczyznę ratować, a w tym celu kupili się i radzili.

Mianowicie stan miejski okazał bardzo wiele fermentu. Młodzi i starsi radzili i krzatali się, a wielu z szlachty, którzy się teraz do niego przyłączyli, dostarczyło mu kadrów i wyuczyło go musztry na arenie publicznej.

Do konfederacyi szlachty weszła teraz niejako konfederacya miast polskich, i ogniwa narodu rozszerzyły się i nowym cementem związały się ściślej ze sobą.

A jak się to zazwyczaj przy przeobrażeniu narodu dzieje, powstawały także tu i ówdzie małe, luźne ogniska, które swoim torem na przebój iść chciały i tym sposobem w organizmie narodu sprawiały niepokojące wstrząśnienia.

Słowem była to olbrzymia walka wewnętrznego życia narodu, który dążył do zrównoważenia wszystkich żywiołów swoich. A walka ta odbywała się z tem większą gorączką, im widoczniejszą na dalszym horyzonie stawała się walka na zewnątrz.

Rafał należał do zastępu młodych, miejskich patriotów, którzy poczuli się do obowiązków narodowych. Stanowisko zaś jego i wykształcenie zbliżyło go do uprzywilejowanych patriotów herbowych, z którymi co do obowiązków względem ojczyzny w zupełnej był zgodzie. Nie raz więc służył jednym i drugim za pośrednika, jeżeli potrzeba było, aby jednych siłą drugich pokrzepić.

Życie takie pełne ruchu i zajęcia wprawiało go w ustawiczny stan gorączkowy, do czego niemniej przyczyniały się także czarujące oczy szambelanowej i jej głos dziwnie wibrujący, który grał po strunach rozgorączkowanej jego duszy.

Upadający pod natłokiem tych różnorodnych wrażeń, kroczył leniwym krokiem przez ulicę mostową i na skrawie zawrócił na Rybaki.

Na Rybakach było także ciemno i pusto.

O zapyłone okno małego domku uderzyło teraz echo kroków.

Posągowa postać bladej dziewczyny ożywiła się nagle. Po jej twarzy przebiegł żywszy ogień i schronił się do szafirowych oczu, które teraz jasno się zaszklily.

Przeczuła, że to Rafał się zbliża. Wzięła szybko kaganiec zpod komina, zasłoniła dłonią jego płomyk i wysunęła się na palcach do sieni, aby Rafałowi otworzyć.

Widok bladej sieroty z kagańcem w ręku o tak spóźnionej porze sprawił na Rafale szczególne wrażenie...

Stanął w progu i patrzył na nią chwil kilka.

Jej twarz była spokojna, tylko zlekka boleśnie uśmiechnięta. Szafirowe oczy przemawiały gorąco, ale zaciśnięte usta milczały. Szara jej sukienka spadała w spokojnej draperyi ku ziemi, w jakiej zazwyczaj wyobrażamy sobie umarłych.

— Cóż, ty jeszcze czuwasz, Anusio? — zawołał Rafał po chwili.

— Czekałam, aby wam otworzyć, panie Rafale — odparła z uśmiechem spokojnym.

Malarz jeszcze chwil kilka patrzył na nią. Widok tej spokojnej, a jednak dziwnie przemawiającej do niego postaci, był mu dzisiaj nader przyjemnym śród tylu gorączkowych obrazów, śród których dzisiejszą noc przepędził. Od bladej sieroty zawiął w tej chwili jakiś chłodny, orzeźwiający wietrzyk, który mile chłodził gorące jego skronie.

— Jak można było tak długo nie spać! — rzekł po chwili.

Sieroty twarz ożywiła się lekko.

— Gdy człowiek spi — odparła cichym głosem — to tak jakby umarł.

— Zkąd ci tak dziwne myśli przychodzą?

— Z tego pięknego nieba, gdzie Bóg mieszka!

Wymówiwszy te słowa podniosła rękę ku niebu, które widać było przez drzwi otworzone, a za ręką podniosła duże, szafirowe oczy, w których błyszczały dwa jasne światelka jakby od łez...

Rafał wziął ją za rękę i wprowadził do izby. Dziewczyna szła za nim jak lunatyczka.

W izbie postawiła kaganek na kominie i usiadła koło okna. Rafał usiadł na kufierku niedaleko niej, jakby chciał wypocząć.

— Cóżś robiła przez ten czas czekając tak długo? — zapytał po chwili.

— Słuchałam, co rybacy mówili, i robiłam sieć — odpowiedziała.

— Cóż mówili rybacy?

— Mówili o królu i o Moskalach. O królu mówili dobrze, bo go kochają, o Moskalach źle, jak o nieprzyjaciolach. Powiedzieli, że ulicę jutro ubiorą jak pannę młodą do ślubu, a Wisłę oświecą jakby wesele miała!.. Czy może mieć Wisła wesele?

— Co ci po głowie chodzi!

— Wszak woda tak samo żyć musi jak człowiek.

— Czy ci kto kiedy mówił o tem?

— Nie, ale tak sobie myślę czasem. Albo te liście na drzewie, to tak czasem jakby coś mówiły!

— Tylko człowiek mówi.

— A przecież wiatr skarży się i jęczy!

— Tylko człowiek może się skarżyć.

— Człowiek?.. A gdy się człowiek skarży, czyż go kto słucha?

— Słucha go drugi człowiek.

Błada dziewczyna ruszyła głową.

— Mnie nikt nigdy nie słuchał!.. Pamiętam, gdy mieszkałam w małej izdebce wielkiego pałacu, to często pła-

kałam, a nikt mnie nie słuchał! Gdy byłam głodna na Tamce i płakałam, to także mnie nikt nie słuchał!

— Pan Bóg słuchał i zesłał ci opiekuna.

— Prawda, to grzech co powiedziałam!

Błada dziewczyna przeżegnała się przy tych słowach, a usta jej zaruszały się, jakby odmawiały modlitwę. Po chwili ozwała się:

— Gdy pan Bóg wszystko słyszy i człowiekowi pomoc zsyła, dlaczego nie przysłał do pomocy swoich aniołów wtedy, gdy biskupa żołnierze porywali... Ach, jakże smutno biskup wyglądał w tej nocy!.. brrr! Aż mnie zimno skrós przechodzi, a serce tak się tłucze, jakby wylecieć chciało!..

Rzekłszy to chwyciła się lewą ręką za piersi i wstrzymała oddech, podczas gdy prawą odpędzała jakieś widma od oczu.

— Cóż ci to jest? — zapytał Rafał.

— Odpędzam ich!.. Ach jak oni strasznie wyglądają, co biskupa porwali! Ojciec od tej nocy zawsze był smutny i codziennie ostrzył nóż, ale do noża nikt nie przyszedł!..

Rafał zamyślił się.

— Biskup spać mi w nocy nie daje — mówiła dalej dziewczyna — i widzę go, jak go sprowadzali po schodach... jeden trzymał go za jedną rękę, drugi za drugą... ale przed biskupem szła Matka Boska Częstochowska z twarzą przeciętą...

— Nie mów pod noc tak, bo spać nie będziesz!

— Gdy wy mówicie do mnie, panie Rafale, to jabym nie spała aż do sądneho dnia!

— Czy moja mowa tak ci się podoba, Anusio?

— Tak mi się podoba, jak się podobała ojcu woda wiślana, w której się utopił!



— Wszak ojciec twój nie utopił się, ale utonął, niosąc pomoc tonącemu człowiekowi.

— Mówią tak ludzie. Ale ojciec często mówił, że tak go tam coś na dno ciągnie, że radby się utopił, gdyby to nie było grzechem śmiertelnym!... A mnie znowu nic nadół nie ciągnie, tylko tam do góry, gdzie te białe chmurki biegną!

Wymawiając te słowa podniosła rękę do okna i wskazała na niebo, po którym właśnie płynęły, jak dwa łabędzie, dwa białe, z nastrzępionem pierzem obłoczki... Malarz spojrział za wskazującą ręką dziewczyny. Szczególny był to obraz. Dwa małe obłoczki pędziły za sobą, jakby się wzajem pochwycić chciały. Jeden zwracał się do drugiego, ich rąbki stykały się z sobą, i zdawało się, że się w jeden obłok łączą. Tymczasem uderzył wiatr z boku i rozdarł je znowu na dwoje. Rozłączone szukały znowu siebie po szerokim niebie i łączyły się, aby napowrót znowu się rozłączyć.

Rafał wiódł chwilę okiem za obłokami, i zdawało mu się, że widzi w powiewnej szacie szambelanową...

Ocknął się i spojrział przed siebie.

Przed nim siedziała spokojna sierota z ręką podniesioną do nieba. Światło kagańca oświecało fantastycznie jej postać z jednej strony światłem czerwonym, podczas gdy druga połowa oblana była sinem światłem wychylającego się zpoza murów zamkowych księżycu...

— Cóż cię tam ciągnie do tych gwiazd? — zapytał Rafał po chwili.

— Nie wiem co, ale czasem zdaje mi się, że mogę jak ptak od ziemi odlecieć. A to dzieje się wtedy, gdy

mnie serce boli, i powiada mi, że jestem bardzo nieszczęśliwa!

— Cóż nazywasz nieszczęściem? —

— Gdy was w domu nie ma, gdy was nie widzę!

— A cóż ci ze mnie, moja Anusio?

— Patrzę na was i słucham was! Wtedy tam do gwiazd już mnie nie ciągnie!

Rafał patrzył czas niejaki z dziwnym uczuciem na biedną dziewczynę, która w tej chwili była więcej duchem niżeli kobietą.

Ale w tej chwili obok tej zaniedbanej, w dzikim prawie stanie wyrosłej dziewczyny, której całe życie skupiło się tylko w chorobliwym sercu, przesunęła się przed oczyma artysty w szeleszczącej jedwabnej sukni czarująca rozwódka i odurzającą wonią najwyszukańszych wódek zapełniła atmosferę...

— Idź spać Anusiu — rzekł po chwili Rafał — bo takie myśli rozpalają ci głowę!

Rzekłszy to zaświecił woskową świeczkę i udał się na piąterko do swego mieszkania.

Tymczasem różowa wstęga jutrzeńki rozwinęła się na krańcu nieba i czerwonym odbłaskiem ożywiła bladą, marmurową twarz nieszczęśliwej sieroty, która nieruchomie przy oknie siedziała.

### XIII.

Pierwsze promienie wchodzącego słońca zastały Warszawę w nadzwyczajnym ruchu.

Ruch ten miał dwie fazy. Jedna była jasna, pogodna, uśmiechnięta; druga ciemna, ponura, złowieszcza.

Na ulicach, dachach, balkonach było mnóstwo robotników. Robili przygotowania do jutrzejszego uroczystego obchodu. Jedni wkopywali w ziemię olbrzymie maszty, na których miały powiewać wszystkie herby Rzeczypospolitej; inni na dachach przytwierdzali drzewca do chorągwi; a ci co na balkonach i bramach stali, mieli pod ręką zwoje drutów, z których robili kluczki dla lamp, mających jutro zapłonąć radością łuną nad horyzontem stolicy.

W ruchu tym było coś świątecznego. Zdawało się, że robotnicy ci nie robią za zapłatę, ale że ta robota sprawia im roskosz niewypowiedzianą. Z uśmiechem na twarzy, czasami z wesołą piosnką na ustach podawano sobie z ręki do ręki potrzebne narzędzia i materiały. Czasami wśród tego wesołego gwaru ozwał się przeciągły śpiew pobożny jak organ kościelny, który dla strapionej korony polskiej wzywał opieki Najświętszej Panny Maryi z Jasnej Góry... Czasami tu i ówdzie z ust czeladnika rzemieślniczego wymknęła się samorodna piosnka patryotyczna o wrogach

ojczyzny, piosnka twarda i chropawa jak dłoń napracowana tego, który ją spiewał lub ułożył..

Słowem cała Warszawa wyglądała, jakby się gotowała na gody weselne, gody huczne i wspaniałe.

Najstarsi mieszczenie już od świtu zgromadzili się w radnej sali swojej, i tam radzili o jak najświetniejszym przyozdobieniu miasta w tym dniu pamiętnym.

Dziwne to było zgromadzenie. Wielu z nich nie rozumiało nawet znaczenia dnia tego. W dawnej Rzeczypospolitej nie starano się dla nich o światło, nie pozwolono im nawet patrzeć na sprawy publiczne. A jednak był jakiś dziwnie zdrowy instynkt w tej zaniedbanej dotąd warstwie narodu, który przeczuwał, czego ojczyzna potrzebuje w tej dobie.

A ojczyzna przedewszystkiem potrzebowała w tej dobie skupienia wszystkich sił swoich, potrzebowała jednomyślności i jednolitego wielkiego patryotycznego uczucia, któreby ogarnęło naród od jednych kresów do drugich i ogrzało nawet tych, którzy odcięci od tętna sercowego drętwieli pod zaborem obcych..

To też wielkie, gorące uczucie, które rodzi bohaterów, ożywiło wszystkich. Każdy był w swoim sposobie bohaterem, czy to dając grosz krwawo zapracowany, czy swoje rękę, która rodzinę żywi, czy też objawiając radość, która go widokiem lepszej przyszłości napawała...

Podczas gdy najstarsi w sali radnej hojnie dla sprawy publicznej groszem miejskim szafowali, młodzi mieszczenie przebiegali ulice miasta, doglądając robót i zachęcając do pospiechu znużonych robotników.

Cechmistrze w towarzystwie „młodszych“ z należytą powagą przesuwali się przez powierzone ich pieczy ulice, i przez usta swoich przybocznych towarzyszy dawali stosowne rozkazy.

Była to światła, jasna, promienna strona tego w istocie narodowego ruchu.

Ale na tem jasnym, wypogodzonym tle dnia dzisiejszego przesuwaly się jakieś dziwnie tajemnicze, czarne chmury, brzemienne burzą i gromami w najbliższej przyszłości.

Zdawało się, że w tym dniu do Warszawy przybył jakiś liczny zastęp ludzi, których pierwej nigdy na ulicach miasta nie widziano.

Z każdego zaułka, z każdej ciasniejszej uliczki wychodziły jakieś nieznane, wiatrem i mrozami ogorzałe postacie. Strój ich był tak różnorodny, że reprezentował wszystkie województwa Rzeczypospolitej. Czoła ich były pomarszczone, usta złośliwie zakąszzone, a żyłasta ręka z jakimś kurczem dotykała się rękajeści długiej szablicy, która po ziemi się wlokła.

Ludzie ci przechodzili koło siebie jakby się nie znali, jakby się nigdy w życiu nie widzieli, jednak pod sumiastym wąsem widać było uśmiech, a w oczach był taki wyraz zadowolenia, jakby swój swego poznał.

Czasami utworzyli ci ludzie znaczną grupę i przeciągali po pryncypalnych ulicach miasta, przypatrując się robotom.

Jedni z nich mieli na twarzy prostą ciekawość. Przyszli oni z dalekich stron do stolicy, aby obchód trzeciego maja na własne oczy widzieć. To też prawdziwą biesiadą było dla nich obchodzić wszystkich robotników i

wypytywać się o przeznaczenie tego lub owego rusztowania lub masztu. A byli między nimi i tacy, którym łyż jak groch duże po wąsach kapaly, gdy się dowiedzieli, że na tych masztach powiewać będzie jutro biały Orzeł z Pogonią...

Wtedy ich wyschłe, żyłami opasane ręce ścisnęły dziadowską karabełę, która nieraz takiego proporca wśród gradu kul broniła, i nie dała mu nigdy wyrządzić hańby... A dzisiaj ta karabela rdzewieje w pochwie, a nieprzyjaciele hańbią herby Rzeczypospolitej i urągają się tym, którzy ich bronić mają...

Ale do tych grup poczciwej, dawnym obyczajem kochającej Rzeczpospolitą szlachty wmieszali się zaraz inni z twarzą pochmurną ludzie, którzy objaśniali roboty dzisiejsze wzdychając za dawnymi czasami, a potępiając dzisiejsze, jako dni panowania Lucypera...

I rosły i mnożyły się grupy, i rozprawiano głośno i szeptano pocichu i skupiano głowy, jakby była w robotcie jakaś tajna konfederacya...

I nie patrzono już na postępujące roboty, nie płakano na widok proporców polskich, ale z chmurnem czołem, z zamysleniem na twarzy wracano znowu w zaułki miasta i najciaśniejsze ulice, gdzie w dzień jasny tylko przy kagańcu rozprawić można...

Były to ciemne pasmugi na majowym niebie, ale z kąd przyszły, gdzie dażyły, nikt o tem nie wiedział.

Szczególny także ruch objawiał się koło domów poselstw zagranicznych. Kuryerowie i różni posłańce wymykali się często z zamkniętej bramy i robili miejsce tym, którzy przybywali. A na wszystkich twarzach był jakiś dziwny niepokój, paliła się jakaś nieodgadniona gorączka.

Gorączkę te tłumaczono sobie rozmaicie. Młodzi patryoci widzieli w tej gorączce ukryte jakieś knowania przeciw Polsce, i obsadzili ściśniętym szeregiem wszystkie otwarte bramy i tajne furtki ambasadorów, aby na wszystko baczne mieć oko. Osobliwie klasztor Dominikanów oddano pod dozór najściślejszy i miano baczość na tych podróżnych, którzy z ambasadą moskiewską w jaką styczność zachodzili.

Inni, którzy z poza kulisy zajrzeć mogli, byli tego zdania, że ten niepokój ambasadorów wywołany jest właśnie przez zachowanie się młodszych patryotów, którzy we wszystkich ich czynnościach wietrzyli ostateczny zamach na Polskę.

A niepokój obcych ambasadorów miał się poprostu odnosić tylko do jutrzejszego ich zachowania się podczas obchodu.

Mocarstwa bowiem ościenne, jedne skrycie drugie jawnie nie uznawały konstytucji trzeciego maja, która ich zamiarom stawała widocznie na przeszkodzie. Nawet dwór berliński, który tej konstytucji gratulował królowi, potajemnie podkopywał ją jak mógł i czem mógł.

Obchód więc jutrzejszy był kamieniem probierczym, które mocarstwo godzi się z odrodzeniem Polski, a które jest temu wprost przeciwne.

Młodzi, gorętszego ducha patryoci nie zaniedbali z tego powszechnego ruchu skorzystać. Tysiące listów rozrzucono po ambasadorach nakazując im cieszyć się z narodem radującym się, oświecić okna domów swoich przy wieczornej iluminacji, i wywiesić bandery mocarstw z Polską w dobrych stosunkach zostających.

Do niektórych tych listów dołączono jeszcze pewne groźby, które były zbyt drażliwe wobec rozbudzonego życia stolicy...

Osobliwie Lucchesini, który przy wszystkich bankietach u stołów magnatów polskich miał zawsze w zanadru miodowe słowa dla Rzeczypospolitej króla pruskiego, zarzucony był takimi listami, aby te słowa stwierdził czynem i stosownie do przyjaźni swego monarchy dla Polski uświetnił dzień ten pamiętny w nieszczęśliwych jej dziejach ostatnich...

Pełnomocnik francuzkiego narodu Descouches był także w niemalym kłopotcie. Nie chodziło mu wprawdzie tutaj o sympatyą lub antypatyą dla uchwały trzeciego maja, bo ją uznawał i pochwalał, ale chodziło mu o honor narodu, który reprezentował.

Zaszłe bowiem wypadki w Paryżu i naprężone stosunki innych mocarstw do Francyi, jako też i charakter jego wyjątkowy, jako pełnomocnika burzącego się narodu, uczyniły go drażliwym na swoje stanowisko. Chciał on, aby rząd polski w tej dobie uroczystej przyznał mu pierwsze miejsce między ambasadorami obcych państw, jako reprezentantowi narodu, który stawał do boju z całą starą Europą...

Długie w tym względzie były konferencye z gabinetem króla, i drażliwą tę rzecz załatwiono w ten sposób, że grupowanie się obcych ambasadorów pozostawiono własnej ich woli i wygodzie, nie robiąc żadnego w tej mierze programu.

I saski pełnomocnik był także w kłopotach. Elektor saski nie był jeszcze odpowiedział na propozycyą sejmu,



która już w uchwałę nawet przeszła, czy po ostatnim królu elekcyjnym przyjmie tron Polski czy nie. Siedzący w tym celu w Dreźnie Ks. Czartoryski nie przysłał jeszcze stanowczej odpowiedzi, chociaż poufnie dał do zrozumienia, że żadnej nadziei sobie robić nie można. Mocarstwa bowiem, dążące do zagarnięcia reszty pozostałej Polski wywierali na Elektora silne wpływy, niesprzyjające nadziejom sejmu i narodu.

Sam król przywołał pana Essena do siebie, i mówił z nim długo o nieszczęśliwym wahaniu się Elektora, które w kraju rodzi wielkie nieukontentowanie. A podkanclerzy Kołłątaj napisał zaraz potem do niego w imieniu króla, aby jutro dworzec saski okazał kazał oświecić, gdyż inaczej źli ludzie skorzystać z tego mogą dla wicherzenia w Rzeczypospolitej. Między innemi pisał Podkanclerzy... Qu' on affectait de repondre, que le commissaire nommé ne venait ici, que pour rendre compliment pour compliment, sans être changè d'entrer en aucun pourparler, et si cela etait. cela signifierait: Mener toute la nation par le nez!.,

O Bułhakowa nie troszczono się urzędowo tym razem, bo ambasador Moskwy wprost nazwał konstytucyą trzeciego maja rewolucyą i od tego nie odstąpił. Był tego zdania, że Moskwa wtedy nachyliłaby się do króla i Rzeczypospolitej, gdyby król cofnął swoje słowa i przysięgę, i uwolnił kraj od tej rewolucyi, która od roku jego wnętrzości nurtuje.

Wszystko to wprawiało poselstwa obcych mocarstw w ruch niezwykły. Zasięgali naprzód informacji wzajem od siebie, a potem oczekiwali z niecierpliwością nadejść mających kuryerów.

Wprawdzie informacye dworów mniej więcej nadeszły już wcześniej, postawa jednak narodu w ostatniej chwili, który uroczystym obchodem pamiętnego dnia trzeciego maja chciał niejako wszystkim nieprzyjaciółom swoim sprawić pewną okazałą manifestacyą, czyniły te informacye po większej części niewykonalnemi, już dla samego osobistego bezpieczeństwa ambasadorów.

Oświadczenia dotychczasowe kilku mocarstw były tak dwuznaczne, chociaż na pozór przychylnie i przyjacielskie, że obchód dnia jutrzejszego miał pełnomocników niejako przyprzeć do muru i odsłonić prawdziwą ich chorągiew.

Lucchesini biegał do Essena z paczką grożących mu listów i pytał go, co on jutro robić zamysła, a Essen wzajem szukał u niego porady, gdyż z Drezna nie miał jeszcze ostatniego hasła, prócz dawniejszego nakazu, aby jak najdłużej niczego nie odmawiać i również niczego nie obiecywać.

Równy niepokój panował w pałacach wielkich domów polskich. Co zrobić w dniu jutrzejszym? Czy się przyłączyć do obchodu czy stanąć na boku? Czy wreszcie stanowczo przeciw manifestacyi tych, którzy tamtego roku przy uchwale konstytucyi zwyciężyli, wystąpić i ją zaćmić? Takie pytania zadawano sobie, a odpowiedź była bardzo trudna.

W dniu tym bowiem wystąpiły wszystkie stronnictwa Rzeczypospolitej do walki, a nurtujący potajemnie nieprzyjacielem kraju używali tych stronnictw do swego oddawna założonego celu, którym był — grób Polski!

Konstytucya trzeciego maja miała w samej Rzeczypospolitej bardzo wielu przeciwników. Usiłowała ona stosownie do ducha czasu i postępu stworzyć świat nowy na

zrębie starej budowy, która już była strupieszala. Otóż wszystkie pozostałe resztki starego świata wystąpiły przeciw tym usiłowaniom walcząc poprostu o swój byt.

Wprawdzie chciano tę walkę starego, upadłego świata okrasić jakimś systemem politycznym, a nawet byli i tacy, co w ten system szczerze i zapamiętale wierzyli; ale gruntem tego wszystkiego, chociaż nie dla wszystkich widzialnym, były zawsze nieczyste namiętności ludzkie.

Mówię, że ten grunt nie był dla wszystkich widzialny, bo trudno przypuścić, aby tak liczny zastęp, składający się z ludzi zamożnych i niezawisłych, miał w swoim gronie samych zdrajców, którzy ojczyznę poprostu sprzedawali.

A gruntem tym była u jednych obrażona ambicya, u drugich zawiedzione nadzieje, u trzecich prosta, wrodzona każdemu szlachcicowi polskiemu opozycya przeciw władzy, która nie przysła z zagranicy, ale wysła z pośród jemu równych.

Gdyby na tronie polskim siedział który z dynastów europejskich, możeby Potocki, Branicki, Rzewuski i podobni w antyszambrze jego długie godziny ślęczyli, jak to było w Kijowie podczas pobytu Imperatorowej Katarzyny, gdy tymczasem dwór Stanisława Augusta, króla polskiego, w Kaniowie był osamotniony i cichy. Nawet matrony polskie w wielkiej liczbie napełniały przedpokoje dworu w Kijowie, a wracając do domu starannie omijały Kaniów zaciszny, nakładając nawet drogi w tymże celu.

Czemże bowiem dla tych możnych i starych rodzin był Poniatowski, który chociaż z koroną na głowie nie wyrównywał nigdy ich rodom, które najpierwsze ongi piastowały zaszczyty?

Ta ambicya, to pruchno starego świata, zaślepiła nawet tych, którym patryotyizmu nie można było odmówić, a którzy po nici tej ambicyi zaszli tam, gdzie znaleźli dla siebie hańbę i klątwę na wszystkie potomne wieki.

Wszystko to więc zawrzało w tym dniu, a przybyli posłańcy z Petersburga okazywali jasno, gdzie byli przewodźcy tego obozu, który za kilka tygodni miał na brudnej swojej chorągwi napisać, że walczy w obronie praw Rzeczypospolitej!..

A oboz ten składał się z ludzi najrozmaitszej opinii. Należeli do niego nawet tacy, którzy w najczyściejszej wierze dawali krew i życie za ojczyznę, bo im powiedziano, że ojczyznę jest to, co od lat tysiąca dotąd było, a przeciw czemu powstałi ludzie nowi, którzy pragnęli krwawą rewolucyą, która się już na zachodzie zapowiedziała, wszystko zgubić.

I przeciw temu obrażała się niejedna święta pradziadowska szabla, aby razem z dzidą kozacką broczyć we krwi własnych braci!..

#### XIV.

Było już sporo po południu, gdy w jednym z najokazalszych pałaców stolicy wszczął się ruch niezwykły.

Pałac ten stał przy jednej z pryncypalnych ulic Warszawy. Misterna, żelazna krata ze złożonemi grotami oddzielała go od ulicy. Nad bramą wisiała tarcza herbowa, a pod nią świeciły się dwie początkowe litery nazwiska właściciela. Za tą bramą rozciągał się plac dosyć obszerny, w głębi którego wznosiły się szare mury okazałego pałacu.

Pałac ten magnata polskiego przedstawiał w różnych porach dniach widok nader charakterystyczny.

Kto widział pałace dzisiejszych magnatów, tego uderza najprzód pewień stały, znacznym kosztem zaprowadzony porządek. Czy magnat jest w domu czy go nie ma, wszystko tam odbywa swoje regularne funkcyje. Służba wypełnia regularnie swoje obowiązki, wszędzie jest ład i porządek. Mury całe, sienie starannie zamiecione, na dziedzińcu czystość wzorowa. Po drzewach widać, że czuwa nad nimi ogrodnik. Poznać po wszystkich domownikach, że służą pewnej estetycznej myśli właściciela, który sobie w niej lubuje.

Pałac magnata polskiego z owych czasów zupełnie

inaczej nam się przedstawia. Otacza go, że tak powiemy, jakaś atmosfera azyatycka.

Zkąd się wzięła ta atmosfera, jeszcze dzisiaj na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej widzialna, trudno odgadnąć.

Zdaje się, że tak zwany dzisiejszy komfort i zamiłowanie w estetycznym otoczeniu nie zawsze było u naszych panów rzetelną potrzebą życia. Był to raczej chwilowy wybryk fantazyi, małpiarstwo zasłyszanych rzeczy cudzoziemskich, które ani do społeczeństwa ani do atmosfery północnej wcale się nie stosowały, jak naprzykład pałacyk Mokotowski, wystawiony z włoska bez pieców.

To też dziwnie wyglądały te przybytki pańskie. Zręki cudzoziemskiego architekty wychodził jak cacko wspaniały pałac, ale jak on po kilku latach wyglądał?

Niebo i ludzie pracowali razem, aby mu odjąć jego urok pierwotny. Otaczało go zewsząd błoto, ściany porysowała ręka ulicznika, żelazne złożone kraty wyłamano tu i ówdzie, aby służba miała krótszą drogę do różnych wycieczek.

A cóż to za dziwna zgraja zaludniała te pałace? Po kątach dziedzinca pełno śmieci, schody wydeptane, ściany poodbijane, okna wypaczone!..

Wprawdzie w dniach uroczystych, gdy pokoje pałacu napełniły się gośćmi, wyglądała ta służba trochę inaczej; ale właśnie było to dowodem, że właścicielowi pałacu nie chodziło wcale o wykwintne wygody życia, ale chwilowy efekt, aby na krótki czas olśnić, odurzyć, a po tym trudzie (bo komfort taki był istotnym trudem) spocząć znowu czas niejaki z miłym widokiem na brudy i śmiecie!

Na wschodzie takie same obrazy i dzisiaj się powtarzają.

Wogóle główną cechą domu magnackiego była francuszczyzna. Nie tylko mówiono w towarzystwach między sobą po francuzku, ale chciano również stworzyć wkoło siebie jak najszerzej tę cudzoziemską atmosferę.

To też począwszy od sekretarza i nauczycieli dla dzieci, cała starsza służba składała się wyłącznie z francuzów. Kamerdynerowie, lokaje, bony, wszystko to rekrutowało się z tego cudzoziemskiego autoramenta. A mania ta cudzoziemszczyzny ogarnęła tak gwałtownie wszystkich bogatszych ludzi, że nawet nowo zakładanym podówczas osadom nadawano francuzkie nazwiska.

Rozumie się samo przez się, że zgraja ta cudzoziemców nie składała się z ludzi wyborowych. Były to pò większej części śmiecie i szumowiny społeczeństwa francuzkiego, które naród do Polski wyrzucał. Co się w ojczyźnie swojej pomieścić nie mogło, to wychodziło na lekki, próżniaczy chleb do Polski.

Nic więc dziwnego, jeżeli nieprzyjaciele Polski po domach magnatów mieli gotowych szpiegów i agentów, którzy za pieniądze donosili im o każdym kroku i o każdym słowie swoich pryncypałów.

Kiedy dyrektoryat francuzki wysłał do Mołdawii emisariusza Parandiera, aby rozruchy w Polsce przygotować, pisze Repnin wyraźnie w swojej depeszy z dnia 24. lipca 1798: *Comme ce Perandier á ete du temps dela diète polonaise du 3. mai secretaire d' Ignace Potocki et qu'il livrait pour de l'argent toutes les depeches à M. Boulg-*

hakoff, qui etait alors ministre de Russie à Varsovie, on pourrait peut-être (si ce Parendier arrive en Moldavie) connaître par lui-même les projets qui regardent la révolution (future) en Pologne etc...

Jestto ten sam Parendier, sekretarz ministra Potockiego, którego widzieliśmy w pierwszych rozdziałach naszej powieści.

Wcale się więc dziwić nie można, jeżeli nieprzyjaciele Rzeczypospolitej korzystając z niewytłumaczonej manii panów naszych, od której nawet najzaciejsi patryoci wolni nie byli, byli o wszystkim jak najlepiej zawiadomiani, co się w ich domach działo. Nieszczęsna więc mania cudzoziemszczyzny, która jeszcze i po dziś dzień błąka się jak krwawa mara po salonach polskich, przyczyniła się niemało do nieszczęścia Rzeczypospolitej.

Tym sposobem obsadzony dwór magnata polskiego przedstawiał, jak wspomnieliśmy, o różnych dobach dnia wcale różne widoki.

Francuzka służba była tylko od parady, kiedy dwór miał się przedstawić zgromadzonym gościom w świątecznych szatach. Była to niejako reprezentacja sceniczna, obliczona na krótkie chwile, poczem następowała proza, że tak powiemy domowo-narodowa. Wystawność bowiem ówczesna nie pochodziła bynajmniej z potrzeby wyższej cywilizacji, ale była po prostu małpiarstwem tego, co się gdzieś widziało za granicą, była trudem tak dla magnata jak i dla służby jego, po którym ta i tamten odpoczywali sobie w miłym dla stron obu nieporządku.

To też cudzoziemscy turyści, którzy podówczas Polskę



zwiedzali, rozpisują się szeroko o dziwnych kontrastach, jakie ich na dworach magnatów polskich uderzały. W chwilach uroczystych przepych nad miarę, hojność azyatycka, wystawa sułtańska, a po odegranej nader zręcznie komedyi występowały z dotychczasowego ukrycia brud i śmiecie, zabłocone siermięgi, okopcone twarze i rozczochrane włosy.

Tak też mniej więcej przedstawiał się w owym dniu pałac, do którego właśnie czytelnika wprowadzić chcemy.

Przy jednej z pryncypalnych ulic stolicy, zbudowany w stylu odrodzenia przez włoskiego architekta, wyglądał posepnie przez żelazne kraty na przechodzących mieszkańców miasta. Z pewną pychą cofnął się o kilkanaście kroków wtył od zwyczajnych kamienic, aby tym sposobem nacechować swoje odrębne stanowisko.

Na tem jednak z dumą zajętem stanowisku nie bardzo fortunnie powodziło się dziełu architektury włoskiego.

Najprzód niebo polskie wystąpiło zaraz w pierwszych latach dosyć nieprzyjaźnie przeciw niemu. Architekt bowiem włoski chciał tutaj powtórzyć jakiś pałac neapolitański i długą kolumnadą ocienił okna, jakby je chciał ochronić od skwaru słońca włoskiego. To co było dobrem i pięknem w Neapolu, stało się niestosownem pod niebem polkiem. Stoły i szaragi oszpeciły na wszystkie strony pyszną kolumnadę, a do samych ścian z powodu braku słońca wciśnęła się wilgoć i zielonemi arabeskami okryła całą północną stronę pałacu. Kunsztowne gzemy, służące tutaj na zbiorniki wody, pokryły się mchem lub poodpadywały miejscami, a na jednym z nich posiał wiatr, czy ptak psotnik ziarno pokrzywy czysto polskiej, które rozrosło się w pyszny egzemplarz.

Dalsze ciosy pochodziły od ludzi i nie zbyt gorliwej administracji miasta. Złożona u wierzchu brama otwierała się nad bezdenną kałużą, a pojedynczo rozsiane kamienie brukowe większego kalibru dawały niejako wyobrażenie o wyspach Archipelagu.

Do tego cofnięcie budynku od ulicy stworzyło dla sąsiadów upragniony zakątek, który z rezygnacją bezprzykładną przyjmował różne śmiecie i inne nieczystości. Zarząd zaś pałacu uważał zapewne to wszystko za cudzy, powierzony sobie depozyt, którego nie mógł się tknąć nie obciążwszy swego sumienia.

Służba cudzoziemska, jak wyżej powiedzieliśmy, była tylko od parady. W chwilach zwyczajnego życia, to jest, gdy magnata w domu nie było, lub gdy po trudzie uroczystej recepcji w prozaicznym swoim kubraku w głębi komnat wypoczywał, rozchodziła się zazwyczaj na wszystkie strony dla własnych swoich rozrywek.

Sekretarz wymykał się do którego z poufnych znajomych swoich, aby szczegółowe zdać relacye o czynnościach swoich, lub żeby naśladować swego pryncypała, jego kosztem we własnej jego winnicy jakim narkotycznym trunkiem się zabawić.

Kamerdyner szedł najkrótszą drogą do gospody, w której zwykł grywać w karty z ludźmi Ks. wojewody. To samo robili lokaje i kucharze.

W pałacu pozostał tylko żywiół czysto rodziany, któremu odchodzący powierzali swoje funkcye. Jeżeli bowiem cudzoziemska służba była głównie od parady, to do koniecznej, rzeczywistej służby spędzano z dóbr magnata pewną liczbę poddanych, którzy jak ukryci poza de-

koracyami maszyniści, pełnili to wszystko, co im nakazano.

Poczet ten niewidzialny przy uroczystem wystąpieniu służby rzeczywistej, nie był wcale budający. Byli to ludzie wyrwani z zagród rodzinnych i jakby jeńcy wysłani do pałacu stołecznego. Tu z zachowaniem podartych siermiąg, brudnych koszul i włosów rozczochranych przyswajali sobie zazwyczaj wyuzdane namiętności gminu wielkomiasstowego, do czego pchała ich nieustanna tęsknota za wydartą im zagrodą ojczystą.

O ile moralnie ta służba podobniejszą była więcej do zwierząt niżeli do ludzi, o tyle jeszcze wstrętniejszy przedstawiała obraz otoczenia pałacu magnackiego.

W prozaicznych bowiem chwilach tego pałacu występowała ta obdarta, posmolona i rozcuchrana czereda na pierwszy plan, i roila się wkoło korynckiej kolumnady, jak plugawe robactwo, występujące z ziemi po deszczu.

Taki właśnie widok przedstawiał pałac, do którego czytelnika wprowadzić chcemy, w przededniu uroczystości trzeciego maja; do której cała Warszawa gotowała się jak oblubienica.

Wkoło tego pałacu zajęci byli liczni robotnicy przygotowaniami do jutrzejszego festynu. Jakiś restaurator z naprzeciwka ułożył był właśnie z wielkim trudem olbrzymie litery z przezroczystego papieru, które w razie potrzeby mogły być oświecone, zawierające krótkie lecz dobitne słowa: Vivat król, vivat naród! I po raz setny wybiegał restaurator na ulicę, i za każdym razem płakał prawie z radości nad dziełem swego rozumu i rąk swoich...

Rzeźnik z lewej strony pałacu kazał znacznym sumptem namalować sobie olbrzymiego wieprza z łokciowymi kłami, a przytem siebie z nożem i podpisem: Jak temu wieprzowi tak będzie wrogowi; a dla Polski jak za czasów Piasta, będzie z niego szynka i omasta!...

Z drugiej strony bogobojny mieszczanin obok wizerunku Najświętszej panny Maryi wystawił wielką tablicę z napisem: „Królowo utrapionej korony,  
Twojej wzywamy obrony!”

I tak jaki taki krzątał się, aby dóm swój przystroić w szatę świąteczną na dzień jutrzejszy; tylko cofniony w głąb pałac magnata milczał ponuro i zachmurzony patrzył przez złocone kraty.

Paradna służba rozbiegła się gdzieś, a domorodni zastępcy ich wyleźli z nor swoich i otoczyli pałac szarem mrowiskiem.

Rozczuchrany, wiecznie pijany stróż pałacowy, chłop z Rusi, wyciągnął na siekierze z lamusu olbrzymi kłoc drzewa, i wobec zgromadzonych uliczników popisywał się przedpotopową sztuką przysposabiania paliwa dla wypiekania cudzoziemskich frykasów.

Z głównych schodów pałacu wypadł osmolony kuchcik, prawie nagi, z jakąś zwierzyną z dalekich lasów litewskich, i zdążył z nią prosto do pompy na dziedzińcu, aby ją tam naleźycie na ziemi opłukać z posoki i innych niepotrzebnych dodatków.

Kilku stajennych wyzwało się na kułaki, a z okien pałacu wyjrzały wynędzniałe twarze z rozczuchranymi włosami i siłyły się do uśmiechu z tak zabawnego spektaklu.

— A dlaczego w pałacu na jutro nic nie robią? — zapytał jakiś ciekawszy ulicznik stróża, który po raz setny w jeden sęk tępą siekierą bezskutecznie uderzał.

— A co nam do dnia jutrzejszego! — odpuknął gniewnie stróż — czy to człowiek wiedzieć może, czy do jutra dożyje?

— Czy nie wiecie, co jutro będzie?

— A ktoby tam wiedział! Panowie bawią się, kiedy chcą i kwita, a człowiek biedny to żyje tylko z dziś na jutro! Za to będzie dzisiaj w pałacu wielki obiad, a drzewa nie ma!

W tej chwili jakichś dwóch młodych ludzi zapytało się o zarząd pałacu. Stróż długi czas wpatrywał się w pytających, potem wskazał na prawo, gdzie były tylne schody pałacu.

Nieznajomi weszli do drzwi wskazanych, a stróż wrócił napowrót do sęka, który go widocznie w rozpacz wprawiał.

Po niejakiem czasie okazali się znowu dwaj nieznajomi na dziedzińcu, a razem z nimi pojawił się także niski, stary szlachcic z siwym przystrzyżonym wąsem, opasany włóczkowym pasem.

Był to prawdopodobnie zarządca pałacu, czyli jak dawniej mówiono marszałek. Mówił czas niejaki z nieznajomymi, rozkładał rękę na prawo i na lewo, bił się w piersi, a potem wytartą czapką nieznajomych gości uniżenie pożegnał.

Po wyjściu nieznajomych stał jeszcze czas niejaki na dziedzińcu, przypatrując się z jednej strony dzikowi rzeźnika i admirując z drugiej strony kunsztownie ułożone

litery patryotycznego restauratora, gorliwego jak widać adherenta konstytucyi trzeciego maja. Potem pokiwał smutno głową, machnął ręką kilka razy i plunął, i wrócił do pałacu.

W małej izdebce, której drzwi teraz otworzył, siedziało kilka kontuszowych jegomości przed zastawionym posiłkiem. Kawał szynki, kilka zwoi kiełbasy, odgrzewana kapusta i gąsiorek wina okazywały, że biesiadnicy ci należeli do tak zwanego drugiego stołu.

— A cóż to, mości Lubiczu — ozwał się jeden z biesiadników połykając spory kawał kiełbasy — czy to nowi dygnitarze, którzy każą pałac dnia jutrzejszego oświecać?

— Jakobini, Jakobini! jak mówi IMpan Kasztelan — rzekł drugi.

— Pst! — przerwał mówiącemu gospodarz i powiódł palcem po tłustem gardle — pst! bo diabeł nie spi, a dziś w Polsce wszystko można zrobić! Święta boża rodzicielko...

I dalej szeptał modlitwę, a dwie jasne łzy stanęły mu w oczach.

Biesiadnicy posmutnieli i z widocznym smutkiem dogryzali ostatnich kawałków szynki, mieszając je dla umartwienia kwaśną, odgrzewaną kapustą.

Po uroczystej chwili milczenia, którą tylko brzęk kieliszka kilka razy przerwał, ozwał się smutno gospodarz ocierając oczy:

— Bogiem a prawdą szpetnych rzeczy doczekał się człowiek! Jan Maryan Anastazy Lubicz, który niegdyś bywało razem z Kasztelanem hardo głowę do góry nosił, musi teraz słuchać pierwszego lepszego hetki, a to z tej prostej przyczyny...

Tu znowu pociągnął palcem po szyi tam i nazad.

— Tałałajstwo, tałałajstwo wcisnęło się do rządów Rzeczypospolitej, a to ztąd poszło, jak znakomite urodzeniem rodziny odsuniono od zaszczytnych urzędów... przezco niejednen poczciwy szlachcic, który się żywił przy tych rodzinach, poszedł z kijem w rękę po żebrach!

— Jakobini! słusznie mówi zawsze Ispan Kasztelan.

— Ale czegoż oni chcieli? Co zacz za jedni?

— Każą nam się jutro radować! — smutno odparł gospodarz.

— Radować? — krzyknęto chórem — my im inaczej okażemy jutro radość naszą!

I kilka kielichów węgryzna wzniosło się do góry.

— Tak, tak, radować się mamy — mówił nieco śmielej gospodarz—radować się mamy, gdy nam poły na wszystkie strony obcięto, a to wszystko z łaski owych Jakobinów, jak zawsze powiada Ispan Kasztelan. Za to dano nam kompenzatę z żydów i mieszczuchów! A klejnot mospanie gdzie? W czyichże to rękach jest nawa Rzeczypospolitej, że tak się dzieje?.. Dawniej św. p. Ispan wojewoda, rodzic Ispani Kasztelanowej, miał przy dworze piechotę i kawaleryą, a gdy wyruszał z dworem takim czy to na sejmik czy do sądu grodzkiego, to jak to mówią znać było pana po cholewach. Jeżeli w drodze potrzeba było rozstrzygnąć jaką sporną sprawę czy to z żydem, czy mieszczuchem, czy z chamem, to zrobiono rzecz krótko i węzłowato. Nie żał to było szlachcicowi być w takim orszaku! Była fantazyja, było na łyżce i za łyżką. A dzisiaj pożał się Boże, spisali jakieś prawa, odebrali szlachcie

złotą wolność i zrównali ją z żydami! Czyż to nie jest herezya, czyż to nie jest zdrada Rzeczypospolitej?

— Zdrada Rzeczypospolitej! — krzyknięto znowu chórem.

— I za to wszystko jutro każą nam się cieszyć!

— Na pohybel z nimi!

— Na pohybel!

Gąsiorek wypróżnił się do dna, ostatni kawał kiełbasy znikł z miski, na której została tylko bezherbowna kapusta.

— Czy nie macie mości Lubiczu więcej mięsiwa? — ozwał się chudy z porąbaną głową szlachcic, wycierając kawałkiem chleba dno miski cynowej. — Śmierć Jakobinom i tym, co z nimi w sojuszu!

— Tak, śmierć Jakobinom!.. a możeby jeszcze jeden gąsiorek? — dodał drugi z okiem zyzowatem.

— Ja wam powiadam — zagadnął trzeci z dużym nosem w ceglastym kontuszu — Rzeczpospolita marnie zginie, jeżeli znakomitym rodom, jakim na przykład nie przymierzając jest ród IPana Kasztelana, nie oddadzą się najwyższe rządy... Kielbasa była wyborna; czy nie macie tam jeszcze z kilka biczy?

— Co to jest targać się na odwieczne prawa Rzeczypospolitej! — przerwał inny biesiadnik w wytartym kubraku szaraczkowym — to znaczy zrębać las wysokopienny, a natomiast krzaczki posadzić! Jeżeli mospanie w którym rodzie był buzdycan lub krzesło karmazynowe, to ród ten już ciż ma pierwszeństwo przed wszystkimi! A tu król — odpuść panie, ni z pierza ni z mięsa, a ci, w których komnatach buzdycany wiszą, muszą mu się kłaniać i jeszcze do tego dać się obcinać... Kawałeczek szynki przy-



dałoby się, bo jakoś mdło człowiekowi przy tych umartwieniach!

— Jestem tego przekonania, że nas chcą z kretesem wyrznąć — westchnął inny — a natomiast chłopów i mieszczuchów oszlachcić, którzyby byli potulniejsi. Ale dokąd pan z panów Jaśnie oświecony nasz sprzymierzeniec w tym pałacu żyje, który za prawami biednej szlachty obstaje, dotąd... dajcie węgryzna i nie żałujcie kielbasy!..

Gospodarz chciał właśnie życzeniom sprzymierzonych z magnatem patriotów zadość uczynić, gdy dzwonek na korytarzu wezwał go do jego urzędowania.

Dano bowiem znak, że się zbliża godzina do obiadu. Marszałek pałacowy zalecił gościom swoim cierpliwość, a sam pobiegł do prywatnej komnaty, aby wziąć na siebie ubior świąteczny i pradziadowską przypasać karabelę.

Tymczasem przy pustych misach pozostali biesiadnicy posmutnieli dosyć widocznie. Niejaki czas panowało głuche milczenie.

— Przyznam się — ozwał się jeden — że innego przyjęcia się spodziewałem!

— Dwadzieścia mil z okładem zasługuje na obfitsze jadło — wtrącił drugi biorąc się z rezygnacją do kapusty.

— Obiecywali nam złote góry — dorzucił trzeci — a tu i zębów człek dobrze nie popłukał!

— A tymczasem rozpoczyna się uczta cała na pokojach pańskich! — zauważał ze smutkiem czwarty.

— Pewnie i nam coś z tej uczty kapnie! Czekajmy!

— Radziwiłł mospanie wszystkich sadza do jednego stołu.

— To prawda, ale tu Warszawa a nie Nieśwież! Tu już wszystko jak za granicą!

— Niech ich kaci porwą razem z zagranicą, kiedy człek głodny!

— A jam mówił, że lepiej było przyłączyć się do Sołtyka.

— Jakto, do przeciwnego obozu?

— Obóz obozem, ale może lepsza szperka!

— Jeszcze gorzej! Sołtykowa odmówi z tobą zamiast szperki modlitewkę do Przemienienia Pańskiego i każe zaciągnąć się do komputu Ks. Józefa, aby bronić ojczyzny.

Na te słowa jeszcze bardziej posmutnieli towarzysze, podczas gdy na pierwszym piętrze robiło się coraz weselej coraz huczniej.

## XV.

Zanim między uczujących na pierwszym piętrze wejdziemy, zastanowimy się nieco nad niektórymi zagadkami, które w dziejach owego czasu napotykamy, a które przy sposobności tej uczyły magnackiej może nam się nieco wyjaśnią.

Zagadką bowiem trudną do rozwiązania przedstawia nam się bezprzykładny upadek ówczesnych charakterów politycznych, czyli raczej ludzi wyższe w narodzie stanowisko zajmujących.

Dzieje wyświeciły nam tylko ostateczne tegoż upadku rezultaty, to jest, proste zaprzeczenie się nieprzyjaciółom ojczyzny. Mamy długi spis ludzi wysokich urzędów i rodów znakomitych, którzy bez względu na to, co kiedyś o nich powie nieubłagana historia, brali z rąk nieprzyjaciół złoto pełnemi garściami, sprzedając na wieczną hańbę krwią pradziadowską zarobioną sławę!

Wiemy, że ambicya, ślepotą, nieuctwo, zawiść stronnictwa może nawet poczciwych zkądinąd patriotów w zapale walki z innemi opiniami zapędzić aż do obozu i sojuszu nieprzyjacielskiego. Wiemy, że podobni ludzie mogą tym sposobem stać się nawet zdrajcami własnego kraju, mogą popaść przez swoje namiętności niejako w szaleństwo przyswojonych sobie opinii; ale trudną do rozwiązania

zagadką pozostanie dla nas, że wyższego stanowiska ludzie z bezwstydnym cynizmem wyciągali do nieprzyjaciół Rzeczypospolitej zbrodniczą rękę po złoto, jak Judasz po obiecane srebrniki...

A przecież działo się to w narodzie, u którego cnoty publiczne stały prawie na równi z kanonami religii, który przez długie wieki żywił się tradycją wielkich czynów patriotycznych, który niejako tak zrósł z temi tradycjami, że go trudno od nich odłączyć.

Szczególny ten objaw upadku ludzi tem się tylko da nieco wyjaśnić, że to były czasy największego rozbudzenia niskich czysto zwierzęcych namiętności, z których nader zręcznie skorzystali nieprzyjaciele Rzeczypospolitej.

Otóż tę niższą naturę człowieka rozpasano do najwyższej potęgi. Pozbywszy się wszelkich szlachetniejszych i idealniejszych popędów, starano się tylko o dogodzenie zmysłom. Używano więc wszystkiego, co tylko zmysły podrażnić może, używano aż do szaleństwa.

Miłość, kobieta, wino, fantazyja, gastronomia, gry hazardowe, wszystko to sprowadzono do zbyt realnego kunsztu, który miał ustawicznie działać na zmysły.

Między innymi rokosze gostronomiczne, używane z pewnym azyatyckim przepychem, stały niejako w pierwszym rzędzie i stanowiły tło do innych wyrafinowanych kunsztów ówczesnego życia.

Rokosze zaś takie wymagały wielkiego kosztu i niepoślednich fortun. Do tego przysła emulacyja, która rozszalałe umysły doprowadziła do ostatecznych granic.

Ztąd utworzył się pewien ton w wyższem społeczeństwie, który z czasem stał się nierozdzieloną potrzebą życia.

Festyny, bale, biesiady lukulusowe, gry szalone, fantazyje ekscentryczne nie były już chwilowym wybrykiem bogatszego magnata, ale stały się z konieczności potrzebą życia wielkomiejskiego, a to z tej prostej przyczyny, aby za innymi w tyle nie zostać.

Chorobę tę rozdmuchiwali starannie nieprzyjaciele Rzeczypospolitej. Wyposażeni dostatecznie w tym celu w potrzebne zasoby, popychali magnatów polskich w coraz większą przepaść, gdzie już nietylko zdrowe zmysły ustają, ale nawet gubi się pojęcie o cnocie i o zbrodni.

Bulhaków, reprezentant ówczesny Moskwy, człowiek skromny a nawet skąpy, który własną pracą swoją wyższego stanowiska się dobił, umiał dla gości swoich polskich tak wykwintne obiady urządzać, że wszystkich wprawiał w najwyższe zdumienie.

Rozumie się, że duma polska chciała mu dać odwet godny Krezusów, a tym sposobem wdrażała się w życie, na które potrzeba było milionów.

Lucchesiński, który niby najwięcej sprzyjał Rzeczypospolitej, a u którego domowym przyjacielem był Niemcewicz, wydawał na jedną ucztę daleko więcej pieniędzy, niżeli król jego na cały miesiąc w Berlinie.

Dodawszy do tego przepych azyatycki i nader kosztowną galanterią dla dam, koszta życia pańskiego w ówczesnej Warszawie dójdą do cyfry bajecznej.

A wszystko to coraz więcej stawało się nie chwilową rozrywką, ale nieustanną potrzebą życia, bo życia inaczej nie pojmowano.

Życie takie musiało rozluźwiać nietylko stosunki rodzinne, ale i państwowe. Potrzeba fortun i pieniędzy

stawiała się coraz większą, pragnienie utrzymania kroku z innymi było coraz gorętsze.

Wkońcu pod klątwą śmieszności i wyrzucenia z towarzystwa nie można było w tyle pozostać. Pałace magnatów przechodziły w ręce bankierów, przegrywały się na jedną kartę w grę hazardową. Pozycja towarzyska usuwała się, potrzeba było ją ratować, chociażby cyrografem na własną duszę.

Wtedy to zbliżał się zcicha nieprzyjaciel. Rozbudzał powoli różne ambicyjki, w słodki opłatek zawijał gryzącą truciznę, a nieszczęśliwi pacycenci połykali ją całemi garściami!..

Jedni wynaleźli sobie dla oszołomienia czujnego zawsze sumienia pewne foremki polityczne, któremi sami przed sobą grzechy swe pokrywali. Inni grzeszyli z otwartym cynizmem, bo nawet na szlachetniejsze kłamstwo przed samym sobą już ich stać nie było.

Złoto, fortuny dygnitarstw intratnych, to była ich rodzinna modlitwa, bo złota wiele potrzebował każdy dzień życia.

A gdy jeden tylko za protekcją tego lub owego nieprzyjaciela Rzeczypospolitej coś ułowił, wyciągał drugi za nim rękę, za drugim trzeci z prostej emulacji, a czwarty powiedział po prostu sobie: Mamże być lepszym od innych?

I tak goniąc jeden za drugim o lepsze, zapędzali się wszyscy aż do granic, gdzie się zaczyna zbrodnia, chociaż w zaślepieniu nie wszyscy tej granicy dojrzelili...

Tym sposobem wyrobił się znaczny poczet ludzi ówczesnych, którzy wcale sobie za złe nie brali, że byli

niejako na jurgielce mocarstw Rzeczypospolitej nieprzyjaznych, i nigdy się o to nie troszczyli, że ich nazwiska znajdują się kiedyś w papierach Igelströma, lub nader systematycznie ułożone podług alfabetu spoczną w porządnym aktach głównej rządowej kasy we Lwowie.

Stosując się więc do ówczesnych, gastronomicznych zwyczajów, uczta magnata polskiego nie mogła być mniej okazałą od obiadu u Bułhakowa lub Lucchesiniego.

Pałac z bramą o złożonym herbie zamienił się w okamgnieniu w jakiś zamek zaczarowany.

Obdarte, brudne postacie poznikały z dziedzińca i ze schodów, gdzie żmudną swoją służbę pełniły, a wprawni aktorowie, zwołani odgłosem dzwonka, zajęli na czas uroczystości domowej swoje przynależne stanowiska.

Wiecznie pijany stróż z nierozbitym kłosem drzewa zniknął z dziedzińca, na którym w całej okazałości okazał się teraz w sutej szubie odźwierny z czapką kozacką na głowie. Ubrany we fraku Francuz pobiegł na główne schody, aby zluzować domorodnego pokojowca, który w brudnej koszuli doczyszczwał posadzki w salonach. W czerwonych frakach lokaje, z białymi jak śnieg harbajtlami na plecach, ustawili się w szerokiej sieni, jak nieruchome karyatydy...

A kiedy wszystko już było na swoim stanowisku, a nawet i sam pan pałacu z westchnieniem na stare członki swoje wciągnął frak opięty i brodę szeroką chustą podwiązał, zaturkotały pierwsze dwie landary po nierównym bruku.

Byli to dwaj najbliżsi krewni magnata pałacowego, również jak i on sędziwi.

Kiedy wszyscy trzej razem w pobocznej komnacie na wysokich krzesłach zasiedli, można było od razu z ich twarzy poznać, że należą do tak zwanych malkontentów obecnego stanu w Rzeczypospolitej.

Sam gospodarz miał twarz, czy raczej głowę dziwnego kształtu. Była ona węższa u góry a dołem szersza, przezco harmoniowała zupełnie z konterfektem jednego z antenatów nad nim wiszącym, którego imię zapisało się dosyć niefortunnie w różnych rokoszach i konfederacyach.

Dwaj krewni mieli w głowach swoich także coś z tego typu familijnego, ale zatracili go noszeniem peruki à la Louis Quatorze. Pozostały im tylko usta z pewną goryczą zakąszone, które nadaremnie chcieli umilić słodkim uśmiechem.

— Jakież ostatnie wiadomości? — zapytał gospodarz gości swoich — *quelles nouvelles?*

— Bardzo niefortunne — odpowiedział starszy z krewnych — król uparty jak kozieł, a Piatoli zapisał sobie z Paryża jednego z głównych przywódców rewolucyi...

— Z Petersburga są także dziwne wiadomości — rzekł młodszy — generał artyleryi Potocki pisał do swojej ciotki kasztelanowej Kamienieckiej: „*Si la pait se fait, je vais voyager en Russie, en Suede et à Danemark; s'ilya guerre, je servirai comme volontaire dans l'armee russe. On me confisquera mes biens; cette idée ne m'inquiete pas!*“

— A cóż prymas? — zapytał po chwili gospodarz.

— Prymas?.. Prymas sierdzi się na króla i jego doradców, ale wkońcu zrobi to, co król chce.



— Dziwnie słabi ludzie! Żadnego człowieka! — mruknął gospodarz pod nosem... ale cóżeście zrobili w wiadomej sprawie?

— Zrobiło się co można — odparł jeden z krewnych — z ziemi sandomierskiej ściągnęliśmy do stolicy, co było tęższego z szlachty zagonowej. Hołota to wprawdzie, hołota, ale do szabli dobra! Trzymam ich w lochu, boby minami swemi mieszczan poprzestraszali. Tymczasem dobrze im tam jest, bo piąty antał piją!

— Moich Kaliszanów musiałem formalnie do kozy zamknąć — ozwał się drugi — pięciu żydów prawie na śmierć obili.

— Sądzę, że jutro będą mieli dobre pole do bitki — zagadnął gospodarz i uśmiechał się do swoich myśli.

— Byle tylko nie była bezskuteczna burda uliczna — zauważał krewny.

— Mam smutne przeczucie — odparł z tym samym uśmiechem gospodarz — że dzień jutrzejszy będzie pierwszym dniem tak dawno upragnionego interregnum...

— Interregnum? Jak to interregnum?

— Przecież Czartoryski w Dreźnie układów z elektorem urzędownie nie zakończył. A Wojna pisze z Wiednia, że dwór wiedeński...

— Co mi te baśnie powtarzacie, tu o co innego chodzi; król poprostu może jutro zginąć!

— Zginąć?.. A od kogoż?

— Rozumie się, że nie od naszej ręki, ale od tej broni, którą zaczął od roku wojować, wraz z doradcami swymi, X. Piatolim i Ignacym Potockim, któremu tanim kosztem zachciało się pierwszego dygnitarstwa w koronie!

- Nie tani to koszt, oprzeć się na rewolucyi!
- Każda rewolucya jest jak Chronos, który własne dzieci swoje pożera!
- Toż pierworodnem jej dzieckiem będzie jutro król jegomość!
- Zkądże ta smutna wiadomość?
- Mam ją z pewnych źródeł; Bułhaków sam coś o tem napomykał... każda rewolucya rodzi potwory!
- A czyby nie można temu zapobiedz?
- Któż kiedy powstrzymał skutki tego, co sam posiał?
- Po tych słowach nastąpiło milczenie. Obaj krewni smutno patrzyli przed siebie, gospodarz uśmiechał się do myśli swoich.
- Cóż was tak nagle do ziemi przybiło? — zapytał po chwili.
- Myśli o możliwym jutrzejszym wypadku — odparł jeden z krewnych.
- To też nie myśleć, ale coś postanowić trzeba — rzekł gospodarz — zawsze koniec końców sprawa Rzeczypospolitej na naszych barkach się oprze. Trzeba, abyśmy nie byli sami.
- Gdyby jednak król jegomość w ostatnim razie...
- Gdyby zerwał z konstytucją trzeciego maja, gdyby otwartym recessem wyrzekł się rewolucyi...
- Robi się co można, aby go do tego kroku nakłonić, ale mało nadziei. Ignacy Potocki i Piatoli trzymają go jak diabeł Twardowskiego. Zdaje się, że zrobią wkońcu z nim to, co diabeł ze swoim klientem!
- Gdyby poprostu zrzekł się jutro uczestnictwa w obchodzie tej nieszczęsnej konstytucyi...

— Ba, czegoż więcej chcieć! To znaczyłoby, że rozdarł wielką kartę, jak ją zwykł nazywać ten Włoch, intrygant.

— Ale on tego nie uczyni.

— To sam będzie winien, jeżeli ta procesya pod baldachinem będzie ostatnią jego przechadzką na tym świecie!

— Ale przecież rzecz dziwna, aby rewolucya... aby sami swoi między sobą...

— Rewolucya to potwór. Daj mu tylko jeden palec, to cię weźmie całego. Król dał im tylko koniec palca, a dzisiaj...

— Jabym mniemał, że prędzej może mieliby do króla anse adherenci generała artyleryi i hetmana...

Gospodarz rzucił się niecierpliwie na krzesło.

— Cóż za dziwne myśli przychodzą wam do głowy! — zawołał po chwili — któżby z tego stronnictwa mógł o czemś podobnem myśleć. Jeżeli gdzie co myślą podobnego, to tylko Jakobini, tylko ci, co chcą rewolucyi, chcą karków i majątków naszych, za które antenaci nasi krwią płacili!..

Po tych słowach spojrzął gospodarz po konterfektach wiszących nad jego głową. Podługowate twarze tych konterfektów uśmiechały się do niego przypominając mu niejako te i owe rokosze, konfederacye...

Po chwili westchnął i rzekł:

— Smutno jest dzisiaj żyć w Rzeczypospolitej! Dawniej każdy z naszego rodu, mówiąc o sprawach Rzeczypospolitej, mógł z dumą powiedzieć, *quorum et ego magna pars fui!*... Dziś ludzie nowi biorą się do sterowania skołataną nawą, i osadzają ją na mieliznie, jak dzieci bawiące się w szyprów!

— Sztuka rządzenia i cnoty publiczne przechodzą tylko po mieczu z ojca na syna!

— Złote słowa powiedziałaś! Ale gdzież teraz w nowym porządku rzeczy szukać tej maxymy? Ludzie niepowołani, bez pierza i mięsa cisną się do pierwszych dygnitarstw; i cóż dziwnego, że sprawa publiczna upada? Cóż dziwnego, że z każdym rokiem ubywa nam poły, aż wkońcu kurta się zostanie?..

Wszyscy trzy reprezentanci znakomitego w dziejach Rzeczypospolitej rodu westchnęli razem, a westchnęli szczerze, bo w duszy byli przekonani, że dlatego w ojczyźnie źle się dzieje, że oni nie zajęli w niej przynależnego miejsca.

W tej chwili zaczęły zajeżdżać na dziedziniec różne landary i karety, a główna sala pałacu zapełniała się z każdą chwilą.

Gospodarz i krewni jego pospieszyli do gości.

## XVI.

Wielka sala pałacu o złożonych kolumnach wyglądała wkrótce jak wielki obóz najrozmaitszych narodów.

Były to bowiem czasy nieustającej wędrowki do Polski najrozmaitszych awanturników z całej Europy. Powodem do tego było, najprzód brak wszelkiej wyższej oświaty w ogóle szlachty, i balwochwalcza adoracya wszelkiego tego, co pochodziło z zagranicy, zacząwszy od języka i stroju, a skończywszy na tak zwanych faworytkach.

To też pierwszy lepszy awanturnik, a nawet prosty oszust, włożywszy na grzbiet strój hiszpański, włoski, perski, i wydawszy się za jaką znaczącą figurę, mógł być pewnym jak największego powodzenia na salonach warszawskich. Takiego cudzoziemca wydzierano sobie z ręki do ręki, rozprawiano o nim i wzdychano za czarowną jego ojczyzną, o której wprawny oszust opowiadał dziwy niestworzone...

Słowem wszystko było lepsze, co tylko nie było Polską, co tylko jej nie przypominało ani strojem ani językiem, ani twardemi aczkolwiek wielkimi cnotami...

Każdy bogatszy szlachcic uważał sobie za największe szczęście, jeżeli potrafił ułować do swego domu jakiegoś tajemniczego cudzoziemca, o którym dla własnego splen-

doru opowiadał sąsiadom na ucho wielkie rzeczy. Tym sposobem rosła opinia pierwszego lepszego awanturnika, który rozpierał się z dumą po polskich pałacach, śmiejąc się skrycie z ubogich na duchu...

Każda z dam znakomitych musiała w swoim orszaku mieć takiego cudzoziemca, który czasem był pułkownikiem autoramentu hiszpańskiego z gwiazdą na piersiach, a czasem szczyił się tylko książęcą kolligacją jednego z rodów francuzkich lub włoskich. A tymczasem sprawował różne sekretne zlecenia damy z jak największą dyskrecją, a nawet czasem z bezprzykładnem zaparciem się siebie...

Polski szlachcic był do takich usług niezdolny, brał często rzeczy na seryo, a gdy mu kto w drodze stanął, to sprawiał się z nim sztuką krzyżową, przezco powstał tylko hałas niepotrzebny. Wprawdzie z czasem, mając takie wzory przed sobą, poduczył się trochę lepiej roli swojej w takim razie, ale zawsze jeszcze przebijała się czasem w nim sławna, nieokielznana natura polska, która namiętności swojej w należyty szyk pohamować nie mogła.

To też wielka sala pałacu dziwnie upstrzoną była dzisiaj różnymi w Polsce mundurami i strojami. Bawiący bowiem podówczas w Warszawie cudzoziemcy dosyć licznie zaszczylicili gościnny dóm polskiego magnata...

Najprzód z wielkim hałasem wywijał się w kucym fraku z małym rozenkiem przy boku jakiś markiz francuzki. Było już dosyć podżyły człowiek z pergaminową twarzą i malowanemi brwiami, roznoszący z każdym krokiem tak dziwną woń jakiejś nadzwyczajnej wódki, że najbliżsi sąsiedzi jego aż kichali z podrażnienia.

Dalej czernił się wśród jasnych strojów kobiet jakiś ponury hiszpan w swoim płaszczyku aksamitnym. Dużem, czarnem okiem śledził za pierzastą gąską polską, która widocznie widziała w nim Don Carlosa lub przynajmniej Don Philipa...

Te najwybitniejsze w dzisiejszem zgromadzeniu postaci miały różnych mniej więcej szczęśliwych naśladowców, którzy jednak, jak ongi augurowie rzymscy, nigdy na siebie nie patrzyli.

Był to tak zwany ornament dzisiejszego towarzystwa. Massa zaś składała się ze zwykłych śmiertelników polskich, przebranych we fraki i herbajtle francuzkie, albo jeszcze nieprzebranych.

Za godzinę było już tak tłumno w sali, jakby na jakim jarmarku. Część gości była nawet gospodarzowi wcale nieznaną.

Pewien cudzoziemiec, który pod owe czasy Warszawę zwiędzał, powiada, że byle być tylko porządnie ubranym, to można było wejść na ucztę do pierwszego lepszego pałacu, którego okna rześisto oświecone były.

W sali o złożonych kolumnach uspokajały się powoli fale przechadzających się gości, a pewna uroczysta cisza zapowiedziała, że się zbliża upragniona chwila obiadu. Szelest tylko sukni jedwabnych i fraków z uderzającymi po nich herbajtłami przerywał to uroczyste milczenie, z jakim szukano sobie miejsc najdogodniejszych, jedni, aby dobrze jedli, drudzy, aby rozmową z piękną kobietą bawić się mogli.

Uczta była suta, prawdziwie królewska. Najwyższo-kańsze przysmaki, najdroższe bakalia podawano w abon-

dancy nieprzebranej. Drogie wina lały się potokiem, jakby miał nastąpić drugi potop świata...

A wśród najsmaczniejszych kąsków, przy puharach złocistym napełnionych nektarem, wytryskiwały francuzkie dowcipy, z których się tylko śmiano po polsku, a na szarym końcu tylko ściskano i całowano się po polsku; przy wszystkiem innem, mimo tu i owdzie błyszczących kontuszów i złotych pasów, mimo spóźnionej gdzie niedzie podgolonej głowy, nie było wcale — Polski!

Już wśród rozpoczętego obiadu nadszedł jeszcze gość spóźniony w ubiorze szambelana królewskiego.

Gospodarz pospieszył do niego z przywitaniem.

— Witam cię starosto... zapewne już wiesz... ale gdzież szambelanowa? Czy jeszcze bawi się w pasterkę?

Szambelan uściśnął podaną rękę gospodarza.

Był to ten sam podróżny, którego znamy z pierwszego rozdziału powieści, gdy do ambasadora Bułhakowa drogi szukał.

— Słyszałem, że dobre wiadomości przywiozłeś nam z Petersburga. Nic dotąd bliższego nie wiemy. Widać, że żona twoja jeszcze się z tobą nie widziała... Czy to prawda, że wyrobiła sobie już rozwód, aby zostać dozgonną małżonką jakiegoś malarza?

— Coś o tem słyszałem, ale nie sądzę, aby się tak stać miało — odpowiedział z uśmiechem starosta szambelan. — Kobiety są podobne do wszystkich innych śmiertelnych ludzi, którzy lubią podziwiać głóg szkarłatny, ale sięgają po ostrygi, które są przecież najpodlejszem zwierzęciem...

— Czy sądzisz mości starosto, że ten mundur szambe-



łański z dochodami nieszpetynego starostwa stanowią niejako dwie łupki tego podłego a tak pożądanego zwierzątka, które w mowie potocznej mężem nazywamy?..

— Zdaje się, że tak jest — odparł z uśmiechem dyplomatycznym szambelan — jutrzejszy dzień okaże, czy się myłę.

— Ale powiedz mi starosto, jakim sposobem tak prędko przyszedłeś do restytucji tego munduru i do starostwa mimo opinii, jaką tutaj rozszerzano o tobie...

— Repnin, Bułhaków i tym podobni wszystko mogą w Rzeczypospolitej, mimo konstytucji trzeciego maja!

— Winszuję ci takiego sukcesu!

Na dalszą rozmowę nie stało gospodarzowi czasu, bo inni goście chcieli z nim o jutrzejszym dniu pogadać.

— Czy to prawda, że jacyś nieznaney kondycji ludzie grożą właścicielom domów karą, jeżeli okien nie oświecą, dachów świątecznie nie przystroją? — zapytał otyły kasztelan z poza piramidy zwierzyny z sosem cynamonowym.

— W Rzeczypospolitej nie ma teraz żadnych rządów — odparł jego sąsiad popijając wino — a odkąd ta nie-szczęсна rewolucya (konstytucya 3 maja) przez sejm uchwaloną została, odtąd można powiedzieć, że już się skończyło.

— Skończyć nie skończyło się! — odfuknął stary jego-mość z harbajtlem.

— Jeszcze przecież mamy tak potężnych aliantów w Petersburgu, dorzucił jakiś głos nieznaney.

— Toż jedyne szczęście nasze — odparł ktoś z poza plecu kasztelana — że mamy jeszcze ludzi, którzy umieją

poświęcać się za ojczyznę, chociażby ich głupi motłoch zdrajcami nazywał.

— Otóż złote słowa waszmość wyrzekłeś! — zagadnął siwy, surowych rysów szlachcic, dla którego wszyscy współbiesiadnicy byli z nadzwyczajną atencją.

— Mościpanowie! — zawołał po chwili siwy szlachcic — nikt mnie przecież z was nie posądzi, abym przed ojczyzną kiedykolwiek kładł prywatę na pierwszym miejscu.

Wszyscy krzyknęli z oburzenia na samą myśl, gdyż sędziwy starzec, poseł sejmu z ziemi zadnieprskiej, był rzeczywiście nieposzlakowanym patriotą aż do konstytucyi trzeciego maja.

— Mościpanowie — mówił dalej zacny szlachcic, a łzy drzały mu w głosie — doświadczony in rebus publicis mój wzrok powiada nam, że dążymy do niechybnej zagłady! Sami, a nawet z radością znosimy paliwo na stos ofiarny, na którym żywcem spalić się mamy!... Szaleńcy jesteśmy wszyscy, a jeżeli wśród nas jeden rozsądny człowiek się zjawi, to krzyczymy zdrajca! Mościpanowie! Jeżeli Jpan generał artylerji (Potocki Szczęsny) i wielki hetman koronny (Branicki) dzisiaj tem mianem za swoje trzeźwe głowy są ochrzczeni, jeżeli nawet na radzie „straży“ postanowiono, aby im dygnitarstwa ich odebrać... to ja także mimo nieskalanego i sprawie publicznej zawsze sine clausula poświęconego żywota mego ośmdziesiątletniego... również zdrajcą jestem!

Okrzyk powszechnego oburzenia rozległ się wkoło.

— Nikt nie jest godniejszym synem ojczyzny! — wołano zewsząd.

Sędziwemu posłowi ziemi zadnieprskiej kapały duże łyzy na siwe wąsy. Rozkrzyżował chude ręce i jakby w natchnieniu zawołał:

— Widzę zbliżający się nasz upadek, ale upadek nie z woli sąsiadów naszych, lecz z własnej naszej przewiny. Myśmy bowiem sami zbrodniczą ręką przyłożyli topór do tysiącletniej budowy, której bezkarnie tknąć się nie można! Budowa tysiącletnia, to świątynia, którą sam czas poświęcił i utrwalił, a kto się na nią targa, ten jest złoczyńcą!

...A takim zamachem zbrodniczym na nasze świętości domowe jest — konstytucya trzeciego maja!..

...Mościpanowie! Dostyc było widzieć w owym die i rae... widzieć Suchorzewskiego, gdy jak drugi Abraham chciał własnego syna zabić na ofiarę oszalałej ojczyzny, aby gniew wielkiego Boga przebłagać... a każdy poczuł sercem, że się źle dzieje w ojczyźnie!..

...Naród, mościpanowie, ma tak jak każda budowa swoje podwaliny i kamień węgielny. Tych podwalin i tego kamienia ruszać nie wolno!.. Tymczasem konstytucya trzeciego maja ruszyła te rzeczy pryncypalne, i ztąd to chwianie się dzisiaj całej budowy. I jakież koniec temu? Albo budowa runie, albo wróci napowrót do przyrodzonego punktu ciężkości. Ludzie dzisiejszych rządów wraz z królem pracują nad tem, aby tę budowę zwalić, chociażby sami, jak ongi Samson, mieli się w jej gruzach pogrzebać!.. Inni zaś ludzie, a za takich mam Jpana generała artyleryi i wielkiego hetmana, podejmują niewdzięczną robotę, aby budowę Rzeczypospolitej napowrót na węgielny kamień nasunąć, zkad ją zwichnęła oplakana rewolucya. Czyż nie czujecie w powietrzu owych krwi chciwych Jakobinów,

którzy we Francyi w tej chwili nad królem się zdziwiają? Czyż nie dosyć tej krwawej zmayı, aby nam sąsiad, któremu także o siebie chodzi, podał pomocną rękę, iżbyśmy z tej grożącej przepaści napowrót na równy grunt wyleźli?.. Czyż to jest zdradą przyjąć, te rękę pomocną?..

...Mościpanowie! Jesteśmy jak małoletnie chłopięta, którym ktoś powiedział z żartu, że wilk idzie, a te nuż w krzyk: Wilk! Wilk!

W tej chwili otworzyły się podwoje, ambasador Bułhaków wszedł odmierzoną, pewnym krokiem do sali.

Wszyscy powstali na widok tak znakomitego gościa, jakim był pełnomocnik wielkiej Carycy północy.

Bułhaków lekkim skinieniem głowy powitał zgromadzenie, które go z honorami królewskimi przyjęło, podał rękę gospodarzowi, który ku niemu wybiegł, a wytłumaczywszy swoje spóźnienie chorobą niestrawności, która mu i tak udziału w uczcie brać nie pozwalała — szparkim krokiem zbliżył się do okna i czas niejaki z uwagą na ulicę patrzył.

Powoli zbliżył się do niego szambelan-starosta.

— A moi starosto! — ozwał się Bułhaków — vous etes le bien venu!.. Czy nie znasz tego młodego człowieka z czarnym zarostem, który tam przy żelaznej baryerze stoi i na dziedziniec pałacu patrzy?

Starosta patrzył czas niejaki w wskazanym kierunku.

— Jeżeli się nie mylę... ozwał się zamyślony — jeżeli dobrze widzę, to figura ta nie jest mi obcą... tak znam gdzieś tego człowieka... prawda... to ten sam, który wczoraj podsłuchał mnie, gdym się o mieszkanie Jpana ambasadora pytał, a nawet ofiarował się sam poprowadzić mnie... tak to on!

— Czy wiesz starosta, kto jest ten człowiek?

— Moja żona zna go lepiej odemnie! — odparł z do-  
wcipnym uśmiechem szambelan.

W tej chwili ktoś zagadał do ambasadora, a szam-  
belan-starosta wykręcił się do najbliższego swego sąsiada.

## XVII.

Owym młodym człowiekiem, który uwagę ambasadora zwrócił na siebie, był znajomy nasz malarz Rafał. Zdaje się, że prosta ciekawość sprowadziła go pod bramę pałacu, w którym odbywała się wspaniała uczta. A może uderzyło go, że ambasador Bułhaków, który od dni kilku był niewidzialny, odważył się w przededniu obchodu 3. maja zajechać do pałacu w otwartej karecie...

Rafał stał czas niejakiś i patrzył pomiędzy żelazne sztaby w głąb dziedzińca, gdzie roilo się od służby rozmaitego rodzaju. Po chwili zwrócił się i z głową ku ziemi spuszczoną, jakby mu coś nagle w niej zaciężyło, skierował kroki ku Zygmunтови.

Przeszedłszy kilka ulic zatrzymał się przed skromną bramą nowego budynku.

Odźwierny przystąpił do bramy.

— Mam interes do Wpana Sołtyka, posła krakowskiego — rzekł do odźwiernego Rafał.

Odźwierny bez namysłu otworzył bramę i wprowadził malarza w dolny kurytarz budynku, wskazując drzwi na prawo.

Rafał wszedł do drzwi wskazanych.

W obszernej komnacie, przyćmionej nieco cieniem drzew, które pod oknami rosły, nie zastał Rafał nikogo.

Rozrzucone jednak na stole papiery okazywały, że gospodarz jest gdzieś niedaleko.

I w samej rzeczy z bocznych drzwi, przez które słychać było śpiewy nabożne, wyszedł w tej chwili okazały mężczyzna z nosem krogulczym, w sile wieku będący.

Poseł krakowski miał na sobie prosty żupan przepasany pasem jedwabnym, za którym lewą rękę trzymał. Prawą wyciągnął do gościa:

— Jakże się waść miewasz, mości panie Rafale! — zagadnął z dobrotliwym uśmiechem. — A cóż tam Stare miasto porabia?

Rafał z uszanowaniem skłonił się przed szanownym posłem, którego sama postawa okazywała człowieka zacnego i poczciwego.

Poseł krakowski należał do niewielkiej liczby ludzi owego czasu, którzy nietylko Polskę całą duszą i całym sercem kochali, ale również wiedzieli, czego tej Polsce przedewszystkiem potrzeba.

Przedewszystkiem cechowała go nieufność, z jaką wcale nie taił się wobec ambasadorów ościennych mocarstw, przynoszących w ustach miodowe słówka dla Rzeczypospolitej. Osobliwie otwartym nieprzyjacielem był wszelkiego sojuszu z Moskwą, uważając w tem zgubę kraju. Adwersarze jego tłumaczyli sobie tę nieprzyjaźń, graniczącą z fanatyzmem, wspomnieniami smutnych losów X. biskupa krakowskiego, stryja jego, który w gwałtowny sposób przez Moskali został porwany i z kraju wywieziony.

Jakkolwiek wspomnienie tego gwałtu mogło na posła krakowskiego o tyle wpłynąć, że na gospodarstwo pełnomocników Moskwy w Polsce baczniejsze miał oko, ode-

zwania się jednak jego sejmowe, jako też i cały czynny, patryotyczny żywot okazywały dostatecznie, że przyjaciel Ignacego Potockiego nie tylko uczuciem instynktowem, ale rozumem i wyobrażeniami swemi stał na wysokości ówczesnej sytuacji kraju.

To też cały dóm jego oddychał tą czystą, prawdziwie polską atmosferą, jakiej gdzie indziej trudno było znaleźć. A to wobec młodszych żywiołów, które po konstytucji trzeciego maja w organizm kraju wchodzić zaczęły, nadawało mu stanowisko wybitniejsze i tworzyło niejako ogniwo, wiążące siły nowe do dawnych.

— Stare miasto — rzekł do Sołtyka przybyły malarz — jest jak stare wytrawne wino. Jest w nim dosyć ognia, ale jest i statek. Nie burzy się jak cienkosz, który kwaśniej!

— Bardzo się z tego cieszę — odparł poseł — bo nieprzyjaciele nasi ustawicznie straszają nas kapotą i falendyszem, mówiąc, że to będą kaci i oprawcy Rzeczypospolitej.

Malarz roześmiał się cierpko.

— Jeżeli już koniecznie gdzie niebezpieczeństwa doparzeć trzeba — rzekł po chwili — to jużci w żadnej izdebce mieszczańskiej, ale prędzej w pałacach z herbami na bramach i między ich herbową klientelą, której dosyć do życia czapki i papki!

— Masz Wpan słuszność, tego najbardziej się obawiam!

— Chociaż i tam nie widzę należytej do czegoś złego energii, ale obawiam się, aby ktoś inny nie użył ich malkontency...

— Nie sędzę, abyśmy tak nisko upaść mogli!.. Wiem, że wiele jest malkontentów, wiem, że nawet ci malkontenci



gotowi są wejść w sojusz z naszymi wrogami, ale nigdy nie przypuszczę, co po mieście rozsiano, aby jeden z naszych mógł wrogom na chwilę pożyczyć swojej ręki zbrodniczej...

— Rozstawieni nasi ludzie nie wpadli na żaden ślad zamierzonej zbrodni. Były wprawdzie po szynkach i gospodach różne opinie, a nawet i groźby na dzień jutrzejszy, ale te nie miały żadnego donośniejszego znaczenia. To tylko pewna, że malkontenci i adherenci generała artylerji i wielkiego hetmana sprowadzili na dzień jutrzejszy bardzo wiele szlachty zagonowej, i trzymają ją w ukryciu w razie jakiegokolwiek potrzeby. Zrobiły to raczej pogłoski obiegujące po mieście, niżeli aby w tem miał być jakiś plan ukryty.

— Czy te pogłoski, o których Wpan mówisz, tyczą się osoby królewskiej, czy w ogóle demonstracyi przeciw konstytucyi?

— Niestety, pogłoski tyczą się osoby królewskiej, jako głównego impedymentu do unieważnienia tejże konstytucyi...

Poseł krakowski z widocznem wzruszeniem postąpił kilka kroków po komnacie. Podkreślił wąsy i odparł:

— Wszystko to albo wymysły próżnych głów, albo naumyślnie rozsiewane, aby króla i jemu wiernych intymidować!

— W każdym razie jednak ostrożność jak największa nie zawadzi. My zrobimy z naszej strony, co będzie można. Śmierć króla byłaby smutnem hasłem dla wszystkich nieprzyjaciół kraju, swoich i nie swoich!

— Nie, nie, takiej myśli nawet przypuszczać nie

można — podjął szybko poseł — byłoby to dla nas testimonium w obec całej Europy, że w Polsce można za pieniądze najać zbrodniarza...

— Ja tylko ręczę, że ten zbrodniarz nie ukrywa się ani pod kapotą ani pod falendyszem mieszkańców Starego miasta.

— Dziękuję Wpanu za te słowa — rzekł żywo do malarza poseł podając mu rękę — czuwajcie wraz z nami nad ojczyzną, ne res publica aliquid detrimenti capiat!

Malarz uściśnął podaną rękę i wybiegł na ulicę, aby wziąć się do malowania transparentu, do którego obiecała mu pozować piękna Julita.

## XVIII.

Zaledwie malarz komnatę posła krakowskiego opuścił, zaturkotała przed bramą oszklona karetą, a po krótkiej chwili weszli do posła nowi goście.

Jeden z nich był mężczyzna wyniosłej postawy z orlim nosem i głową w górę podniesioną. Miał na sobie strój francuzki, a w rękę trzymał zwitek jakichś papierów.

Towarzysz jego był niepokąźny, zawędły człowieczek z twarzą cery oliwkowej, trochę przygarbiony, w ubiorze napół duchownym napół świeckim. Rysy twarzy miał ostre, a szybko biegające oko oznaczało umysł nader ruchliwy.

Pierwszy z nich był Ignacy Potocki, pierwszy minister Rzeczypospolitej, a drugi ks. Piatoli, ulubiony doradca króla i przyjaciel Potockiego.

Sołtyk pospieszył z radością ku nim i serdecznie ich uściskał. Przyjaźnią i zapatrywaniem się na politykę kraju był on im najbliższym.

— Pozwól szanowny pośle — ozwał się Ignacy Potocki — że u twoich penatów trochę wolniej odetchniemy, niż to można było w urzędowej atmosferze zamku. Przybędzie tu wkrótce podkanclerzy ks. b. Kołłątaj. Mamy i z tobą naradzić się w ważnej sprawie. Wobec króla nie mogliśmy o wszystkim mówić...

Sołtyk podziękował przyjaciółom za zaufanie, którego nie czuł się godnym, otworzył drzwi do osobnego gabinetu, i prosił ich dawnym obyczajem, aby czempędzej usiedli, bo inaczej dzieci dobrze sypiać nie będą.

Za kilka chwil przybył trzeci gość. Była to okazała duchowna figura, ze złotym łańcuchem na szyi, twarzy szerokiej, obrzękłej. Na wierzch wystające oczy toczyły się z pewnym niepokojem w koło, jakby ustawicznie były na czatach i ustawicznie wszystko podejrzywały. Wydęte grube usta oznaczały dumę i pewny, nieugięty charakter.

Był to ks. biskup Kołłątaj, podkanclerzy.

Kiedy już wszyscy miejsca zajęli, ozwał się Ignacy Potocki:

— Bóg mi świadkiem, że w sprawie publicznej nie chromałem nigdy, tylko prosto szedłem do celu. A dzisiaj przyznam się, że mnie zaczyna trwoga zbierać.

— Trzeba w samej rzeczy dobrze rozważyć wszystkie ewentualności — wtrącił Piatoli i zacisnął zęby.

— Jeżeli Hektor i Achil tak mówią, jakież słowa pozostaną dla tych, co w tylnych szeregach?—podjął z uśmiechem Sołtyk i spojrzął może przypadkowo na ks. biskupa.

Kołłątaj wydał szerokie usta, przymrużył oczy i odparł:

— Ci, co są na tyłach, mości pośle, mogą stać się pierwszymi i daleko więcej dokazać, niżeli okazali obaj głośniejszy sławy wodzowie pod Troją.

— Ależ *illustrissime* — przerwał z dobrotliwym uśmiechem poseł krakowski — niepotrzebnie bierzesz to za przytyk; nie mówię do Ciebie, ale do tych, których godnym patronem zawsze jesteś. Mówiąc o tylnych szeregach myślałem także i o sobie...

— Prawdę powiedziawszy — rzekł Potocki biorąc Kołłątaja za ramię — my wszyscy, jak tu siedzimy, należymy do tylnych szeregów, które ktoś popycha, a nie wiemy, co za ręka! Jesteśmy podobni do nawy wśród burzy, którą majtkowie kierują do brzegu, podczas gdy fala gdzieindziej ją popycha!

Piatoli otworzył zaciśnięte usta, uśmiechnął się i rzekł:

— Nigdy nie wierzyłem, aby człowiek był tylko narzędziem jakichś sił fatalnych. Każdy ruch w naturze i społeczeństwie jest tylko skutkiem silnej woli i niezmiennego prawa. Sądzę, że i dzisiejszą burzę, która nam się nad głowami zbiera, będziemy mogli zażegnać silną wolą i wytrwałością w rozpoczętej pracy...

— Wszyscy się w tem zgadzamy — rzekł Potocki — a jeżeli się jakieś słowo powiedziało, to może dla rozweselenia humorów naszych, które dzisiaj wskazują mróz i wichur, mimo wszelkich nadziei majowych...

Po tych słowach nastąpiła chwila milczenia. Podejrzliwy podkanclerzy uspokoił się i szerokie usta swoje ułożył znowu, jak mógł najpoważniej; Piatoli zacisnął zaś je jak najszczelniej, tak że tylko mała szparka z nich pozostała. Było to u niego oznaką, że zajmują go nader ważne myśli. Na twarzy Potockiego malowała się śmiałość i odwaga mimo kilku zmarszczków na pięknym, wyniosłym czole. Poseł krakowski jak zawsze tak i teraz miał w oczach wyraz dobroduszości, zmieszany dziwnie z jakąś nieugiętością Katona.

Po długiej chwili milczenia wziął słowo Ignacy Potocki:

— Nie chciałem dłużej króla trapić horoskopem dnia jutrzejszego, i dlatego wziąłem te resztki papierów z teki podkanclerza Chreptowicza z sobą, aby je w domu przejrzeć i tylko ogólną relacją królowi z nich zdać. I tak naczytał się już dosyć listów imiennych i bezimiennych, które go proszą lub mu grożą, aby dzień jutrzejszy nie był ostatnim dniem jego życia.

— I jakże król te wszystkie pogróżki przyjmuje? — zapytał z chmurą na czole Sołtyk.

— Grunt królewskiego serca i umysłu jest bardzo dobry i szlachetny — odparł Piatoli — obawiam się tylko, czy noc długa, wolna od zatrudnień dziennych, nie nabawi go jakiego strachu.

— Król — mówił Potocki — okazał się nawet dzisiaj więcej niżeli dobrym i szlachetnym, mogę powiedzieć wielkim! Po odczytaniu kilka doniesień i pism urzędowych nawet rzekł bez namysłu: Jeżeli dobro ojczyzny mojej żąda ofiary życia mego, to chętnie złożę je w ręce Boga Wszechmogącego!

— Słowa wzniosłe, godne króla! — wykrzyknął Sołtyk.

— Dla czegoż nie powiesz waszmość: narodu! — odparł gniewnie Kołłataj. — Ludzie stojący przy sterze narodu o tyle są wielkimi, o ile siłę wielkości swojej czerpią z masy narodu, gdzie są korzenie wszelkich cnót i zbrodni. Gdyby naród cały nie miał dzisiaj gotowości do ofiar najwyższych, to i ci, co nim rządzą, nie mogliby tak przemawiać. Jeżeli król tak mówi, to dowodzi, że naród dzisiaj jest wielki i żądny czynów godnych Rzymian i Greków, ale mówię: naród cały, bez żadnej dywizji na lepszych i gorszych, na powołanych i niepowołanych...

— Waszmość, księże biskupie — odparł z uśmiechem Potocki — wiesz najlepiej, jak tam puls bije w dolnych arteriach narodu... Daj Boże, aby tak bił, jak na tych blaszkach napisano: *Piasto more...*

Była to aluzya do tajnego związku skrajniejszych patryotów, którzy na wzór francuzki rekrutowali w celach swoich adeptów z niższych warst społeczeństwa.

Biskup uśmiechnął się na tę aluzyę, a ponieważ z pierwszym ministrem Rzeczypospolitej zgadzał się mniej więcej w swoich opiniach politycznych, przeto słowa jego wziął raczej za żart, niżeli za przytyk.

— Ja takich blaszek z niepoprawną łaciną nikomu nie rozdawałem — rzekł z uśmiechem — a ręczę za to, że ludzie, którzy o te blaszki się ubiegają, lepsze mają serca od łaciny, jaką na tych blaszkach jest napisano.

— I ja także tak sędzę — dorzucił poseł krakowski.

— A ja nigdy o tem nie wątpiłem! — zauważał Piatoli.

— Najmocniej protestuję przeciw interpretacyi słów moich żartobliwych — rzekł Potocki — i nawet mam to mocne przekonanie, że nikt inaczej naszego ruchu u dołu w narodzie nie pojmuje. Wprawdzie znaleźli się ludzie, którzy nie tylko ten ruch, ale nawet naszą konstytucyę trzeciego maja za owoc rewolucyi podają, i przed całą Europą o tem trąbią!

— Że wewnątrzni i zewnątrzni nieprzyjaciele nasi tak rozgadują — ozwał się Piatoli — to rzecz jest stwierdzona. Przed tygodniem nawet musiał król własną ręką pisać do Bukatego, aby królowi angielskiemu wytłumaczył, że konstytucya nasza nie jest rewolucyą francuzką. Jeżeli pozwolicie, mam notatkę z tego listu, na który sam wpływałem, to ją odczytam dla wiadomości posła krakowskiego.

Gdy się wszyscy na to zgodzili, wyjął Piatoli małą kartkę z pugilaresu i zaczął powoli czytać, bo list królewski był szyfrowany:

...Warszawa, 25. kwietnia 1792. Niepojętą jest dla mnie rzeczą, jak król angielski, człowiek tak światły i mnie osobiście sprzyjający, równie jak wielu innych ludzi za granicą w różnych krajach mogą komparować naszą rewolucją do francuzkiej mimo tak wielkie między niemi różności i przeciwności. Wiem to, że przeciwnicy nasi a może nawet i chełpliwi emisaryusze propagandy jakobińskiej studio rozsiewają po wszystkich krajach, że my zupełnie wchodzimy w ducha demokracji francuzkiej. Możesz i powinienes Wpan w każdej okazji zbijać najmocniej ten wierutny fałsz, który niczem lepiej dowodzonym być nie może nad to: że gdy przeszłego lata we czterech miejscach Litwy i Korony pokazały się cztery iskierki między chłopami, już nie chcącymi ani podatków opłacać ani powinności odbywać, jam to przydusił uniwersałami i brachio militari. I w tych kilku ostatnich dniach tu w Warszawie rozprószyłem nowo formujący się cech liberyi warszawskiej. Cele, które zapowiadali przewodzcy tej imprezy, były bardziej pochwały niż nagany warte; ale że przewidywałem, iż mogłaby intryga demokratyczna tam się wkraść, rozprószyłem i ten cech...

— Wiedziałem o tem piśmie królewskiem — rzekł po chwili Potocki — i cieszę się z tego, żeś waszmość indukował króla do tego. Dziwna rzecz, jak daleko sięgają złe zamiary naszych nieprzyjaciół! Przecież konstytucja nasza nie tylko nie ma nic wspólnego z tem, co się dzisiaj we Francyi dzieje, ale przeciwnie uprzedza ona wszelką



możliwą rewolucją u nas. Jestem tego zdania, że gdyby nie było konstytucyi trzeciego maja, toby była prędzej czy później rewolucya.

— Nie potrzebuję tutaj nadmieniać — ozwał się Piatoli — że zupełnie z tem się zgadzam, co IMpan marszałek powiedział. Moje intencye sięgają jeszcze dalej. Aby wszelkim przyszłym rewolucyom i zgubnym rozdziałom narodu zapobiedz, trzeba wszystkim jego częściom dać jedne i te same prawa. Rzeczpospolita nie powinna być dla jednych matką a dla drugich dzieci macochą. Inaczej nastąpi zwada między dziećmi, i to wtedy, gdy wobec nieprzyjaciela jak największej zgody w domu nam potrzeba! Właśnie mam pod ręką sprawę żydów i spodziewam się, że w krótkce ją załatwię z dobrem Rzeczypospolitej.

— Wysoko cenimy cnoty obywatelskie i rozum waszmości, a to tem bardziej, żeś sobie sam wybrał za ojczyznę naszą Rzeczypospolitą! — odrzekł Sołtyk.

— Wracając do nieprzyjaźnych nam opinii w kraju i za granicą—wziął słowo Kołłataj—winuję tutaj więcej własnych naszych ziomków niżeli obcych nieprzyjaciół. Kto siedzi w Petersburgu i przeciw Rzeczypospolitej spiskuje? Czy generał artyleryi i wielki hetman korony z Suchorzewskim cum quibusdam aliis mogą położyć rękę na piersi i powiedzieć, że są niewinni?.. Czyż to w Petersburgu jest nasz trybunał, aby tam skargi na kraj i sejm zanosić?... Powiem jeszcze więcej! Ani IMpan Szczęsny, ani Branicki nie byłiby tam poszli, gdyby w kraju nie mieli licznej klienteli, która tylko pierwszego hasła wyczekuje! A naszym nieszczęściem jest, że ta złowroga klientela składa się z najmoźniejszych rodzin naszych,

emolumenta wzięte od Rzeczypospolitej wypłacają się jej teraz czarną zdradą...

— Waszmość, *illustrissime* — przerwał biskupowi Sołtyk — patrzysz zawsze czarno na swoich.

Twarz Kołłątaja ożywiła się. Powstał z krzesła, a wzięwszy Sołtyka za ramię zawołał:

— Daj mi waszmość połowę takich senatorów, jak poseł krakowski, a Europa czapkę zdejmie przed Polską!.. Ale niestety tak nie jest! Złe jest u nas wkorzenione od wieków, dlatego choroba z takim uporem idzie. Prywatę położyliśmy na pierwszym miejscu; urzędy nasze i dygnitarstwa, to dzierzawy dziedziczne niektórych rodów. Rozum, nauka i praca, to do niczego! Ztąd głupota i niedołęztwo u góry. Pogardza się tym, który się z mitry nie rodzi, chociażby był orator jak Cicero, a mądry jak Salomon! Takie opinie muszą roztoczyć naród, jak plugawe robactwo roztacza najzdrowsze drzewa, gdy się raz pod korę dostanie...

Potocki spojrział na Sołtyka, uśmiechnął się i odrzekł:

— Impan podkanclerzy ma dzisiaj wenę misyonarza, i nie baczy na to, że między nami nie ma niewiernych.

— Prawda, jesteście mniej więcej wyznawcami jednej i tej samej wiary—spokojniej mówił dalej biskup—ale serce mnie boli zawsze, ilekroć o tem pomyślę, że tyle jeszcze rdzy i śmiecia między nami!.. Powiedźcie sami, czem jest u nas powaga sejmu i króla, czem są nasze ustawy uchwalone w obec takich Baszów Tulczyńskich, którzy za czapkę i papkę mają tysiące szabel szlacheckich i z wszystkiego sobie dworują? A gdy im co na nos siedzie, to nuż do Petersburga, Wiednia lub Berlina, i tam znowę czynią na matkę rodzoną, jaką jest Rzeczpospolita!... Nie

mogą oni tego pojąć jeszcze, że chłopu już bezkarnie zabić nie można, że mieszczanin tak samo może kochać ojczyznę jak i szlachcic urodzony, że sejmików w interesie familii ani konfederacyi ogłaszać nie można... Oni jeszcze nie wiedzą, że ojczyznę można kochać bez intratnych starostw i drogich dygnitarstw, bo u nich ojczyzna to ich brzuch, ich duma, pycha i rozwiązłość! Prócz tego nie masz ojczyzny, nie masz Rzeczypospolitej...

— Smutne, bardzo smutne rzeczy, ale prawda! — zauważał Piatoli.

— Otóż to jest źródło naszego nieszczęścia — mówił zapalając się Kołłątaj — tu są właściwie owe spiski, o których wszyscy z trwogą mówią; tu ostrzą się sztylety nie tylko na króla, ale i na święte ciało Rzeczypospolitej; ztąd płyną owe instygacye do mającej się niby spełnić jutro zbrodni, bo interregnum dla takich ludzi, to spuść stawu, gdzie same rybki do ręki przychodzą.

Korzystając z ostatnich słów księdza biskupa zaczął Potocki, ale Kołłątaj wzięwszy go za rękę nie dał mu mówić, tylko sam dalej ciągnął z coraz większym zapalem:

— Ludzie ci stanowią starą, spróchniałą budowę, na której chcemy nowy dom wystawić. Nie radzi nowemu domowi, usuwają się z pod niego i sprawiają trzask i łomot, z którego wnosi Europa, że nasz nowy dom się wali! Ale myśmy sami winni. Nie trzeba było budować na starzyźnie, ale na nowym, świeżym gruncie, a jestem tego zdania, że mamy grunt dobry.

Kołłątaj chciał jeszcze dalej mówić, aby niejako uczynić folgę swemu sercu, które go bolało, ale Potocki

rozwinął właśnie kilka listów, które był z sobą przyniósł i zaczął w nich czytać.

— Więc to są te listy, które grożą królowi śmiercią na jutro? — zapytał Sołtyk, chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot.

— Jestto część tylko — odparł Potocki smutno — inne zostały u króla i u Chreptowicza.

— Dziwna rzecz — odparł Piatoli — że listy te pochodzą z różnych stron kraju, nawet i z zagranicy. Imienne są od osób bardzo życzliwych królowi. Te największą impresją sprawiają na nim. Chociaż nie chce tego dać poznać, ale widziałem, że przy listach pani Lubomirskiej zbladł i oddech wstrzymał.

— I czegoż właściwie chcą te listy od króla?—zapytał Sołtyk.

— Listy te — odparł Potocki — żądają od króla, aby jutro nie brał udziału w obchodzie konstytucji trzeciego maja, gdyż ma być podczas uroczystości zamordowany.

Słowa te, wypowiedziane krótko bez żadnych ogródek, sprawiły na słuchających silne wrażenie. Głuche milczenie panowało czas niejaki. Potocki patrzył bezmyślnem okiem w rozwinięte listy. Piatoli zacisnął usta i najeżył brwi, twarz Sołtyka wyrażała boleść wielką, a Kollataj suwał ręką po czole, jakby chciał jakieś smutne myśli od siebie odpędzić...

Pierwszy przemówił Piatoli, rzuciwszy się niecierpliwie na krzesło, jakby go coś ukąsiło:

— Nie, nie, to w żaden sposób być nie może. Król musi być na obchodzie, musi z jak największą pompą wystąpić, aby wszystkim nieprzyjaciołom tak w kraju jako też i zagranicą, dać dowód niezbity, że z konstytucją

trzyma, że konstytucya trzeciego maja jest zbawiennem dziełem dla Rzeczypospolitej!.. Król musi być na obchodzie, musi być na swoim stanowisku, gdyby nawet...

— Nie kończ waszmość — przerwał mówiącemu Sołtyk — bo na samę myśl krów mi się ścina.

— I ja jestem tego zdania — ozwał się Potocki — że król musi być obecnym na obchodzie. Inaczej powiedziano by, że zerwał z konstytucją, a ks. Prymas, który i tak jest nam nieżyczliwy, wzięłby ztąd asumpt, aby się również absentować. A tego tylko potrzeba wrogom Rzeczypospolitej. Rozkrzyczanoby to po całym kraju i za granicą, coby nam niesłychanie wiele nieszczęść przysporzyło! I kto wie, czy wtedy ci, co dzisiaj knują spisek w Petersburgu, nie przyszliby do Warszawy jako tryumfatory...

— Nie, nie, król nie mógłby w tak pamiętnym dniu demonstrować przeciw konstytucyi! — zauważał Sołtyk.

— Wolałbym — odezwał się Kołłątaj — aby zwłoki króla przy obchodzie jutrzejszego dnia niesiono, niżeli żeby miał sam dobrowolnie uchylić się od uroczystości!

Znowu głębokie milczenie zapanowało przez czas niejaki. Kołłątaj wyrzekł te słowa z taką przejmującą boleścią, że wszyscy uczyli ją żywo w duszy swojej.

A dzień drugiego maja miał się już właśnie ku schyłkowi. Krwawe promienie słońca przebiły szyby okien i szerokim słupem padły na podłogę komnaty. Potocki i Sołtyk mimowolnie wzdrygnęli się, obaj zaś duchowni zdawali się nie widzieć tej dziwnej gry światła i kolorów. Piatoli patrzył przed siebie wzrokiem natężonym, jakby czegoś chciał dojrzeć, a Kołłątaj poruszał sfałdowanem czołem, jakby tam coś go niepokoiło i trapiło.

Po długiej chwili milczenia odezwał się Sołtyk:

— Jeżeli rzeczywiście jest jakie niebezpieczeństwo zagrażające życiu króla, to pochodzi ono niezawodnie... od Moskwy!

Machnął na to ręką Kollataj i odparł:

— Bardzo to dobrze ze strony waszmości, że pamiętasz gwałt popełniony na stryju przez Moskwę. Ale w polityce żadnych wspomnień nie powinno być... Nie od Moskwy zagraża niebezpieczeństwo królowi, ale od naszych, powtarzam jeszcze raz, od naszych — bo nasi są dla Rzeczypospolitej największymi wrogami! Ambicya, pycha, chciwość, to są sprężyny wszelkiej zbrodni!...

— *Utinam sis falsus vates, illustrissime!* — przerwał Piatoli z żywością. — Znam ja najslabsze strony wasze, ale nigdybym nie sądził, aby mogła się znaleźć ręka polska, któraby targnęła się na króla...

Sołtyk ze łzami w oczach uściśnął dłoń Włocha, który lepiej kochał Polskę niżeli potomek hetmanów; a Potocki z chmurzonym czołem milczał, jakby innemi myślami był zajęty.

— Ale ja innej rzeczy obawiam się — ozwał się po niejakię chwili Potocki — to jest, że tutaj tak samo poseł krakowski jako też i IMpan podkanclerzy mogą mieć słuszność za sobą. Ażeby w naszym własnym obozie podobna zbrodnia dojrzeć mogła, temu wprost nie wierzę. Ale być może, że ktoś z obcych, komu na tem najwięcej zależy, może korzystać z naszych niesnasków wewnętrznych i jakiemu szalonemu człowiekowi podsunąć broń... mimo wiedzy jego, że mu ktoś ją podsuwa... Namiętności, ślepotą, zatwardziałość w wiekowych błędach — wszystko mogą!...

— Są okoliczności — odrzekł Kołłątaj — wśród których trudno orzec, kto więcej zawini: czy ręka? czy broń?

— Zostawmy tę kwestyą na boku — przerwał Potocki — ale przypuśćmy poprostu sam fakt możliwy...

— Nie, nie — to być nie może! — krzyknął z boleścią Sołtyk.

— To przypuśćmy przynajmniej niebezpieczeństwo — poprawił Potocki.

— Dobrze, niebezpieczeństwo jest — rzekł Piatoli — ale jest również konieczność, aby król nie uchylił się od uroczystości. Jest to konieczność polityczna!

— I ja tak sądzę — odparł Potocki.

— Trzeba króla otoczyć wybranym orszakiem — wtrącił Sołtyk.

— Mnie się zdaje — dodał Kołłątaj — że najlepiej jest powierzyć osobę królewską straży z mieszczan złożonej... Ręce za to, że tam wróg ucha nie znajdzie! Każde młode drzewo jest zdrowe, podczas gdy wiekowe dęby mają próchno w środku! Mieszczanie, to młoda latorośl Rzeczypospolitej... latorośl, niestety! Mogłaby już być dębem okazałym, gdyby wcześniej nią się zajęto!

Piatoli, który podczas mowy ks. biskupa głęboko był zamyślony, powstał nagle z krzesła i rzekł do zgromadzonych:

— Przychodzi mi myśl do głowy, która może być dobrą. Oto przekonałem się przy niejednej sposobności, że naród polski jest nader bogobojny. Wszystko to, co się do wiary odnosi, jest mu świętem i nietykalnem. Dla tego radziłbym, aby podczas obchodu jutrzejszego niesiono przed królem Przenajświętszy sakrament!...

— Przenajświętszy sakrament?... — powtórzył Kołłataj, jak gdyby czekał słów dalszych.

— Tak jest, Przenajświętszy sakrament — mówił dalej Piatoli — bo wszyscy wkoło byliby zmuszeni klękać, a tym sposobem odebranoby zbrodniarzowi sposobność zbliżenia się do osoby królewskiej...

Kiedy Piatoli tych słów domawiał, otworzyły się zcicha drzwi boczne, a do komnaty wsunął się mały chłopczyk o złotych włosach, rumiany na twarzy.

— Ojcie! — zawołał do posła krakowskiego — proszę o tego dukata z Matką Boską, com go dał ojcu do schowania.

— Na coż ci tego dukata? — zapytał Sołtyk głośząc syna.

— Dla wojska na Moskali!

— Dla wojska? dla jakiego wojska?

— Dla polskiego wojska, które pójdzie na Moskwę!... Wojciech i Bartłomiej przynieśli już całą czapkę dukatów.

Posel krakowski pomyślał chwilę nad zagadkowemi słowami syna. Przeprosiwszy gości, udał się wraz z synem do dalszych komnat, aby tam czegoś się dowiedzieć.

Jakoś za chwil kilka wyszedł cały rozpromieniony, z twarzą łzami oblaną, i rzekł do gości swoich:

— W burzach morskich jest każda choćby najmniejsza gwiazdka pożądaną żeglarzowi. Jeżeli łaska, pójdźcie ze mną.

Wszyscy trzej, dziwną ciekawością zdjęci, powstali i udali się za gospodarzem, który szedł naprzód.

Przeszli kilka komnat, wreszcie weszli do gabinetu samej pani Sołtykowej.

Była to obszerna komnata z nader prostymi sprzętami. Wpółrodku stał duży stół dębowy. Przy tym stole



na pierwszym miejscu siedziała pani Sołtykowa. Była to matrona poważnych rysów twarzy. Za nią długim szeregiem siedziały dzieci, a za temi cały fraucymer domu. Na stole leżały wysokie stopy płótna. Z płótna tego skubano szarpie.

Gdy gości tym widokiem zadziwieni, gospodynią domu uniżenie powitali, ozwał się Ignacy Potocki:

— Toż cała Rzeczpospolita ma iść do szpitalu, jeżeli tyle szpitalnego materyału tu się sporządza!

— Kobiety, mości marszałku — odpowiedziała pani Sołtykowa — nie są przypuszczone do tajemnic rządowych, ale mają instynkt, którym więcej odgadują, niżeli z raportów wiedzą ministrowie!

Rzekłszy to, uśmiechnęła się boleśnie i podała rączkę Potockiemu.

— Otóż instynkt mój — mówiła dalej pani Sołtykowa — mówi mi, że wkrótce będziemy mieli z Moskwą wojnę. Do tej wojny więc przysposabiam co mogę, a używam do tego czasu, jaki moje rówieśnice poświęcają balom i biesiadom!

— Słowa godne imienia Sołtyków! — zawołał Potocki i sięgnął po drobną rączkę, strudzoną skubaniem szarpi...

Po tę rączkę również cisnęli się i inni goście. Poseł krakowski ocierał łzy z oczu...

Przy drzwiach stało dwóch ze służby posła. Jeden trzymał czapkę przed sobą, w której świeciły się dukaty...

— A teraz mów, Wojciechu — rzekł do niego Sołtyk. Stary sługa skłonił się wysokim gościom, a potem rzekł:

— Oto poprostu tak powiem: Od kilku dni słyszymy, że jasna wielmożna pani z dziećmi i fraucymerem skubie

plótno, które będzie potrzebne na wojnę z Moskalami... Gdyśmy się o tem dowiedzieli, a gdy szatny IMpan Wilga wiele rzeczy w tej mierze nam opowiedział, to rzekliśmy jeden do drugiego: Jasna pani i z dziećmi i z kobietami plótno na wojnę skubie, a cóż my robima? Oto plótna skubać nie umiema, a za to każdy co miał w węzélku, dał tu do tej czapki, aby za to postawić kilku ludzi ubra-nych i opatrzonych przeciw Moskałom, którzy tak okrutnie porwali ś. p. ks. biskupa...

Wszyscy obecni byli do łez rozczuleni. Biskup Kołłataj zbliżył się do mówiącego, podniósł rękę i pobłogował mu mówiąc:

— Ojczyzna silniejszą jest od dzisiaj waszą ofiarą, bo ofiara taka, to — miliony!

A zwróciwszy się do Potockiego mówił dalej:

— Mości marszałku, jeżeli w narodzie prostaczkowie tak mówią i czynią, to hańbą byłoby, gdyby król i rządzący nie poczuli się — wielkimi!

— Sądzę, że jutro... król takim będzie! — rzekł Piatoli.

— Nie wątpię — dorzucił Potocki — byle tylko ta noc nieszczęsna, która nas od jutra oddziela, nie zachwiała jego umysłu!

— Ach ta noc, ta noc! — westchnął Sołtyk.

— Ta noc wiele rozstrzygnąć może! — jakby do siebie wyrzekł Potocki.

W tej chwili wszedł do komnaty Ryx, zaufany króla kamerdyner, którego nawet starostą zrobił, i zawezwał Potockiego natychmiast do zamku.

— Czy zaszło co ważnego? — zapytał szybko Piatoli.

— Podkanclerzy Chreptowicz — mówił zmieszany Ryx —

otrzymał w tej chwili depezę z Wiednia od austriackiego ministra, przy której zbladł i zaraz do króla się udał...

— Pójdźmy, pójdźmy — zawołał Potocki.

Pożegnawszy gospodynią domu, wszyscy czterej ruszyli szybko ku zamkowi.

## XIX.

Nad zamkiem królewskim świeciło dzisiaj od rana pogodne majowe słońce. Z rokosznie oświeconych ścian i gzemów niktby się wcale nie domyślił, jakie burzliwe uczucia miotają tymi, co tam w tych szarych ścianach mieszkają!..

Już pierwsze promienie słońca, które w okna zamkowe od Wisły uderzyły, były dzisiaj tak wyjątkowo ciepłe i rokoszne, jakby znękanym nocnemi marami ludziom chciały wlać w serce nowe siły i zdrowie.

Wraz z pierwszym, drzącym promieniem jutrzeńki przyleciało stado małych ptasząt, a obsiadłszy okna zamkowe i wystające gzemsy długim szeregiem, ćwierkały ochoczo, ożywiając cichy jeszcze obraz wielkiego świata...

Jedno z tych okien otworzyło się dzisiaj wcześniej niżeli kiedyindziej. Człowiek, który je otworzył, patrzył czas niejaki przez to okno na kąpiące się w Wiśle promienie słońca, słuchał świegotania małych wróbli, a po chwili z westchnieniem wpiersi cofnął się napowrót do komnaty.

Komnata ta była z wyszukaną prostotą, lecz nader gustownie urządzona. Szare obicia pokrywały ściany; na pułapie malowane były różne sceny mitologiczne. Pomiędzy oknami stał mały sekretarzyk nader kunsztownie à la rococo z korzeni drzewa orzechowego rzeźbiony. Na

sekretarzyku stała porcelanowa lampa z umbrellką, a rozłożone przed nią papiery i pióra z zaschniętym inkaustem okazywały, że mieszkaniec tej komnaty długo w noc pisaniem był zajęty.

Przy ścianie po prawej stronie stało łóżko, okryte rzeźbą z drzewa mahoniowego. Nad łóżkiem rozpiął się wysoki z czerwonego adamaszku baldachin ze srebrnymi orłami po bokach. Na ścianie, tuż po nad łóżkiem, wisiał okazały obraz olejny, przedstawiający pokutującą Magdalenę. Była to kopia znakomita znanego obrazu Battoniego.

Człowiek, który przed chwilą okno w tej komnacie otworzył, przechadzał się teraz zamyślony.

Mógł on liczyć lat sześćdziesiąt, mimo to trzymał się nadzwyczaj prosto i twarz miał pełną bez żadnych zmarszczków. Cera tylko żółtawa tej twarzy obrzęklej mogła ten wiek okazywać, bo duże, świecące oko miało wszelkie cechy młodości. Przybierało ono najrozmaitsze odcienia światła i koloru stosownie do myśli, które przez głowę przebiegały. Najmniej jednak wyrazu charakterystycznego miały usta. Były one duże i nabrzmiące, a wkoło nich rysowała się słodycz i dobroć, zmieszana z żądzą realniejszych rozrywek życia... Wzrost średni, dobrze rozwinięty okazywał zdrowy organizm ciała. Ręka i noga były nadzwyczaj drobnych rozmiarów, i widać było, że są pielęgnowane z pewną wyróżniającą się starannością.

Ubiór chodzącego po tej komnacie mężczyzny składał się z rannego, jedwabnego szlafroka w duże liliowe pasy na tle szamowem, i z pończoch z białej tkaniny.

Był to król Stanisław August.

Długi czas chodził po sypialnej swojej komnacie,

W oczach i na twarzy malował się jakiś niepokój, jakby noc niespokojnie przespał.

Po chwili, jakby się z zamyślenia ocknął, zatrzymał się przed łóżkiem, a patrząc czas niejaki w czarny z hebanowego drzewa krucyfiks, na którym wisiał Chrystus misternie z kości słoniowej wyrzeźbiony, powoli ugiął kolana i w modlącej postawie przed łóżkiem uklęknął.

Ktoby był wczoraj króla w wesołym towarzystwie widział, gdy z generałową Grabowską i księżną Wirtemberską różne dowcipne żarty stroił, a z Mniszchem o podwójne egzemplarze głowy św. Jana Chrzciciela, z których jeden w Amiens, a drugi gdzieś we Włoszech ma być przechowywany, z widocznym sarkazmem się sprzeczał: ten nigdyby może nie pomyślał, że tenże sam król rano i wieczór modli się na kolanach, a modli się szczerze i serdecznie.

A tak było w istocie. Król Stanisław August odznaczał się przedewszystkiem pewną wyrozumiałością dla tych, z którymi rozmawiał. Wiedząc dobrze, że wiek jego goni za libertynizmem w rzeczach wiary, czynił w rozmowach niejaki koncesye tegoż zasadom; ale gdy w czterech ścianach mógł być samym sobą, wtedy wracał czemprędzej do obowiązków najgorliwszego katolika.

I nie była to wcale komedya, bo jej dla nikogo nigdy nie odgrywał, a sam dla siebie grać jej nie potrzebował. Ale było to poprostu potrzebą religijnego jego uczucia, w jakim wzrósł i wychował się mimo pozorów cudzoziemszczyzny.

Długi czas modlił się Stanisław August przed ukrzyżowanym Chrystusem, a wiszący nad nim wspaniały obraz pięknej pokutnicy dodawał mu może wśród tych

modłów pewnej otuchy, że religia Chrystusa jest religią miłosierdzia i pobłażania za grzechy, pochodzące z własnej natury ludzkości...

Wstawszy od rannej modlitwy, wziął król stojący na kantorku mały, srebrny dzwonek i lekko dwa razy zadzwonił.

Do komnaty wszedł ubrany już starannie Ryx, ulubiony króla kamerdyner. Król chciał się ubierać.

Ubieranie króla zajmowało zwykle dwie godziny małe. I wcale się temu dziwić nie można. Król był lubiony przez wszystkich, co go bliżej otaczali. Miał on nadzwyczajny dar ujmowania sobie ludzi. Wszystkie kobiety w nim się kochały z powodu pewnej wyszukanej grzeczności i rycerskiej kurtoazji, z jaką je traktował. Mężczyźni brali go sobie poprostu za model, a poczynawszy od fryzury aż do pończoch i trzewików we wszystkim jego postawę naśladowali.

Stanisław August wiedział o tem, że dla jednych i drugich ma być niejako modelem. Dla tego z jak największą starannością uzupełniał według ówczesnych wymagań udatną swoją postać, a względ na mniejszej nawet wagi akcesorya miał tak wielki, że w nakreślonym przez siebie własnym konterfekcie ubolewa, iż ma nieco zanadto wystające błędy, co estetycznym jego wyobrażeniom sprzeciwiało się.

Ze wszystkich akcesoryów najwięcej staranności poświęcał włosom, które już teraz sporo siwieć zaczynały. Okrywał je starannie oczesaną peruką à la Pius XIV., i z nadzwyczajną symetrycznością rozdzielał loki wiszące po obu stronach twarzy.

Gdy już w ten sposób głowa była należycie ubrana, wtedy brał zazwyczaj na siebie mundur niebieski z czerwonymi wyłogami. Czasem ubierał się w zielony, ale zaniechał go, gdyż nie było mu w nim do twarzy, jak utrzymywała generałowa Grabowska i inne jego przyjaciółki.

Do wielkiej, dworskiej parady używał munduru białego z pąsowymi wyłogami, ale zdarzało się to nader rzadko.

Cały strój jego był tak staranny, jakby przed zwierciadłem wystudowany. Wszystko było tam w harmonii, każda drobnostka zostawała z całością w pewnej zgodzie i na leżytej harmonii.

Do ubioru tego zastosowane były wszystkie ruchy, gest, modulacja głosu i mimika z taką trafnością, jakiej mógłby królowi pozazdrościć niejeden wykwintny dworzaniek króla Ludwika XIV. Zdaje się, że pod tym względem wiele studyował Stanisław August, skorzystawszy z pobytu za granicą.

I dziwna rzecz, najlepszy Polak sercem i przekonaniem, w pewnych nawet chwilach najpierwszy patriota w kraju, odwołujący się w swoich przemowach i listach często do miłości rzeczy ojczystych — Stanisław August stworzył wkoło siebie atmosferę zupełnie cudzoziemską, zaczawszy od języka konwersacyi, a skończywszy na kuchni.

Jakkolwiek po polsku bardzo poprawnie pisał i wiele urzędowych dokumentów własnoręcznych w tym języku zostawił, używał jednak czasem i innych języków, którymi władał jak ojczystym. Mówił i pisał po francuzku, po włosku, po angielsku i po niemiecku.

A pisał też bardzo wiele. Żaden z królów europej-



skich nie prowadził kancelaryi swojej z taką akuratnością jak Stanisław August. Wszystkie listy do posłów Rzeczypospolitej pisywał najczęściej sam własnoręcznie, jako też i z adherentami swymi porozumiewał się co do spraw publicznych nader długimi pismami. Znaczną część takich listów otrzymał od niego starosta bełzki, następnie wojewodą ruskim mianowany, a później generałem artylerji nazwany Szczęsny Potocki. Stanisław August rad podzielał myśli jego co do oparcia się o Moskwę; ale po zaprzysiężeniu konstytucyi trzeciego maja stosunki te nietylko oziębły się, ale nawet stały się nieprzyjaźne, osobliwie w ostatniej chwili, gdy marszałek litewski Kazimierz Sapieha na posiedzeniu „Straży“ postawił wniosek, aby generałowi artylerji jego zaszczyty i honory odebrać z powodu knowania w Petersburgu.

Jakkolwiek twarz króla miała dzisiaj wyraźne ślady niespokojnie przebytej nocy; jakkolwiek na wspaniałem czole zarysowało się kilka zmarszczków, świadczących, że jakieś nader ważne myśli niepokoją go nawet w tej chwili jeszcze; z niemniejszą jednak starannością przystąpił do ubierania się, i każdą czynność pokojowca i kamerdynera kontrolował z jak największą uwagą.

W tem tylko folgę sobie uczynił, że zamiast opiętego fraka wziął dzisiaj na siebie krótką, niebieską sukmankę z czerwonymi wyłogami, i z taką podszewką wyłożoną po połach.

Ryx zauważał, że król dzisiaj był małomówiący, a nawet przy ubieraniu niecierpliwił się, co mu się nigdy nie zdarzało. Z tego wnosił zaufany sługa królewski, że król będzie dzisiaj w złym humorze, i pospieszył do tych,

którzy już na niego w sprawach prywatnych czekali, aby ich od dzisiejszych solitytacyi powstrzymać.

Gdy Stanisław August sam był w komnacie, nie poszedł, jak zawsze zwykł był czynić, do pobocznego swego gabinetu, w którym przy pracy godzin kilka spędzał, ale został w sypialnej komnacie i zbliżył się do kantorka, na którym widać późno w noc pracował.

Na kantorku leżały stosy różnych papierów. Były tam listy do Wiednia, Londynu i Paryża, były raptularze różnych referatów służbowych, które najczęściej sam odczytywał, a nawet czasem co do stylu niektóre w nich poprawki robił.

Król brał jeden papier po drugim i starannie go przeglądał. Czasami tylko oparł na rękę głowę, i zdawało się, że wtedy oczy jego nie były na papierze, ale gdzieś daleko, przy jakiejś myśli nienader przyjemnej, bo na twarzy malował się smutek.

Od takiego zamyślenia wracał napowrót do czytania, i z przebytej dystrykcyi swojej widocznie był niekontent.

Tak trwało kilka godzin. Potem zjadł w przyległym pokoju małe śniadanie à la pourchette, po którym wszedł do właściwego swego gabinetu, gdzie zwykł był dygnitarzy i gości swoich przyjmować.

Czekał już tam na niego szambelan Trembecki, którego lubił król nietylko dla jego składnych rymów, ale też i dla tego, że poeta-szambelan, znając nawyczki i upodobania Stanisława Augusta, miał zawsze dla niego w zapasie najświeższe nowinki budoarów warszawskich, które umiał dowcipnie chociaż nie bez pewnej złośliwości opowiadać.

— Cóż tam waszmość nowego mi zwiastujesz? — zapytał król szambelana pobieżnie, zdążając odmierzoną krokiem do stolika.

Szambelan zmierzył badawczym okiem kroki króla Stanisława, które mu wcale nie wróżyły dzisiaj wesołej zabawy, i odparł:

— Nowiny, mości królu, są dzisiaj nader dyskretnej natury!

Dworzanin-poeta wymówił te słowa grubym głosem swoim i spuścił przytem oczy, jakby wiedział o jakiejś skandalicznej historii.

Król zatrzymał się w pół drogi do stolika, spojrzął z wyrazem ciekawości na twarzy i ozwał się:

— Nowiny... dyskretnej natury? Jakież to znowu sprawy zakulisowe? Czy może starościna...

— Jużciż dyskretnej natury są moje nowiny — odparł niezdeterminowany szambelan — jeżeli je przynoszę wprost z garderoby czy raczej od gotowalni...

Król rozweselił nieco twarz, bo taka rozmowa wpływała zawsze na jego humor, choćby był zajęty najważniejszymi sprawami. W prywatnej rozmowie nawet z tymi, co mu usługiwali, był on zawsze tak poufały, że zniknęła z przed niego przestrzeń, która zazwyczaj przedziela króla od jego poddanych. Zachował on w tym względzie stosunek patryarchalny, a jeżeli usłyszał jakie światłe zdanie lub dowcip zręczny, wtedy królewską powagę swoją składał przed tym, z którym rozmawiał.

Do takiego stosunku króla z poddanymi przyczyniał się nie mniej jego charakter elekcyjny. Gdyby król polski był członkiem dynastji panującej, to samo wychowanie do

przyszłej roli wlałoby w niego pewną dumę królewską, która zdala trzyma ludzi od siebie.

Stanisław August był jednak królem elekcyjnym. Wczoraj dopiero brat szlachcic, zaledwie stolnik, ściskający się z równymi sobie (a cała szlachta była sobie równa) — nagle wyniesiony na tron, nie mógł tak prędko a nawet nigdy pozbyć się owych nici dawniejszych stosunków swoich, które go do innych wiązały. Zresztą chociaż na króla wybrany, zatrzymał zawsze pewną estymę dla znakomitych rodów i w ogóle dla szlachty, z pośród której nagle, bez żadnych szczebli, wznosił się aż do wysokości tronu.

To więc samo pochodzenie jego czyniło go wcale różnym od innych ukoronowanych mocarzy, którzy zamykają się szczelnie od otaczającego ich świata, aby nic z swego uroku przed poddanymi nie uronić.

Stanisław August przyjmował każdego szlachcica i tak samo rozmawiał z nim, jak i z każdym dygnitarzem, zapominając nawet czasami, że jest królem.

Przy wielkich tylko uroczystościach umiał wybornie pozować na króla, i rzeczywiście każdy artysta sceniczny mógłby mu pozazdrościć tej sztuki!

W prywatnej zaś rozmowie lubił nadzwyczaj słuchać o naukach i sztuce, i zniżał się wtedy od króla aż do skromnego ucznia, który radby się czegoś pożytecznego nauczyć. Wtedy zazwyczaj przestawał być królem...

Również miłośnikiem był łagodnego dowcipu, a kiedy rozmowa skierowała się do kobiet, wtedy również nie było już u niego płaszcza królewskiego.

Gdy więc Trembecki coś o garderobie i gotowalni

w sposób tajemniczy mówić zaczął, król był tego zdania, że pod temi słowami ukrywa szambelan jakąś ciekawą historyjkę z budoarów warszawskich, dla których zawsze było gotowe ucho królewskie.

Z widocznym uśmiechem zadowolenia rzekł do szambelana:

— Czy to tylko nie własny twój koncept do rymów? Garderoba i gotowalnia, to brzmi jak na wstęp dosyć ciekawie.

— Ciekawie i prawdziwie, mości królu! — odparł z uroczystym wyrazem na twarzy poeta-szambelan.

— Coż tam widziałeś przy gotowalni?

— Idę prosto z miasta, gdzie widziałem właśnie przy gotowalni — Warszawę!

— Coż waszmość chcesz przez to powiedzieć? — nieco zdziwiony zapytał król.

— Jużciż przy gotowalni widziałem Warszawę, która ubiera się właśnie na jutrzejszy festyn.

Król rozśmiał się z dowcipu szambelana i zapytał:

— I jakże wygląda przy gotowalni ta... syrena.

Stanisław August chciał w dowcipie iść o lepsze z swoim szambelanem, dla tego zamiast Warszawy użył jej herbu.

— Syrena ta — odparł Trembecki — nie wygląda dzisiaj na to, aby kogoś w swoich śmiertelnych uściskach utopić chciała!...

Król nagle zmarszczył czoło.

— Czy waszmość słyszałeś co w mieście? — zapytał skwapliwie.

— Nietylko słyszałem ale widziałem na własne oczy — odparł spokojnie szambelan — że syrena nasza nie jest tak

wcale zimną i złowrogą, jak ją poeci przedstawiają, ale pełna ognia i gorąca, aby ukochanego króla swego do serca przycisnąć!

Stanisław August westchnął lekko i zadumał się.

— Wiem, że mnie ludzie kochają — rzekł po chwili niby do własnych myśli swoich — wiem, że mnie kochają, bo usilnie o to staram się; ale wiem także... że mam nieprzyjaciół!

— Mości królu, ja gdybym nie miał żadnego nieprzyjaciela, to byłbym człowiekiem najniezszczęśliwszym!...

— Sylogizm, sylogizm, mój przyjacielu!... I cóż tam więcej na mieście widziałeś?

— Całe miasto przystraja się w szaty świąteczne; każde okno coś mówi, im wyżej, tem więcej i serdeczniej mówi, za to niektóre balkony pierwszopiętrowe pałaców milczą ponuro...

— Widzisz, widzisz, mój bracie, czy to nie boli taka nieprzyjaźń?

— Stat numerus pro qualitudine! Za to u mieszczan i u szlachty zapał niewypowiedziany.

— Zapał mówisz? Cieszą się z jutrzejszego obchodu?.. — z widoczną radością zapytał król i wyprostował się z pewną dumą, jakby pozował malarzowi do konterfektu.

— To trzeba samemu widzieć i słyszeć, bo słowa tego nie oddadzą. Ludzie nieznanu całują się na ulicy i ścisną; widziałem starców płaczących... słyszałem nawet proroków, którzy z natchnionem okiem czytali w przyszłości szczęśliwe losy ojczyzny!...

Twarz króla ożywiła się szlachetnem wzruszeniem.

— I cóż podają za powód tej wielkiej uciechy? — za-

pytał król po chwili rokosznego uczucia.

— Wielki i pamiętny akt narodu i króla, jakim jest konstytucya trzeciego maja, której rocznica jutro się święci!

Król zamyślił się. Przyjemne, rokoszne uczucie okrasiało twarz jego. Po chwili przesunęła się po niej chmurka jakiejś boleści, która niemniej dodawała jej uroku.

— Konstytucya trzeciego maja jest dziełem narodu — odparł zniżonym głosem — a ja byłem tylko maluczkiem narzędziem!... A wiesz mój przyjacielu, co się w takim razie robi z narzędziem?

— W przededniu tak wielkiej doby — odparł Trembecki — wszelkie czarne myśli podobne są do baniek mglistych, które nikną same od siebie, i nikt nawet nie wie gdzie się podziały.

Niejaki czas panowało w gabinecie głucho milczenie. Szambelan-poeta nie miał już snąć więcej koceptu, aby podtrzymać dobry humor króla, który teraz widocznie posmutniał. Po niejakiej chwili ozwał się Stanisław:

— Wiem, że mam nieprzyjaciół!... Wszelkie wielkie rzeczy w narodzie są podobne do cięcia chirurga. Z początku krzyczy pacjent i przeklina nóż, który mu taką ranę zadał, a gdy przyjdzie do zdrowia, to już nie myśli o chirurгу, który mu to zdrowie tem cięciem nadał!.. Jedyłą moją rokoszą jest przekonanie, że to, com zrobił, zrobiłem dobrze — a głosy z kraju utwierdzają mnie w tej opinii mojej!...

— Warszawa w przededniu tej wielkiej rocznicy jest cała upojona i pisze wszędzie: Król z narodem, naród z królem!

Królowi zwilżyły się oczy. Spuścił je ku ziemi i odparł:

— Miłość narodu budzi we mnie równaż miłość; i widzę teraz, że nie ma nic na świecie, czegobym dla niego nie poświęcił!

Takie momenty w życiu króla świecą jak perły w koronie, która zazwyczaj bywa cierniową!...

W tem rokosznem rozrzewnieniu chciał król pozostać, dla tego dał znak szambelanowi ręką, że chce pracować.

Szambelan-poeta kontent był, że mógł się uwolnić od dalszej apologii konstytucyi trzeciego maja, nad której nudne paragrafy przekładał lekki, musujący dowcip.

Nowy jednak gość wszedł do króla.



## XX.

Gościem tym był człowiek już nie młody, o twarzy gładko ogolonej, obficie mączką białą, która ubyłą młodość zastąpić miała, posypanej.

Był to jeden z najbliższych przyjaciół domowych Stanisława, dygnitarz dworu, Mniszech.

— Czy o przyjaciółach, czy o nieprzyjaciółach przynosisz mi nowiny, mości marszałku? — zapytał z pewnem rozrzewnieniem.

— Jeżeli na niebie lipcowem słońce jasno świeci — odparł z widocznem zadowoleniem Mniszech — to nie dopatrzeć na niem drobnych chmurek, które nakształt mgły przezroczystej przesuwają się jak widma nocne! Dzisiaj, mości królu, nie widziałem nigdzie nieprzyjaciół; nie wiem, czy się nawrócili, czy gdzieś pochowali się!... W całym bowiem mieście tylko jeden okrzyk radości, co IKMość sam jutro obaczysz.

— Czy i Saulus został dzisiaj prorokiem? — z uśmiechem zapytał król i spojrzał z uwagą na Mniszcha.

Mniszech, który nigdy stanowczo nie oświadczył się za jednym i drugim stronnictwem, ale wszystkie ich zdania tolerował, odparł z chmurką na czole na zapytanie króla:

— IKMość znasz dobrze mój afekt dla siebie i Rzeczypospolitej. Mniejsza mi o to, jaką drogą ten afekt idzie, aby doszedł co celu swego. Jeżeli sejm i WKMość za potrzebną uznali konstytucyą trzeciego maja, to widać, że ona dla dobra Rzeczypospolitej była potrzebną. A kiedy widzę, jak ludzie w mieście i w całym kraju cieszą się z tej konstytucyi, to jestem przekonany, że ona jest konieczną dla lepszej przyszłości naszej.

— Nigdy inaczej o twoich opiniach nie sądziłem, mości marszałku — odpowiedział król i podał Mniszchowi rękę.

— Gdybym nawet nie był prorokiem — mówił dalej tenże — to widok tego, co się w mieście dzieje, mógłby mnie natchnąć do wiary, a nawet nawrócić, jeźlibym był niewierny jak ongi Szawel. Zapał w mieście dla pamiętnego dzieła WKMości jest nie do opisania! Ludzie biegają jakby mieli gorączkę — a to jest tylko afekt dla WKMości i kraju!

— Widzisz, jak to dobrze się stalo, zem się nie dał ani Branickiej ani generałowej odwieść owego wieczora... pamiętasz mości marszałku? Piatolemu należy się moja wdzięczność! bez niego, kto wie, coby były ze mną kobiety zrobiły! A pozbawiłbym się dzisiejszej roskoszy, a naród pozbawiłbym może jego lepszej przyszłości! Za wszelkie trudy moje odbieram dziś nagrodę obfitą, a co bądź się stanie, nie ulękę się!

— Wielce jestem tem ucieszony — odparł Mniszech — że WKMość jest zadowolony z wielkiego dzieła swego i raczysz przyjąć uniżony hołd tych, których konstytucya trzeciego maja z nicości do równych praw z nami podwyższyła. Z obowiązku więc mego oświadczam WKMości,

że municypalność miasta stołecznego Warszawy ma zaszczyt zaprosić WKMOść na bankiet wielki, urządzony w pałacu Radziwiłłowskim, na cześć konstytucyi trzeciego maja. Przygotowania do tego aktu potrzebne nie pozwalają uskutecznić tej patryotycznej myśli mieszczan jutro, tylko dopiero w przyszłą niedzielę.

Twarz króla ożywiła się nieklamana radością.

— Powiedz im, mości marszałku, że ich kocham zarówno jak wszystkie dzieci Rzeczypospolitej, i niczego się nie ulęknę, gdy cały naród przy mnie stać będzie!

— Pozwól więc, Mkrólu, że osobiście stolica królestwa złoży przed tobą swój afekt i zaproszenie na ucztę!

Stanisław August mimowolnie wyprostował się jak człowiek, którego pierś napełnia się pięknem, szlachetnem uczuciem. W wyrazistych oczach jego malowało się szczęście.

Tymczasem otworzył Mniszech podwoje królewskie, przez które weszła do gabinetu deputacya Warszawy.

Deputacya ta składała się z kilkunastu w pyszne kontusze ubranych mieszczan. Na ich czele stało dwóch ze szlachty. Jeden był Zakrzewski, poseł miasta Poznania i prezydent Warszawy, a drugi książę Ogiński, miecznik litewski, członek komisji skarbu i pierwszy deputat Wilna.

Zakrzewski ozwał się do króla:

— Królu i Najjaśniejszy panie nasz! Niemniejszy afekt mają ku tobie najmłodsze dzieci Rzeczypospolitej od tych, którzy już z pokolenia w pokolenie ćwiczą się w cnotach sarmackich. Otoż racz łaskawie przyjąć hołd tych Benjaminów korony polskiej, którzy miłością i poświęceniem

chcą dorównać najstarszym braciom i zaszczycić twoją wysoką osobą uczną ku pamięci konstytucyi trzeciego maja, wyprawić się mającą w najbliższą niedzielę w pałacu Radziwiłłowskim!

Usta Stanisława Augusta zadrzały od wzruszenia, oczy zaszkliły się. Czystym, dzwięcznym głosem odrzekł:

— Kochana Polska wszystkie dzieci swoje zarówno kocha, a miłość ich wzajemna jest tem większej wagi, im większe grożą jej nieszczęścia i konstalacye niefortunne! Z radością oczekiwać będę tego dnia, w którym będę mógł pośród was wychylić kielich na cześć tych, którzy aczkolwiek później do winnicy pańskiej przychodzą, jednak równej z wszystkimi mogą oczekiwać zapłaty!

Po tych słowach królewskich wznieśli mieszczanie okrzyk: niech żyje! splakani z radości prosili o ucałowanie ręki królewskiej, utwierdzając krótkimi słowy króla w jego wierze o ich afektach niezłomnych tak dla siebie jak i dla Rzeczypospolitej.

W tej chwili z ulicy dał się słyszeć okrzyk radości.

— Coż to jest? — zapytał król i zbliżył się do okna.

Najstarszy z mieszczan zbliżył się do króla i rzekł:

— Miłościwy królu i panie nasz! Oto my przez nasze niegodne usta mieli tylko wypowiedzieć małą część tego, co tam na ulicy wrze w piersiach tych tłumów! Spójrzij więc łaskawie, miłościwy królu, na tych, co tam pragną oblicza twego, i użyż im ucha, aby mogli wypowiedzieć, co w ich sercu jest!

Król w nadzwyczajnem wzruszeniu zbliżył się do okna i patrzył chwilę z twarzą zarumienioną na ulicę. A na ulicy stały niezliczone tłumy mieszczan i wznosiły niekłamane

okrzyki radości, skoro ujrzeni twarz monarchy. Zapał tych tłumów był tak wielki i tak szczery, że króla prawie do łez pobudził.

Odstąpił od okna, podał rękę Zakrzewskiemu i Ogińskiemu, i rzekł głosem wzruszonym do mieszczan:

— Podziękujcie braciom waszym za moment szczęścia, który sprawiliście królowi waszemu! Pamięć tej chwili zachowam w sercu mojem, aby mi była łagodzącym balsamem w dniach smutku i boleści. Jeżeli kraj cały, bez różnicy stanów, ożywiony jest tak szlachetnem uczuciem, i z całą ufnością w przyszłość patrzy, toż i królowi nie wolno być innym, i królowi nie wolno upadać na duchu. Żegnajcie mi!

Mieszczanie popłakali się ze wzruszenia, na ulicy nie ustawały okrzyki radości, a kiedy Mniszech króla żegnał, rzekł tenże do niego:

— Niech mnie na czas niejaki pozostawią samego. Tyle mi szczęścia przynoszą takie momenty, że muszę się sam na sam niem dostatecznie nacieszyć!

Mniszech skłonił się i wyszedł, a król założył ręce i zaczął powolnym krokiem przechadzać się po gabinecie.

obawki i wstyd, skoro widać twarz monarchy. Zapadł  
 lądów był tak wielki i tak szerszy, że król prawie do  
 tej podobnie. Wreszcie w końcu do przodu  
 Odstąpił od okna, podał rękę Nikrówskiemu i  
 Ogólnie mówiąc, i rzeki głosem wstrząsnął do niebezpiecz-  
 Podziękuję bardzo wszystkim za moment szczęścia,  
 który sprawiście królowi wczoraj. Pamięć tej chwili za-  
 chowa w sercu mojem, jak i być może w sercu was-  
 XXII

Uplýnęła dobra godzina, gdy Ryx właśnie od gabinetu drzwi odchylił. Król siedział w krześle z twarzą zarumienioną.

— Szambelan S\*\*\* — wyrzekł zcicha kamerdyner.  
 — Niech wnidzie! — odparł król i szybko poprawił

perukę.  
 Do gabinetu wszedł teraz znany nam dobrze szambelan-starosta, którego poznaliśmy w pierwszym rozdziale powieści.

— Ach! mości starosto!... — ozwał się król z pewnem znaczeniem — już twoich rąk wszystko doszło?... Ale jakże tam znowu z rozwodem? Czy Psyche wyrzeka się Amora?

— Żadna z kobiet, miłościwy królu, nie wyrzeka się Amora — odparł z uśmiechem dworzanin szambelan — tylko z Hymeneuszem często mają małe zatargi!

— Spodziewam się, że jakoś to się ułoży... Coż tam w Petersburgu słyhać?... Za listy od Repnina dziękuję waszmości, a skutki tychże już widzę przed sobą.

Szambelan skłonił się nisko.

— Coż tam generał artyleryi? Czy w wielkich łaskach? A hetman koronny, czy myśli zajazd zrobić na zamek królewski?

— Rzadko bardzo ich widywałem zajęty sprawami osobistymi. Suchorzewski tylko mówił mi, że Katarzyna jest dla nich pełna afektu, a boleje nad sprawami Rzeczypospolitej!

— Wiem o tem — odparł z westchnieniem król — że zacna monarchini szczerze zajmuje się losami Rzeczypospolitej, i że to widoczniej w jej rządach dałoby się widzieć, gdyby nie pewne wpływy dworskie...

— Jestem także tej opinii... mimo to sądzę, że nie trzeba wydawać w tej mierze ostatecznego wyroku!

— Nie mówię tutaj o samej imperatorowej — szybko podjął król — ale co do stosunków urzędowych Rzeczypospolitej na zewnątrz, w tem wypowiedziano już ostatnie słowo! Rubikon przekroczyliśmy — alea jacta est! W mocy Boga tylko są losy nasze, a mam nadzieję, że on dobre zamiary nasze wesprze!

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Restytuowany szambelan uznał rolę swoją tymczasem za skończoną.

— Pozwól Najjaśniejszy panie — rzekł po chwili — że nowy okres dawnego mego urzędu rozpocznę dosyć dobrą nowiną dla WKMości. Oto IMpan kasztelan \*\*\* prosi o łaskawe posłuchanie!

— Kasztelan \*\*\*? — powtórzył z widocznym zadziwieniem król — Kasztelan? Czyż to być może? Ów zapamiętały mój adwersarz, który na sejmie groził mi losem Karola I.?

— Jest to dobry znak czasu — zauważał nieśmiało szambelan — jeżeli stojący na krańcach opinii ludzie, zbliżają się do tronu WKMości! Zawsze z tego może wypłynąć korzyść dla Rzeczypospolitej!

— Daj Boże! daj Boże! — z nieudaną szczerością odrzekł Stanisław August — niech wnijdzie, czekam go z radością!

Szambelan wyszedł do antykamery królewskiej, gdzie właśnie z niecierpliwością na butnem czole czekał magnat polski, którego pałac przy jednej z pryncypalnych ulic Warszawy miał się wkrótce ożywić wspaniałą ucztą, na którą był zaproszony minister rosyjski Bułhaków.

Król przyjął z wielką łaskawością zawziętego swego adwersarza, reprezentanta jednej z najmożniejszych rodzin polskich.

Po kilku słowach wzajemnych komplementów rzekł kasztelan:

— Zapewne zadziwia to WKMość, że w przededniu uroczystego obchodu uchwały sejmowej z dnia 3. maja przychodzę na podwoje królewskie. Wielkie tylko cele zbliżają adwersarzy do siebie; w takimże przeto celu staję przed obliczem WKMości!

— Jeżeli jest to wielki cel zgody i pojednania w narodzie — odparł król z należyłą godnością — to chwila ta, w której was oglądam, będzie jedną z jasnych chwil mego żywota!

— Tak jest, cel zgody i pojednania sprowadza mnie do zamku, w którym korona Jagiellonów tak świetnie świeciła!... Zależy tylko od tego, gdzie właściwie jest ta zgoda i jedność!

— Zdaje mi się, że niepewności tej dzisiaj nie masz! Gdzie król tam naród, gdzie naród tam król!

— Pozwolisz WKMość, że się zapytam, gdzie tu jest ten naród, z którym król dziś trzyma?



— Cała Rzeczpospolita!

— Mylą się, miłościwy królu, doradcy twoi! Nowemi prawami kupiono sobie mieszczan i żydów, a ci wnosząc kryki uliczne mająż cały naród oznaczać?

— Mieszczanie, żydzi i stan włościański otrzymali to, co im się prawem należało! Jeżeli budowa ma być trwałą, to wszystkie słupy i podwaliny muszą coś trzymać!

— Tak mówią źli doradcy twoi, królu; ale przyłóż ucho do serca narodu, a usłyszysz tam protest przeciw całej robocie z dnia trzeciego maja.

— Co waszmość mówisz! Przecież cały kraj cieszy się z tej ustawy, która naprzód uchyla możliwą rewolucyą, jaka się obecnie we Francyi odbywa.

— Uchwała ta jest sama rewolucyą! Obym nie oglądał skutków tej uchwały nieszczęsnej! Już teraz wykwuwają się owoce, a po owocach poznaje się drzewo.

— Waszmość tak samo mówiłeś w sejmie zeszłego roku.

— Mówilem i teraz mówię, bo mi afekt dla Rzeczypospolitej i waszej królewskiej osoby tak mówić każe... Miłościwy królu! Jeszcze czas... choć ardet ultima domus Uscalegon! Jeszcze można się cofnąć...

— Cofnąć? Cóż waszmość pod tem słowem rozumiesz?

— Pod tem słowem rozumiem to, że WKMość możesz nieobecnością swoją przy jutrzejszym obchodzie zaprotestować przeciw narzuconej krajowi konstytucyi, która tysiącletni porządek społeczeństwa tylko rozprzega!

— Moją nieobecnością zaprotestować przeciw temu, com sam łącznie z sejmem zrobił?

— Nie, miłościwy królu, kraj wierzy, że to nie była twoja wola! Oszukano cię, a doradcy twoi wmówili w ciebie!

Stanisław August wyprostował się.

— Czy waszmość sądzisz, że jestem królem malowanym?

— Uchowaj Boże! Taką opinią nigdy nie ubliżyłbym majestatowi królewskiemu; a że inaczej sędzę, dowodzi mój krok dzisiejszy, na który po długiej mojej abstynencji w imię dobra publicznego odważyłem się... Królu, cofnij się od ludzi, od fałszywych doradców, którzy kraj do zguby prowadzą! Królu, chwytaj za deskę ratunku!

— Gdzież jest ta deska? — z uśmiechem zapytał król.

— Tą deską jest najprzód zerwanie z konstytucją przez abstynencją jutrzejszą od uroczystości, a potem... potem podanie ręki tym, którzy w tej chwili w Petersburgu...

— Za nic, za nic w świecie! — żywo odparł król i cofnął się o dwa kroki — generał artylerji i hetman koronny są poprostu —

— Nie wymawiaj królu szkaradnego słowa; bo ono tak samo da się zastosować do tych, którzy ci dzisiaj doradzają!

— Transakcy już żadnej nie ma!

— Od ciebie, królu, zależy, aby transakcja była jeszcze możliwą. Zapewne Deboli już nadesłał wiadomość o deklaracyi rosyjskiego dworu...

— Deklaracyi Rosyi? Nic mi jeszcze o tem niewiadomo!

— Zapewnie dzisiaj otrzyma WKMość... oby jeszcze na czas!

— Coż jest w tej deklaracyi?

— Odrzuciwszy łupinę tego pisma urzędowego, ma to

być poprostu groźba rozpoczęcia hostilitatis przeciw Rzeczypospolitej za dokonaną przez sejm trzeciego maja rewolucyą, od której i dla siebie złych skutków obawia się Rosya.

Król zamilkł. Wiadomość ta uderzyła go mocno. Po chwili jednak, przymuszając się widocznie do wesołości, odrzekł:

— To są wszystko strachy, wylęgte w waszym obozie. Wprawdzie nie dobrze się stało, żeśmy uchwałę sejmu z dnia 3. maja dosyć późno podali do wiadomości dworów sąsiednich, ale to przecież jeszcze, jak twierdzi Ignacy Potocki, nie daje im prawa kontrolować nasze domowe sprawy!

— Konstytucya jest rewolucyą, a nie sprawą domową! Aby jej złe skutki dla państw sąsiednich udaremnić, rozpocznie Rosya wojnę z Rzeczpospolitą!

— Wtedy do ostatniego będziemy bronić naszych praw!

— Tak mówią Ignacy Potocki, Sołtyk, Kołłątaj, Piatoli i krzykacz litewski Kazimierz Sapieha! Ale słowa ich nie zabijają żadnego Moskala!...

Król milczał zamyślony. Był to człowiek zacny i szlachetny, ale nadzwyczaj wrażliwy. Swada kasztelana widoczny wywarła wpływ na miękki umysł jego.

— Jak Bóg da, tak się stanie! — rzekł król po długiej chwili milczenia.

Adwersarz jego patrzył z uwagą na twarz królewską, na której malował się widoczny smutek. Po chwili ozwał się:

— Królu miłościwy! Jeżeli już spokój i bezpieczeństwo Rzeczypospolitej nie znajdują u ciebie chętnego ucha, to

może bezpieczeństwo własnej twojej osoby nakłoni cię do tego, abyś z jutrzejszą demonstracją zerwał, nie wychylając się z progów zamku...

— Czy ma w tem być ostrzeżenie? — zapytał król z niepokojem.

— O niczem nie wiem... ale głucho wieści obiegają po ulicach... namiętności za nadto rozdrażnione... rozpoczęta rewolucya robi postęp nie mały... nic więc dziwnego, gdyby ręka jakiego zapaleńca...

Stanisław August przybladł trochę i oparł się o poręcz krzesła. Zebrawszy jednak całą odwagę — odparł z wymuszonym uśmiechem:

— Już jakieś bezimienne listy otrzymałem, które mi grożą jutrzejszem niebezpieczeństwem; ale ja biorę to na karb dobrych moich przyjaciół, którzy się obawiają o moje życie... Nieprawdaż, że i słowa wasze, mości Kasztelanie, mogą policzyć do tej samej rubryki?

Rzekłszy to podał rękę kasztelanowi, który skłoniwszy się z dumą wyszedł widocznie niezadowolony.

Po wyjściu jego usiadł król na krzesle, a twarz jego stała się bledszą niżeli zwykle była.

Długi czas był pogrążony w myślach. Po jego wyrazistej twarzy przesuwwały się jak ciemne mgły, jakieś smutne myśli i uczucia. Kilka razy odetchnął głęboko, jakby mu brakowało powietrza.

Drzwi gabinetu otworzyły się, a Ryx położył przed nim dwa listy.

Król wziął z pospiechem listy do ręki. Były one z Wiednia... Gorączkowym ruchem rozerwał obie pieczęcie... Oba listy były pisane ręką księżnej marszałkowej Lubo-

mirskiej!.. I były pisane jednego i tego samego dnia, jeden zrana, drugi po południu.

W listach tych zaklinała marszałkowa Lubomirska króla, aby w dniu trzeciego maja miał się na ostrożności, gdyż w tym dniu ma być zamordowany! W tym celu związał się spisek, który atentat ma wykonać podczas obchodu.

Kiedy Stanisław August te dwa prawie równobrzmiące listy (drugi wyrażał się z jeszcze większą pewnością) odczytał, twarz jego zbladła jeszcze więcej. Owładnęła go na chwilę jakaś dziwna omdłałość. Siedział tak w krześle czas niejaki. Oczy jego patrzyły prawie bezmyślnie przed siebie...

Wreszcie ocknął się jakby ze snu. Posunął ręką po czole, jakby z przed oczu chciał odegnać ostatki mar sennych, ale listy leżące przed nim powiedziały mu, że to nie był sen, że była rzeczywistość!..

Jeszcze raz odczytał oba listy, myślał nad nimi chwil kilka, potem nagle powstał i na Ryxa zadzwonił.

— Drzwi do gabinetu zamknąć — rzekł po francuzku do poufałego sługi — i nikogo do mnie nie puszczaj.

Ryx odszedł, obróciwszy w zamku klucz za sobą.

Tymczasem zwinął król kilka listów wraz z temi z Wiednia i wyszedł tajnymi drzwiami z gabinetu na małe, wąskie schody, które gdzieś nadół prowadziły.

## XXII.

Powoli, głęboko w myślach pogrążony, szedł król po wąskich ciemnych schodach. Schody kończyły się w wąskim, również ciemnym korytarzyku, który miał ujście do głównej sieni.

Król zbliżył się właśnie do tego ujścia, gdy posłyszał na głównych schodach ciężkie, odmierzone kroki. Nie chcąc być widzianym, cofnął się o kilka kroków w głąb i stanął.

Po schodach szedł właśnie kanclerz koronny Małachowski. Zapewne chciał być u króla, ale Ryx odprawił go.

Kanclerz był wzrostu dosyć słusznego i nosił się po staremu. Granatowy kontusz z wylotami i jasno perłowy żupan ze złotymi guzikami był ulubionym jego ubiorem. Wąs sporo szpakowaty spuszczał się nadół niedbale, a kołnierz od koszuli spięty dużym, okrągłym koralem.

Z przeciwnej strony wpadł równocześnie do sieni mały, chudy, niepokaźny człowieczek, w stroju francuzkim, w dużej sieniej peruce, jasno ceglastym fraku z harbajtlem na plecach. Mógł liczyć około lat sześćdziesięciu, szedł jednak szparko i rzeźwo się trzymał.

Był to brat kanclerza, marszałek sejmu konfederacyjnego od korony, Stanisław Małachowski.

Kiedy przed głównymi schodami dwaj bracia na siebie niespodzianie wpadli, stanęli na chwilę jak wryci, patrząc z pewnym ambarasem na siebie.

Zdaje się, że w pierwszej chwili już sam popęd krwi kazał im przywitać się z sobą... Ale po krótkim namyśle schowali ręce, jeden do kontusza, drugi w zanadrze fraku, i odstąpili od siebie, jakby się wcale nie znali.

Król patrząc na nich z ciemnego korytarzyka westchnął głęboko.

I rzeczywiście miał powód do tego. Dwaj bowiem bracia stali w obozach wprost sobie przeciwnych. A było to jeszcze rzeczą dziwniejszą, że ubrany w kontusz kanclerz korony należał do stronnictwa Szczęsnego Potockiego i Branickiego hetmana, a marszałek sejmu konfederacyjnego, przyjaciel braci Czackich, noszący strój francuzki, był głównym patriotą i adherentem konstytucyi trzeciego maja. Obaj bracia żyli w nieprzejednanej nieprzyjaźni z sobą.

Kontuszowy kanclerz patrzył czas niejaki na marszałka konfederacyjnego z pewnem politowaniem. Potem wyciągnął rękę i rzekł głosem wruszonym:

— Jakkolwiek jedna pierś matki nas karmiła, jednak każdy z nas wyssał z niej coś innego... Drogi nasze są wprost przeciwne, ale są punkty, w których się one przierzynają! Pozwól więc Stanisławie, że jedno słowo przemówię.

— Słucham cię bracie, — odparł marszałek — daj Boże, abyśmy we wszystkim razem siebie słuchać mogli!

— Zapewne wiesz, jakie wieści obiegają po Warszawie...

— Właśnie w tym celu szedłem do króla...

— Gdyby się to rzeczywiście stać miało...

— Nic łatwiejszego, jak o coś podobnego w narodzie,

w którym nie ma dwóch braci rodzonych, coby z sobą w przyjaźni żyli!

— Któż temu winien, jeżeli nie ci, co do kraju rewolucyą uchwałą trzeciego maja wnieśli.

— Ja sędzę, że ci, co w Petersburgu teraz Polskę sprzedają...

— Jeżeli jutro naród splami się królobójstwem, to będzie to tylko owoc tak zwanej konstytucyi! Tylko rewolucya rodzi podobne potwory...

— Ja wprost przeciwnie sędzę. Jeżeli jutro to się stanie, o czem mówią, to tylko ci mogli rękę do tej zbrodni podać, którzy nie wahają się z wrogami przeciw krajowi spiskować...

— Obym nie był fałszywym prorokiem!...

— Ja nie chcę być żadnym!...

Przed bramą dał się w tej chwili słyszeć turkot powozu.

Dwaj bracia odskoczyli od siebie i odeszli nie pożegnawszy się nawet, każdy w inną stronę.

Król kilka chwil stał w ciemnym korytarzyku oparty o ścianę. Słyszał rozmowę braci rodzonych, a przecież każdy z nich był człowiekiem uczciwym...

Dziwny obraz kraju roztaczał się teraz przed jego oczyma. Jakże to trudno być dzisiaj królem?..

I któż pojedna dzisiaj poważnione umysły, któż pozna, gdzie się kończy odmienne polityczne zdanie, a gdzie się kończy duma, pycha, żądza zaszczytów, lub poprostu ślepotą i krótki rozum?

Stanisław August westchnął, a przebiegłszy szybko sięń, wszedł do drzwi, które prowadziły do dolnych komnat zamku.



### XXIII.

**K**omnaty te zamieszkiwał ks. Piatoli.

Piatoli, Włoch z rodu, należał do szczupłego grona ludzi, którzy w owym czasie największy wpływ na króla wywierali. Stanisław August poznawszy go bliżej w czasach robót sejmu czteroletniego, tak się do niego przywiązał, że nietylko bez jego rady nic nie robił, ale nawet mieszkanie dał mu w zamku, aby go zawsze mieć pod ręką.

Ks. Piatoli był wprzód nauczycielem w domu Potockich, a potem czas niejaki mieszkał u nich jako przyjaciel domowy.

Było to bardzo piękną cechą znakomitego domu polskiego, że nauka i światło miały tam tyle czci i szacunku, że się jej wywdzięczono prawdziwą przyjaźnią.

Piatoli starał się zawsze być na wysokości ówczesnego światła w Europie, dlatego z głośnym podówczas Rousseau był w ścisłych relacjach. Również studyował pilnie współczesnych francuzkich i angielskich polityków.

Pięknym zaiste rysem charakteru Stanisława Augusta jest, że tak szczerą i niekłamaną przyjaźnią przywiązał się do człowieka, który tylko nauką i światłem mógł go przyciągnąć do siebie.

Piatoli stał się tym sposobem łącznikiem między królem a stronnictwem patryotycznym, które konstytucyą trzeciego maja za godło wywiesiło. Bez niego więc nigdy nic się nie działo.

Dlatego ambasadorowie rosyjscy rzucali na niego różne kalumnie, chociaż nawet nieprzyjaciele mieli dla niego szacunek.

Nietylko na króla, ale na wszystkich, którzy się do niego zbliżali, wywierał wpływ wielki. Przy upadku nauk za Sasów, starsza osobliwie generacya tak była ubogą w potrzebne w sprawach publicznych wiadomości, że przed każdą sesyą sejmową napełniona była komnata Piatolego posłami, którzy od niego rady i instrukcyi żądali.

Gdy król w tej chwili wszedł do jego komnaty, zastał tam Ignacego Potockiego i biskupa Kołłątaja, którzy nad jakimiś papierami siedzieli.

Obaczywszy króla powstali wszyscy, a Piatoli przysunął mu duże poręczowe krzesło, na którym zwykle lubił siadywać Stanisław August. Był on tu bowiem codziennym gościem.

Przywitawszy obecnych usiadł król na krzesle i chwilę patrzył w milczeniu przed siebie. Zdawało się, że czekał, aż który z nich mówić zacznie.

Żaden jednak nie odezwał się. Ignacy Potocki w widocznym zakłopotaniu patrzył na Piatolego, a Kołłątaj kreślił jakieś dziwne figury na stole.

Wreszcie wziął słowo Piatoli i rzekł:

— IKMość zeszedłeś nas właśnie na pewnej rozmowie, która tyczyła się wprost osoby WKMości...

— Radbym — odparł król z powagą — abyście zamiast mojej osoby położyli na pierwszym miejscu słowo: Ojczyzna!

— Dzisiaj jestto synonim tylko! — z uśmiechem zauważał Piatoli.

— Wszak piszą dzisiaj na oknach ulic: król z narodem, naród z królem! — dorzucił Potocki.

— Tak, to prawda — smutno odrzekł Stanisław — naród z królem, król z narodem!... ale z kim naród będzie, gdy króla nie stanie? Naród bowiem nieśmiertelny, a król...

Stanisław zrobił tu znaczną pauzę i badawczym wzrokiem spojrzął po wszystkich. Spostrzegł, że wszyscy między sobą jakieś znaczące spojrzenia wymienili...

— Chcę wam ułatwić rozmowę — rzekł król po chwili — wiem, co mi powiedziecie chciecie, więc słucham was przygotowany na wszystko!

Ignacy Potocki odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca.

— Więc doszły już wieści do ucha WKMości? — ozwał się po chwili.

— Aż nadto było ich na dzień dzisiejszy! — odrzekł król z ironią.

— Ale to wszystko mogą być tylko luźne wieści! — zauważał Kołłątaj.

— We wszystkich wieściach jest zawsze pewien cel ukryty — ozwał się Piatoli — dlatego należy najprzód szukać tego celu!

— Nie zawsze skutki odpowiadają założonym celom — rzucił znowu Piatoli.

— Mnie się zdaje — rzekł Potocki — że to poprostu

jest stragematem stronnictw, aby przez ten larum wpłynąć na obóz patryotyczny i tym sposobem pomieszać go.

— To być może — zauważał Kołłątaj — ale zawsze trzeba śledzić za nicią tych rozgłaszanych wieści, bo mogą one nie mieć na celu istotnego czynu, ale przez zachętę i zwykłą pokusę do złego mogą zkądinąć taki czyn wywołać...

— Z którejże strony byłoby prawdopodobne niebezpieczeństwo? — zapytał po chwili milczenia Potocki.

— Sądzę, że z tej strony, z jakiej może najmniej powinniśmy się tego spodziewać — odpowiedział Kołłątaj. — Są między nami ludzie tak wrośli w wiekowe przesady, że lada promyk lepszego światła trwoży ich i niepokoi. Przez tysiąc lat przyzwyczaili się oni z pokolenia w pokolenie uważać Rzeczpospolitą za synonim swoich urzędów, synekur, starostw i różnych przywilejów. Kto im te dziedziczne emolumenta naruszy, ten zdrajca ojczyzny, ten rewolucjonista, Jakobin! Ci tak zwani ortodoxy w kontuszu i butach safianowych bić się będą do ostatniej kropli za ojczyznę, w ten sposób pojętą. Nic więc dziwnego, że w wiekowej ślepotcie swojej...

— Że ludzie ci są adwersarzami dzisiejszej konstytucyi, o tem wiem dobrze — zauważał Piatoli — ale nie sądę... prędeż mógłbym podejrzyc w tem rękę zewnętrznego nieprzyjaciela...

— Ja dotąd na seryo nie wierzę — ozwał się Potocki — aby te wieście miały jakąkolwiek podstawę...

— Stanisław August milczał przez ten czas, patrząc zamyślony przed siebie. Po słowach Potockiego ozwał się:

— Jakąkolwiek podstawę mogą mieć te wieści, czy są

luźne na postrach uczynione strzały, czy też oznaczają zbrodnicze złych ludzi zamiary, udaję się do was po radę, co wobec tych wieści mam uczynić?

Gdy król w ten sposób się odezwał, nastąpiło przez kilka chwil głucho milczenie. Potocki patrzył na Piatolego, czy tenże mając po temu należyta wymowę, pierwszy nie ozwie się do króla w tak przykrew materii. Obawiał się przytem, aby Kołłątaj, który zdania swego nie lubił cukrować, zbyt gwałtownie nie wziął się do rzeczy. Chciał więc już wyłożyć królowi położenie rzeczy, które było bardzo ważne, gdy Piatoli nagle wziął słowo:

— Jako szczerze oddany WKMości muszę otwarcie objawić zdanie moje co do dnia jutrzejszego i wieści, które się wiążą do niego.

Po małej pauzie mówił dalej:

— Dzień jutrzejszy, czy raczej obchód uroczystej rocznicy trzeciego maja, w którym to dniu dokonaniem zostało w Polsce dzieło tak wielkiej wagi, jakim jest konstytucya, ma nadzwyczajne znaczenie.... Obchód tego dnia uroczysty, zapał okazany w tym dniu jednomyślny o ile być może, będzie niejako pieczęcią, przybitą na tej wielkiej karcie dziejowej! A zapał ten i jednomyślność muszą być tak wielkie, że obec nich same przez się umilkną nieprzyjaźne głosy, a przedewszystkiem zagranica powźmie z oznak tego dnia niezbite przekonanie, że konstytucya trzeciego maja to wola narodu, że adwersarze tej konstytucyi nie są stronniestwem kraju, ale poprostu nieliczną szajką ludzi ambitnych i awanturników kozackich, do jakich przedewszystkiem policzyć należy hetmana wielkiego... Otóż w tym dniu, powtarzam, muszą rząd i naród stanąć

jako mąż jeden, aby dać świadectwo, że konstytucya trzeciego maja jest wolą sejmu, króla, i narodu! Jeźliby jednego z tych trzech wielkich głosów brakowało na jutrzejszym obchodzie, to byłby znak, że naród, sejm i król są z sobą w niezgodzie, że wybiła ostatnia godzina Rzeczypospolitej. Obecność więc króla jutro jest koniecznością polityczną, tak jak sam obchód nie jest bynajmniej uroczystością domową, ale wielkim aktem politycznym!

Gdy Piatoli te słowa wymówił, głębokie milczenie zapanowało w komnacie. Wszystkich oczy zwróciły się do króla. Potocki z widocznym niepokojem patrzył na niego, szeroka twarz Kołłątaja grała różnemi odcieniami kolorów, a chude, smaglawe lica mowcy obwlokły się ciemnym rumieńcem.

Stanisław August milczał ciągle. Wyraziste usta jego nabrzmiały, jak to zawsze się działo, gdy był więcej wzrzucony, oczy nabrały większego blasku.

Po chwili spojrział wymownie na Potockiego, jakby chciał jego zdanie usłyszeć w tym zgłędzie.

Zrozumiał to spojrzenie Potocki i ozwał się:

— Zgadzam się zupełnie z x. Piatolem co do znaczenia jutrzejszego obchodu i co do konieczności wzięcia w niej udziału WKMości. Inaczej znaczyłoby, że WKMość zrywasz z konstytucją!

— Przyłączam się do obu moich poprzedników — krótko tym razem powiedział Kołłątaj.

Król odetchnął głęboko, otarł chustką czoło i widocznie wzruszonym głosem ozwał się:

— Zawsze miałem to na widoku, że król każdego narodu powinien wszystkim przodować w dobrych intencjach.

Cieszy mnie zapal narodu z uchwalonej konstytucyi; jeszcze przed rokiem widziałem płaczących i modlących się za tę łaskę nieba, jaką Bóg nas obdarzył. Miałbym dzisiaj być jednym z ostatnich?... Będę na jutrzejszym obchodzie!

Wszyscy trzej porwali się z miejsc swoich, aby królowi oddać hołd za tak godne króla słowa.

Król sam, jakby rokoszował we własnej wielkości swojej, oparł z szlachetną dumą rękę na poręczy krzesła, i w tak prawdziwie malowniczej, pięknej postawie siedział w milczeniu pełnem wymowy czas niejaki.

Stanisław posiadał nadzwyczajny dar nadania sobie postawy stosownie do tego, co mówił. Przestrzegał tego ściśle, czy raczej było to mu wrodzone, tak na posiedzeniach urzędowych w gabinecie swoim z ministrami, jako też i w sejmie, gdy mowę wygłaszał, a nawet i w towarzystwie z kobietami.

Miękki jednak i wrażliwy, już samym przebiegiem myśli trwożył się i niepokoił, i z najszczytniejszego nieraz postanowienia schodził nagle do przekraczającej wszelkie granice apatyi. Ztąd we wszystkich planach swoich był zawsze niezdecydowany, idący naprzód i cofający się do spokojnego odpoczynku po każdym większym expense odwagi i objawienia silniejszej woli.

To też znając zbliska taki charakter króla, patrzył Piatoli na niego z pewną obawą i śledził pilnie różne uczucia, malujące się w tej chwili na wyrazistej jego twarzy.

Jakoś nie omyliła Piatolego obawa. Króla twarz smutniała coraz więcej; z królewskiej imponującej postawy schodził powoli do zwykłego śmiertelnego człowieka.

— Gdyby jutrzejszy dzień — ozwał się miękkim głosem — miał być w istocie ostatnim dniem mego życia... i gdyby tego rzeczywiście dobro powszechne wymagało...

Nie dał mu skończyć Potocki, tylko przerwał:

— Nigdy nie dam wiary owym szalonym pogłoskom, które wylęły się Bóg wie w jakiej głowie, aby tylko WKMość odstraszyć od tego aktu zgody w narodzie, który jutro przedstawi się całej Europie!

Król smutniał coraz więcej. Pochylił głowę na piersi, a usta jego widocznie drżały.

Dobył z bocznej kieszeni fraka zwitek listów i podał Potockiemu.

Potocki z gorączkową uwagą zaczął je czytać. Było ich sześć. Jedne były imienne, drugie bezimienne. Jedne błagały króla, aby życia nie narażał, inne groziły...

Wszystkie te listy podawał Potocki po sobie towarzyszom. Przy dwóch ostatnich zbladł nieco. Były to listy marszałkowej Lubomirskiej z Wiednia. Król patrzył na niego z wyteżoną uwagą.

Piatoli i Kołłątaj, ostatni mimo podagry z wielkim wyteżeniem sił, powstali z miejsc swoich i pochylili się nad Potockim, aby jak najprędzej odczytać zagadkową treść tych listów. I na ich twarzach malowało się wielkie zadziwienie...

— Jakaż jest teraz opinia wasza o tych pogłoskach — zapytał po chwili król z wymuszonym spokojem.

— Moja opinia — odparł również z takim samym spokojem Potocki — opinia moja jest niczem niezachwiana. Widzę tylko, że w pogłoskach tych, które zrazu za luźne uważa-



łem, jest pewien system. Księżna marszałkowa może być narzędziem mimo swojej wiedzy i woli...

— Zachodzi tylko pytanie — rzekł Kołłątaj — czy ten system rozszerzania takich pogłosek ma tylko na celu proste odstraszenie króla od jutrzejszej uroczystości i wybicie tym sposobem luki w konstytucyi, czy też jest zachętą, budząc uspione i leniwe namiętności i muły serca ludzkiego...

— Tak daleko nigdy nie sięgam — zauważył Piatoli — najprędzej podejrzywałbym intrygę zagraniczną, która w takim razie wszystkiego użyć jest w stanie, aby swego dopiąć!

— Byłoby więcej niżeli zbrodnią — podjął Potocki — byłoby to — błędem politycznym! A trzeba naszym nieprzyjaciołom przyznać, że nie lubią tak często popełniać błędów. Chcą oni poprostu rozstrojem wewnętrznym przyprowadzić kraj do upadku, po który potem tylko by się im schylić trzeba, aby jak swój zagarnąć. Dla tego to przyjmują z honorami generała artyleryi i hetmana koronnego, i dla tego występują niby w obronie wolności złotej...

Po tych słowach nastąpiło znowu milczenie, poczem ozwał się król:

— Więc sądzicie, że pogłoski te mogą być fałszywe, użyte jako larum do odstraszenia mnie. W takim razie...

Tu król zatrzymał się, jakby się obawiał dokończyć. Nie chciał wymawiać słowa, któreby go wiązało. Dokończył za niego Piatoli:

— W takim razie nie masz najmniejszego niebezpieczeństwa dla osoby WKMości, i obchód cały odbyłby się z wielką korzyścią dla sprawy publicznej!

— A gdyby w tych pogłoskach... zaczął znowu król i umilkł.

— Gdyby w tych pogłoskach był jaki grunt do obawy — mówił dalej Potocki — to mamy przecież środki ostrożności, któreby nie dozwoliły wykonać zamysłu zbrodniczego...

Na to wstał król szybko z krzesła, jakby nie chciał dalej słuchać, i rzekł do obecnych:

— Dam wam później znać o mojej decyzji — chociaż sądzę, że od przyjętych na siebie obowiązków króla nigdy nie odstąpię!

— Oby Bóg czuwał nad postanowieniem i życiem WKMości — rzekł Kołłątaj i spojrział z jakąś myślą ukrytą na Piatolego.

Zdaje się, że Piatoli zrozumiał to wejście. —

— Jestem przekonany, ozwał się, że WKMość jutro o tym czasie śmiać się będzie z tych pogrózek.

— Również tak sądzę, jak ks. Piatoli — dorzucił Potocki.

Stanisław August odpowiedział na to tylko uśmiechem, który u niego nadzwyczaj był charakterystycznym, i z powagą królewską, jakby schodził z desek teatralnych, wyszedł z komnaty.

## XXIV.

**K**iedy Potocki i obaj jego towarzysze dla wspólnej narady do posła krakowskiego, Sołtyka, się udali, aby tam może coś bliższego o krążących pogłoskach się dowiedzieć, a nawet na wypadek możliwego „interregnum“ jakąś wspólną uchwałę powziąć, o czem nawet w murach zamkowych rozprawiać obawiali się: Stanisław August wziął z sobą tylko nieodstępnego Ryxa i w zamkniętej karecie udał się na obiad do siostry swojej, wdowy po hetmanie Branickim, którą powszechnie Panią krakowską nazywano.

Pani krakowska miała ten zwyczaj, że zapraszając króla na obiad do siebie, rozgłaszała po wszystkich salo-  
nach warszawskich, że Stanisław August dzisiaj u niej obiadać będzie. Wszyscy więc, a mianowicie najpiękniejsze damy, które widokiem króla zabawić się chciały, przychodzili po skończonym obiedzie niby przypadkiem do Pani krakowskiej, gdzie król jeszcze zazwyczaj z godzinę bawił. Tym sposobem mieli król i piękne damy również przyjemność bawienia się razem rozmową bez wszelkiej etykiety dworskiej, bo zebranie takie nie było urzędowo sproszone, tylko przypadkowe.

Może dziwną pod względem psychologicznym była ochota króla do dzisiejszego obiadu u Pani krakowskiej.

Śród tak groźnych expektoracyi na dzień jutrzejszy była taka ochota prawie nieprawdopodobną, chociaż w istocie była prawdziwą.

Stanisław August lubił przedewszystkiem wobec świata odgrywać taką rolę, jaką za najwłaściwszą w danych okolicznościach uważał. Do odegrania takiej roli posiadał bardzo wiele sztuki, a nawet umiał się zdobyć na pewną energią, jeżeli takiej do pokrycia prawdziwej sytuacji potrzeba było.

Uznał więc za rzecz konieczną, aby w tej chwili, kiedy najpotworniejsze pogłoski po mieście obiegają, i kiedy każdy może wyobrażał go sobie przestraszonym i drżącym, ukazać się jak największej liczbie spektatorów z uśmiechem na twarzy, z zupełnym spokojem w duszy, jak przystało na ludzi odważnych i wielkiego charakteru.

Taki miał cel jego obiad dzisiejszy u Pani krakowskiej.

Przy obiedzie było tylko najściślejsze kółko jego najbliższych znajomych, złożone prawie z samych kobiet, z wyjątkiem tylko jednego Mniszcha.

Król był podczas obiadu nadzwyczaj wesoły. Generałowa Grabowska i Mniszchowa gratulowały mu tak dobrego humoru. Prawdopodobnie nie doszły może do nich jeszcze te wieści, a może też ze względu na łatwo wrażliwy umysł króla nic o nich nie wspominały. Zajęty ostrygami Mniszech wcale nie myślał podczas tak ważnej okazji podnosić sprawy publicznej na to, aby sobie i innym apetyt odbierać...

Wesoło więc i spokojnie przeszedł obiad cały. Tylko

generałowa Grabowska, najprzywiązańsza a oraz najwyrozumialsza przyjaciółka króla, spostrzegła w jego nadzwyczajnej wesołości coś gorączkowego, nad czem głęboko się zamyśliła.

Stanisław August podnosił rozmaite, najsubtelniejsze przedmioty do rozmowy, i rozszerzał się nad nimi z prawdziwie niemiecką systematycznością...

Potem przeszedł na pole różnych anegdotek i pociesznych historyjek. Opowiadał z śmiechem o jakimś kowalu, który żonę przykuł do kowadła, aby mu robiła w kuźni, a potem za to obiadu nie jadł, bo nie było komu go zgotować. Dalej szeroko rozwodził się nad jedną z przygód swoich, jaką miał we Francji podczas podróży, i mnóstwo innych naopowiadał rzeczy.

Po obiedzie zaczęły się schodzić z miasta różne damy. Król podwajał swoją wesołość, i nigdy nie był przyjemniejszym i dowcipniejszym, nigdy jeszcze tak wszystkim pięknościom ówczesnego wielkiego świata głowy niepoprzwracał, jak w tym dniu, który miał być może ostatnim dniem jego życia!...

Przybyłe do Pani krakowskiej damy również nie wszystkie wiedziały o krążących pogłoskach, a jeżeli niektóre wiedziały, to nie miały odwagi psuć królowi wybornego jego humoru i nic o tem nie wspominały przed nim.

Po godzinie takiej herkulesowej pracy, jaką miał król zabawiając tyle dam jego dowcipu spragnionych, uznał wreszcie rolę swoją za skończoną, z której był widocznie zadowolony. Widać było po jego uśmiechu, że sam siebie podziwiał, okazawszy tak jasno światu, że oddanie życia

za ojczyznę nie zatruwa mu bynajmniej żadnym żalem ostatnich dni jego.

Słowem, Stanisław August pozował teraz na prawdziwego bohatera. I rolę swoją odegrał wybornie.

Po obiedzie kazał jeszcze stangretowi przejechać kilka pryncypalniejszych ulic miasta, a że ani karetą ani ludzie nie mieli oznak dworskich, to nikt go nie mógł poznać.

Przejazdka ta upoiła duszę jego jakimś dziwnie rokosznem uczuciem. Widział wszędzie przygotowania do jutrzejszej uroczystości. Na twarzach robotników i dogląających właścicieli domów widać było radość i jakiś zapał nieokreślony.

Tu i ówdzie stały kupki mieszczan i szlachty, a wszyscy rozmawiali z jakimś uniesieniem, z otuchą w przyszłość narodu. Często odbiły się o jego uszy słowa: Król z narodem, naród z królem... Wtedy wilżyły się jego oczy, i w tej chwili nie byłby już zdolny grać tylko roli bohatera, ale był w stanie być bohaterem nawet tragicznym!

Dziwnie rozdrażniony, ale przytem rokosznie tem, co widział, upojony wrócił do zamku. Chciał tam odpocząć trochę po wysileniach okazania się wesołym na obiedzie u Pani krakowskiej i wzruszeniach doznanych na ulicach miasta. Chciał odpocząć i nabrać oraz nowych sił do tego, co go jutro czekać miało.

Za godzinę, już nad samym wieczorem, przyszedł do niego podkanclerzy Chreptowicz, i wydawał mu się jakoś bleśdzy niżeli zwykle.

Król przeczuł jakąś niedobłą wiadomość.

Chreptowicz trzymał w ręku depezę świeżo rozpieczętowaną w departamencie.

— Cóż tam waszmość masz w ręce? — zapytał król z udanym spokojem — czy dekret śmierci?

Chreptowicz z zadziwieniem spojrział na króla, że faktycznie odgadł, o co chodzi, ale królowi na to nic nie odpowiedział, tylko w milczeniu owę depezę do rąk podał.

Ręka króla zadrzała trochę, gdy sięgał po ten papier fatalny. Zebrał jednak wszystkie siły i niby z uśmiechem zaczął czytać...

Ale za każdym przeczytanem słowem twarz jego zaczęła blednąć, a ręce widocznie mu drżały... Po kilku chwilach przemienił się król w nieruchomy posąg. Oczy jego ani drgnęły, oddech prawie ustał, a może i tętna bić przestały...

Trwało to chwil kilka. Ocknął się jakby ze snu, otarł czoło, a zadzwoniwszy na Ryxa, kazał mu natychmiast zawołać Potockiego i Piatolego.

Za pół godziny byli już obaj wezwani wraz z Kołłątajem w gabinecie królewskim.

Król w milczeniu, na pozór spokojnie, dał im depezę do czytania.

Potocki rzucił okiem i zmarszczył czoło — Piatoli zagryzł usta.

— Cóż tam jest? — zapytał Kołłątaj, któremu podagra nie dała prędko zbliżyć się do stołu królewskiego.

— Depesza z Wiednia — mówił urywanym głosem Potocki. — Dwór wiedeński, a... czy raczej ksiązę Kaunitz... donosi królowi... że na życie jego ma się odbyć zamach dnia

3. maja w czasie obchodu... zamach ten pochodzi od rewolucjonistów francuzkich... Rząd wiedeński ma na to w ręku wszelkie dowody, że w Sztrasburgu na odbytem posiedzeniu klubu Jakobinów postawiono pytanie: *S'il ne convenait point aux interets de la France d'occasioner un interregne en Pologne, pour donner de l'occupation à la Russie, á la Prusse et á lá Autriche?*...

Tu zrobił Potocki małą pauzę, bo też odczytane słowa wniosku Jakobinów Sztrasburskich były straszne, przejmujące!...

Wszyscy zamilkli, uderzeni prawdopodobieństwem takiego planu, który dla Francyi wobec gotującej się koalicyi trzech mocarstw mógłby przynieść nader korzystne owoce...

„Interregnum“ w Polsce, to znaczy w tej chwili wielka wygrana dla Francyi, to więcej niżeli stotysięczna armia, maszerująca przeciw trzem mocarstwom...

— Pytanie to, streszczał Potocki dalej depezę wiedeńską — zostało w sposób twierdzący rozstrzygnięte!...

Kołątaj uderzył w stół ręką, a Piatoli wstrząsł się cały jako człowiek nadzwyczaj nerwowy.

— Dwór wiedeński... mówił dalej Potocki — radzi jak najusilniej królowi, mieć się w tym dniu na ostrożności, bo nieszczęście, które go spotkać może, może się stać nieszczęściem europejskiem. Nic bowiem łatwiejszego, jak plan ten Jakobinów francuzkich w Polsce wykonać, gdzie tyle żywiłów ku temu...

Nastąpiła długa pauza. Doradcy króla byli widocznie zakłopotani. Niechodzilo tu bowiem o tę lub ową kwestyą polityczną lub administracyjną, ale chodziło o życie czło-



wieka, o życie króla i o straszne, ciemne dotąd następstwa dla Rzeczypospolitej...

Stanisław August widocznie z pewnem wysileniem trzymał się w roli swojej. Usta jego składały się ustawicznie do tego wrodzonego mu uśmiechu wewnętrzznego pokoju, w którym był artystą nieprześcignionym; ale nie mogły jakoś dzisiaj tak się ułożyć, jak tego sobie życzył. Widać było na nich jakieś poruszenia kurczowe, co nadało im wyraz wewnętrznej walki.

— Depesza ta — ozwał się pierwszy Piatoli — depesza ta zdaje mi się... ma jakiś charakter zagadkowy. Jest niby od Kaunitza, a nie jest urzędową... prócz tego dochodzi drogą...

— Są pewne — odparł król dosyć spokojnie — są pewne... delikatnej natury skinienia rządów obcych, którym naumyślnie zaciera się charakter urzędowy, a nawet autentyczny...

— Być może — rzekł Chreptowicz — osobliwie gdy rząd danego mocarstwa związanym jest z drugim, obcem...

Potocki z czołem zmarszczonem spojrział na mówiącego podkanclerza. Zrozumiał to Chreptowicz i urwał nagle.

— Depesza ta — wziął słowo Potocki — utwierdza mnie tylko w tem zdaniu, że pogłoski te mają pewien system i są kierowane jakąś wyższą ręką. Głównie chodzi im o oderwanie króla od narodu, z którym potem, jak z tułowem bez głowy, już sobie dadzą radę nieprzyjaciele nasi.

— Nie tak łatwo, jak sądzicie mości marszałku — odparł gniewnie Kołłątaj. — Jakkolwiek wielkiem nieszczęściem byłoby, gdyby widomą głowę narodu od niego odłączono, jednak naród nie jest bynajmniej tułowem, który bez głowy

żyć przestaje. Naród to gadzina, która pocięta w sztuki żyje w każdej sztuce życiem zupełnem!...

— Nie radzę ks. biskupowi na żadnej gadzinie robić takich eksperymentów — odciął zapalonemu trybunowi Piatoli.

— Radbym tylko wiedzieć — ozwał się Potocki — z jakiego źródła wychodzą te wszystkie alarmujące pogłoski...

W tej chwili Ryx zapowiedział wyższego urzędnika z tak zwanego departamentu.

Wszedłszy do gabinetu urzędnik, skłonił się królowi i obecnym, i na stole położył opieczętowaną depeszę.

Depesza była z Petersburga, od Debolego.

— Cóż tam pisze Deboli? — ciekawie zapytał król i podniósł się z pewną gorączką z krzesła.

Silny rumieniec wystąpił na twarz Potockiego. Z nadzwyczajnem zajęciem przebiegł pismo dosyć obszerne.

— Deboli — zaczął po chwili Potocki — pisze o bardzo ważnych rzeczach... Podaje nam parafrazę przygotowanej deklaracji dworu petersburskiego, jako odpowiedź na przedłożoną wiadomość o konstytucyi trzeciego maja, którą zaraz po obchodzie jutrzejszym ma nam doreczyć minister Bułhaków. Rozumie się, że ta deklaracja zawisła od dnia jutrzejszego, to jest od tego, czy król weźmie w tym obchodzie udział, czy też przez swoją abstynencyą od obchodu dowiedzie, że tej rewolucyi (jak się wyraża instrukcya dla Bułhakowa), przez sejm podstępnie dokonanej, nie akceptuje. Gdyby jednak to nie nastąpiło, to deklaracyą dworu rosyjskiego ma natychmiast doreczyć królowi Bułhaków.. W deklaracji tej są następujące główne punkta: Negocya-cye nasze w Turcyi, przeznaczone wyniesienie magazynów

rosyjskich z granic Polski podczas wojny, areszt archimandryty, sądy nad kupcami moskiewskimi, jakoby niewinnie o bunt oskarżonymi, obraźliwe o Imperatorowej na sejmie gadania, tron sukcesyjny, rząd jakoby monarchiczny, wolność w osobie Suchorzewskiego zdeptana... słowem to wszystko kładzie nam Imperatorowa za grief... za co mogłaby nam wypowiedzieć wojnę; ale tego nie uczyni, tylko do Polski swoim wojskom wniść każe, aby protegować tych Polaków, którzy zrobili w Petersburgu akt skargi na wyż wspomniane punkty... Imperatorowa obiecuje protekcją stosującym się do jej myśli, grozi przeciwnym, żąda zwołania nowego sejmu, przypisując jedynie gwałtowi dzieło trzeciego maja, zaprzysiężenie zaś tej konstytucyi wyobraża jak nie ważne...

W takich słowach skreślił Potocki królowi i obecnym depeszę Debolego.

Sprawiła ona na wszystkich niezmierne wrażenie.

Piatoli z natury nadzwyczaj nerwowy i wrażliwy, drżał cały jakby miał febrę. Po twarzy jego przebiegały ustawicznie płomienie gorączki.

Na pięknem Potockiego czole zawisła jakaś czarna chmura, połyskująca ogniskami piorunu, a pełna twarz Kołłataja trzęsła się od czasu do czasu jakby od ataków epileptycznych.

Król jeden siedział na pozór z pewną apatyą i martwym wzrokiem patrzył przed siebie. Pierś tylko nieregularnie podnosząca się zdradzała jakąś walkę wewnętrzną.

— Przewidywałem od dawna intencye dworu petersburskiego — wziął pierwszy słowo Piatoli, — ale nigdy nie sądzi-

łem, aby Imperatorowa tak jasno i bez ogródki do celu swego zdążyła. Dziś nie ma już wyboru między Scyllą albo Charybdą, trzeba płynąć środkowym prądem! Kto dzisiaj myśli o skutkach dyplomatycznych!, ten poprostu sprawę publiczną zatracą!

— Gwałtem podają nam miecz do ręki — zawołał w uniesieniu Potocki, — ale miecza tego nie schowamy do pochwy. Byłoby to abdykacją narodu, byłoby podłą zdradą!

— Kraj, mianowicie młode jego dzieci, już dawno przewidziały taki obrót rzeczy, i nieulekną się! — dorzucił Kołłątaj.

Po tych słowach spojrzeli wszyscy na króla.

Król milczał jeszcze czas niejaki. Z widocznym wysileniem utrzymywał spokój wewnętrzny. Po chwili ozwał się:

— Więć dwór petersburgski rzuca nam rękawicę za uchwaloną konstytucją trzeciego maja, której skutków zgubnych lęka się i dla siebie. Czyż możebnem jest, aby kraj podejmując tę rękawicę cum bracchio militari, wyszedł zwycięzko z tych zapasów?

— Przyszłość do Boga należy — zawołał pierwszy Kołłątaj, — ale narodowi nie wolno przed spróbowaniem się z nieprzyjacielem wątpić o siłach swoich. Mam to głębokie przekonanie, że kraj ma niespożyte siły w sobie, byle tylko ich nie paraliżować wahaniem się i deliberacją bez celu.

— Jeżeli już wiemy, o co nieprzyjaciółom naszym chodzi — ozwał się ze spokojną lecz niezłamaną energią Potocki, — to byłoby zdradą teraz kłaść się uniznienie na ziemię, gdy kto już z wyciągniętym nożem nad nami stoi! Konstytucya trzeciego maja jest własnością narodu, a kto mu ją chce

odebrać, ten pragnie jego zguby i zatury. Świętym więc naszym obowiązkiem jest przy jutrzejszym obchodzie stanąć przy tem świętem palladium Rzeczypospolitej jako mąż jeden, w szeregach ściśniętych, aby wróg widział, że mamy siłę, która tworzy jedność i zgodę!

— Jeszcze raz mówię — dorzucił Piatoli — alea jacta est! Nie masz tutaj odwrotu. Każdy krok wtył jest krokiem zguby. Najnieszczęśliwszą zawsze była polityka tych narodów, które ustępując krok za krokiem przed nieprzyjacielem choć cośkolwiek ratować chcieli, co się dało jeszcze ratować. Przypomina mi to bajkę o owym poczciwym pasterzu, który nie chcąc, aby mu wilcy trzodę całą wydusiły, dawał im codziennie kilka owiec do pożarcia, zaostozając tylko tym sposobem ich apetyt i ściągając jeszcze innych do obory, która też w końcu cała została skonsumowana.

Nastąpiła długa pauza milczenia. Twarz króla miała widoczne znaki walki, mimo wszelkiego pozorów spokoju i zimnej rozwagi. Ozwał się do Potockiego:

— Czy sądzisz, mości marszałku, że w całym kraju jest ochota i ofiarność do rozprawy orężnej z nieprzyjacielem?

— Zewsząd dochodzą wiadomości o jak najlepszym pod tym względem usposobieniu... w dolnych warstwach jest nawet pewna gorączkowa niecierpliwość...

— Która może się w niewłaściwą stronę obrócić, jeżeli jej prądu sami nie skierujemy! — dokończył Kołłątaj.

— I sił i ochoty i ofiarności nie braknie — rzekł Piatoli — jeżeli tylko u góry dobry przykład będzie i decyzja niewątpliwa... Gdyby WKMość widział dzisiaj pewną scenę u posła Sołtyka...

— Co za scena? — żywo zapytał król — który w tej chwili pragnął silniejszych wrażeń.

Piatoli w żywych kolorach opowiedział, co widział u posła krakowskiego, a opowiedział prawdziwie po mistrzowsku.

Król, którego imaginacja najwięcej ze wszystkich jego przymiotów umysłowych rozwiniętą była, słuchał z coraz większym zapalem szczegółów owego obrazka patryotycznego..

Do tego dołączył jeszcze to, co widział na ulicach Warszawy, i co mu o zapale narodu do króla i konstytucyi ostatniemi czasy nagadano; wszystko to związał w piękny bukiet i widokiem jego napawał się w duchu z widoczną roskoszą.

Po chwili z pięknym wyrazem na twarzy ozwał się:  
— Z tego co tutaj mówicie, widzę, że obowiązkiem moim jest wziąć jutro udział w obchodzie mimo niebezpieczeństwa, które grozi osobie mojej!..

— Miłościwy królu — zawołali wszyscy obecni z oznakami uniesienia — słowa te są godne bohatera! Obyś wytrwał i odniósł zwycięztwo nad wszelką pokusą!

Jeszcze piękniejszy wyraz okraślił twarz królewską. Podniósł się z dumą na krześle, wyciągnął patetycznie prawą rękę do góry i odparł:

— Czyż sądzicie, że w życiu mojem miałem co innego na celu, niżeli dobro Rzeczypospolitej? O gdybym wiedział, że mizerne życie moje może się dla niej stać potrzebą do zbawienia, nie wahałbym się ani na chwilę i chętnie oddałbym ostatnie tchnienie moje... ale z drugiej strony, jeźliby możliwa śmierć moja w chwili, gdy rzecz o sukcesorze moim nie ukończona, miała zesłać na kraj jeszcze zgubniejsze zawichrzenia...

— To co jest, widzimy — przerwał królowi sucho

Piatoli — a to co widzimy, jest straszne! O tem co być może, jeszcze nie wiemy, a możemy się spodziewać, że się wcale nie stanie, jak się WKMość obawiasz.

Król z lekkim wyrzutem spojrział na Piatolego. Rozzewnienie okazało się na jego twarzy.

— Piatoli ma słusność — odrzekł po chwili — tego, co dopiero być może, nie trzeba brać w rachunek. Być może, że grot śmierci jutro mnie dosięże, a być może, że Wszehmocnego prawica zasłoni mnie od niego. Ale od nieprzyjaciół naszych sami siebie tarczą zasłaniać powinniśmy... A gdy naród, jak powiadacie, już z tarczą i mieczem gotowy stoi, to królowi nie wolno jest być mniej odważnym!... Jutro będę na obchodzie, i w waszą opiekę składam życie moje, jeżeli ono jest jeszcze dla Rzeczypospolitej potrzebne... a teraz dajcie mi wolną chwilkę, abym się przygotował na wszystko, co zająć może.

— Wielkość WKMości zadziwia nas — zawołali wszyscy — korzemy się przed nią, a za bezpieczeństwo osoby królewskiej ręczymy własnymi naszymi piersiami.

— A mnie, miłościwy królu — rzekł Kołłątaj — pozwól jeszcze to powiedzieć, że wielkość twoja królewska, jaką w tej chwili okazujesz, jest dla mnie niezbitą rękojmią, że i naród cały jest wielkim w tej mierze, bo w królach objawia się tylko to, co jest w narodach.

Po tych słowach opuścili wszyscy gabinet królewski, a wyszedłszy na ulicę, obaczyli nad sobą rozpiętą opone pogodnej majowej nocy, owej nocy namysłu i mar trwożących, jakiej wychodząc od Sołtyka obawiał się słusnie Ignacy Potocki.

## XXV.

Gdy zajęci tak ważną sprawą dygnitarze Rzeczypospolitej z sieni zamku królewskiego wychodzili, przesunęła się koło nich jakaś zakapturzona postać kobieca, za którą niedosyć spiesznie podążyła jej towarzyszka.

Zakapturzona kobieta minęła główne schody, które prowadziły do pokoiów królewskich i różnych kancelaryi, i skierowała trwożliwe kroki swoje na lewo, gdzie wychodził obszerny, jakiś wilgotne powietrze wydający z siebie korytarz.

Była to część zamku, w której z należących do dworu króla nikt nie mieszkał. Przyparte do kamienice starego miasta, nie miały komnaty tej części zamku żadnego piękniejszego widoku. To też stały po większej części puste i zaniedbane. W niektórych z nich miał Bacciarelli swoje pracownię, w innych złożono tymczasowo zbiór obrazów, z których miał zamiar Stanisław August utworzyć okazałą galerię. W dalszych pustych salach nagromadzono stare, inwentarskie sprzęty, które tutaj tworzyły dziwny, chociaż nie bez pewnej dla patrzących nauki, chaos bezładu. Stare lamy, złoczone krzesła, połamane trony, zardzewiałe broje dawnych królów i hetmanów, wszystko to leżało bez naj-



mniejszego porządku obok siebie jakby pomarłe wieki, które w olbrzymich kształtach swoich objawiały patrzącym na nie jakąś dziwną ironią i smutek...

Jedna z takich sal, zaraz po pracowni Bacciarellego, przeznaczoną była dla jego uczniów, z których on nawet później szkołę malarstwa utworzył. Stały w tej sali sztalugi i różne modele, stare sprzęty i odlewy gipsowe różnych grup zwierząt i ludzi.

Wszystkie okna tej sali były deskami pozabijane, prócz jednego, które pracującym wewnątrz uczniom nadawało czyste, uregulowane światło, jakiego każdy model potrzebuje.

Drugie, maleńkie okienko było u góry, zaledwie z dołu widzialne. Zdaje się, że pierwotne przeznaczenie tego okienka, które na górny korytarzyk boczny wychodziło, było poprostu odświeżanie powietrza, które wyziewami z wilgotnych murów prędko się zanieczyszczało. Była jednak rozpowszechniona opinia, że przez to okienko przypatrywał się czasem król malującemu Bacciarellemu, gdy miał przed sobą modele kobiece, pozujące mu do różnych scen mitologicznych.

Pracownia ta miała w tej chwili jedyne okno swoje, które wychodziło ukośnie ku ulicy świętojańskiej i brzegom Wisły, starannie zasłonięne. Noc ciemna panowała w jej szerokich przestrzeniach. Tylko jedna lampa, osłonięna z trzech stron rewerberem, rzucała czerwoniawe światło na jakąś postać fantastyczną, którą trudno było rozpoznać.

Przy tej na wyniosłym tronie siedzącej postaci krzątała się druga postać o długich, czarnych włosach, w stroju napół włoskim napół polskim.

Drzwi sali otworzyły się zcicha, a zakapturzona kobieta spiesznym krokiem weszła i jakby z siłą opadła, rzuciła się na pierwsze krzesło, które w drodze spotkała. Za nią wolniejszym krokiem postępowała stara jej towarzyska.

— Umieram ze strachu! — zawołała zcicha zakapturzona, i zasłoniła białymi rączkami oczy.

— Julito! — ozwał się wtedy człowiek o długich włosach, i z lampą w ręku zbliżył się do niej.

— Pst — odpowiedziała i ręką zrobiła znak milczenia — echo tych ścian dziwnie powtórzyło to imię!.. Gdyby ktoś słyszał!... Patrz jak mi serce bije, mój drogi Rafale!

Szambelanowa wzięła rękę malarza i zbliżyła ją do swego serca, które rzeczywiście biło gwałtownie.

— Powiedz mi, mój drogi — szeptała półgłosem — dlaczego kobieta wtedy jest najszczęśliwszą, gdy drzy o szczęście swoje?

Malarz trzymał ją chwilę za rękę, a oświecając lampą jej białą twarz, z której teraz kaptur zsunął się na złote włosy, patrzył w zachwyceniu na te duże, iskrzące się oczy.

— Prawdziwe szczęście — rzekł po chwili nachylając się nad jej twarzą — jest jak pogodny dzień lipcowy, w którym niebo jest spokojne i czyste bez żadnej chmurki... my jesteśmy dopiero w dniach kwietnia, w których naprzemian słońce się uśmiecha, śnieg pruszy i niebo błyskawicami nas trwoży... Ale dni te niestałej i kapryśnej pogody przeminą, a nastąpi dla nas pogoda życia stała i niczem niezamacona...

— Drogi — przerwała z gorączką młoda kobieta — nie kończ tego obrazu, bo nie znasz kobiety!.. Poźniej powiem ci coś, a teraz chodźmy... w jakiej pozie mam stanąć?..

Rafał przytwierdził lampę w ten sposób, aby skoncentrowane jej światło padało na duże płótno, które wyprężone blejtrzem stało na sztalugach. Potem wziął szambelanową za białą rączkę i zbliżył się z nią do wspaniałego tronu, na którym siedział manekin ubrany w purpurę królewską.

Miały to być modele do transparentu, który wymalować przyrzekł wczoraj w ogrodzie Saskim podczas poetycznej przechadzki śród nocy księżycowej... Szambelanowa miała przedstawiać ojczyznę z potarganemi kajdanami, podczas gdy król Stanisław August konstytucyą trzeciego maja podpisywał...

Rafał przygotował już wszystko do tego. Na jakiś stary, prawdopodobnie Jagiellonów tron, narzucił materyą z żółtego brokatu, a manekina ubrał w mundur królewski, jaki zwykł nosić Stanisław August, i narzucił mu na barki płaszcz purpurowy, białem futrem podszyty.

Przy tym tronie, jakby widmo jakie wychylające się z poza ramion króla, ustawił w pozie fantastycznej piękną szambelanową, która na podniesionych ku niebu rękach miała szczątki potarganych więzów...

Ułożywszy należycie wszystkie draperye, zaczął szybko rysować. Twarz, postać królewską miał już gotowe.

W obszernej sali była podczas tego cisza grobowa. Oprócz jaskrawie oświetlonych modeli i płótna, w całej przestrzeni była ciemność smutna, jednostajna. Towarzyszka

szambelanowej siedziała napół drzemiąca w ciemnym rogu sali.

Długi czas panowało głębokie milczenie. Czasami tylko jakieś pieszotliwe słówko wymknęło się z półotwartych różowych usteczek modelu, i powoli i coraz ciszej błakając się po ciemnych kątach pustej sali niknęło, jak dźwięczny harfy akord znika wśród szmeru oddalonej fali...

— Zlituj się — szeptał model — gdyby nas kto tutaj widział!..

— Nikt nas nie obaczy—odparł cicho malarz—wszystkie okna starannie zasłonię... znikąd do tej sali nie ma przystępu.

— Czuję dziwną trwogę... czy jeszcze długo?

— Zaraz się skończy... odsłoń więcej to białe ramię

— Zdaje mi się, że słyszę jakieś kroki...

— To służba królewska chodzi po górnych korytarzach.

— Wczoraj nie miałam żadnej trwogi, ale dzisiaj...

— Dlaczegoż dzisiaj?... odkryj wyżej tę piękną nóżkę... dlaczegoż dzisiaj czujesz większą trwogę?

— Potem ci na to odpowiem... Chmurki przeznaczeń trzeba jak najdłużej spychać z jasnego nieba szczęścia!..

— Słowa twoje trwożą mnie dzisiaj!.. Ścieśnij węzeł szaty poniżej ramienia... Zkądże dzisiaj te dziwne zagadki?

— Całe życie nasze składa się z samych zagadek!.. Czy tak dosyć, czy więcej ramię odsłonić?

— Szczęście i wdzięki nie mają granic... ale w sztuce są te wdzięki najpowabniejsze, które ona zawistnie przesłaniać umie. Dlaczego dzisiaj jesteś taka smutna?

— Myślę o przyszłości naszej.

— Czyż ta jest jeszcze niepewna?

— Przeciwnie — stoimy na progu nowych zachwyków, a to właśnie nasuwa mi różne myśli.

— Nie, dzisiaj dobrze nie mogę cię rozumieć.

— Bo dusza twoja mieści się teraz cała w oku.

— Prawda, któż nie chciałby całego życia swego w oczy spotęgować, mając ciebie przed sobą?..

Tutaj dały się słyszyć kroki jakby nad nimi.

— Cóż to jest? — z trwogą wyszepnęła szambelanowa.

— Sam nie wiem — odparł zadziwiony nieco malarz — tam są próżne komnaty, o tej porze nikt tam nie chodzi!

Ktoś wyraźnie odmierzonym krokiem stąpał po suficie... Po chwili zdawało się, że te kroki zniżają się coraz więcej, jakby kto po schodach schodził...

Szambelanowa zapała oddech w piersiach, malarz zmarszczył brwi i z pewną trwogą obejrzał się po pustej, ciemnej sali.

Była już późna godzina. Nikt o tej porze niezwykły po tej stronie zamku chodzić. Cożby to być mogło?..

Wreszcie jakiś głuchy dźwięk szklany dał się słyszeć...

Malarz i szambelanowa wyteżyli ucho...

— Czy słyszałeś? — szepnęła w śmiertelnej trwodze.

— Słyszałem... ale to przeciąg wiatru w niedopartą szybę...

Brzęk szkła powtórzył się znowu.

— To nie przeciąg — wyszepnęła szambelanowa — umieram ze strachu...

— Tu nie ma żadnych strachów! — uspokajał ją malarz.

— Ludzie gorsi od strachów!... Czy długo jeszcze?

Tu już wyraźnie było słyhać, jakby ktoś chciał okno otwierać...

Szambelanowa szybko zgasiła lampę, która przy niej wisiała.. ciemność grobowa ogarnęła wszystko...

Gdzieś u góry wyraźnie teraz zaskrzypiało okno...

Szambelanowa rzuciła się nawpół omdlała w objęcia malarza.

— Ile ja dla ciebie poświęcam! — szepnęła mu gorącym oddechem do ucha.

Malarz na to nie odpowiedział ani słowa... ciemność okryła tę odpowiedź w swoje szaty tajemnicze...

— Uchodźmy ztąd! — wyszepnęła po niejkiej chwili szambelanowa — uchodźmy, potrzebuję powietrza i nieba gwiazdzistego nad sobą!

Wymówiwszy te słowa z przerywanym oddechem pociągnęła go ku drzwiom, gdzie drzémała na krześle jej towarzyszka.

Zbudzona towarzyszka ostrożnie wśród ciemności wyszła wraz z nimi na ciemny korytarzyk, z którego boczną furtką dostali się wszyscy na ulicę.

Na ulicy było już pusto i cicho. Tylko w oknach gabinetu królewskiego było jeszcze światło...

— Król jeszcze czuwa! — rzekła z głębokim oddechem szambelanowa.

— Jutro czeka go trudna rola! — odparł Rafał i zadumał się.

Szli w milczeniu dalej obok siebie. Szambelanowa oddychała pełną piersią, bo powietrze było wonne, zaprawione wonią kwitnącego niedaleko ogrodu Saskiego.

— Obiecałam ci, mój drogi, coś zwiastować — ozwała się szambelanowa, gdy już minęli statuę Zygmunta.

— Słucham cię — odparł Rafał z jakimś niedobrem przecuciem.

— Od jutra miłość nasza wchodzi w nową konstelację!

— Czy masz już w rękach rozwód?

— Rozwód?.. Któż w takiej chwili o rozwodzie, księdzu i organiście mówi?

— Przepraszam cię, miałem to przypadkiem na myśli!

— Ja ci lepszą nowinę powiem, niż wiadomość o rozwodzie!

— Lepszą nowinę? Cóż może być lepszego...

— Mój mąż powrócił!

— Twój mąż?.. Dlaczegoż jeszcze nazywasz go swoim mężem?

— Jest znowu szambelanem i dostał starostwo tytułem dawnych pretensyi...

Rafał stanął jak wryty.

— Cóż ci mój drogi?.. Czyż ci to tak wielką radość sprawia?

— Twoich słów nie mogę zrozumieć!

— Są jasne i proste. Mąż mój przyjechał, ma zaszczyty i fortunę, czyż to nie jest jeszcze dla ciebie zrozumiałe?

— Przecież nie zechcesz z nim się znowu połączyć!

— Nic naturalniejszego!

— Więc mnie nie kochasz?

— Wyobrażam sobie, że jeszcze bardziej kochać cię będę!

Rafał stanął i chwycił się za czoło, jakby rozum nagle stracił. W sercu zaboląło go okropnie, jakby kto w niem nóż utopił.

— Dziecko jesteś, mój drogi — mówiła pieszczotliwie romantyczna kobieta — czy mnie nie rozumiesz, czy nie chcesz rozumieć?

Rafał spojrział na nią okiem martwym czekając dalszych jej słów.

— Czyż cię miłość moja nie uszczęśliwia? — rzekła po chwili.

— Jest ona całym życiem mojem! — odparł namiętnie Rafał.

— Otóż nie cieszysz się z tego, że ta miłość będzie jeszcze słodsza dla nas teraz, gdy trzeba będzie chwile dla niej ze strachem wykradać? Szambelan jest podejrzliwy...

— Ależ zlituj się, co mówisz!

— Czemże jest miłość u ciebie? Czy to nazywasz miłością, jeżeli ksiądz ręce stułą obwiąże, a organista na organach zagra? Czyż to nazywasz miłością, jeżeli dwoje ludzi razem mieszkają i codziennie obiad i śniadanie z sobą jedzą?..

Rafał patrzył z najwyższem zdziwieniem na romantyczną kobietę, która tak szczególne miała wyobrażenie o miłości..

— Posłuchaj, mój drogi, niech ci się jaśniej wytłumaczę. Ty mnie kochasz, to prawda, ale powiedz, co ty we mnie kochasz? O znam ja podobnych ludzi do ciebie. Wy, którzy macie więcej może fantazyi od innych, kochacie w kobiecie to, co ją otacza, to jest jej atmosferę wykwintną, jej stosunki światowe, ekwipaże i służbę; a gdyby tego nie miała, możeby wasze oko na nią nie spojrzało!.. Czybyś mnie kochał, gdybym ja była ubogą, na poddaszu mieszkającą kobietą? Czemuż do tych biednych istot nie wzdychacie ani ód nie wygłaszacie?.. A ja, wierzaj mi, z moich salonów pierwszopiętrowych musiałabym wkrótce wyleźć na poddasze, bo moje fundusze już się wy-



czyrpały, i zostać zupełnie zwykłą, prostą kobietą, któraby nawet ostatków wdzięków swoich niczem podnieść nie mogła!...

— Jabym cię nigdy kochać nie przestał! — stłumionym głosem wyrzekł biedny malarz.

— To są piękne słówka, ja mam już doświadczenie. Patrz na tysiące biednych kobiet, dla czegoż ich nie kochacie?.. Nie, mój drogi. Cały mój urok dla ciebie jest to, co mnie otacza!..

— Wyrządzasz mnie krzywdę!

— Mam doświadczenie, słuchaj mnie. Miłość jest wtedy tylko szczęściem, gdy jej momenty życia wykładać trzeba. Otóż taką miłością odtąd żyć będziemy... ja cię kochać nie przestanę!

— Przecież starałaś się tak usilnie o rozwód...

— Bo gdy mąż stracił fortunę, a książę\*\*\* dał mi do poznania...

— Jakto, chciałaś iść za księciem... a powiadasz że mnie kochasz?..

— Chciałam pójść za księciem, aby cię miłością moją tem więcej uszczęśliwić!

— Zlituj się, cóż to za straszne wyobrażenia!

— Dzisiaj każda z nas ma takie wyobrażenia!.. Każda kobieta dzieli się dzisiaj na dwie części, jedną żyje dla świata, w który ją rzucił przypadek, a drugą szuka sobie tego, czego jej tamten świat dać nie może!..

Rafał spuścił głowę jak winowajca na śmierć skazany.

W tej chwili stanęli u bramy domu, w którym szambelanowa mieszkała. Rafał wcale się jeszcze nie ocknął z swoich myśli.

Tymczasem szambelanowa zbliżyła się do niego i kładąc na jego czole pocałunek, rzekła pieszczotliwym głosem:

— Idź spać marzycielu i nie umieraj z zazdrości, jeśli jutro obaczysz mnie z mężem moim w dworskiej karecie...

Tutaj towarzyszka otworzyła bramę, a szeleszcząca suknia szambelanowej zniknęła w ciemnej sieni.

Rafał puścił się ulicą prawie bezprzytomny. Z wysokości marzeń swoich spadł nagle gdzieś aż na dno piekła, jak pyszni strąceni z nieba aniołowie...

Szedł prostą drogą, szedł bez końca, aż wreszcie instynktem prawie wiedziony stanął przed małym domkiem na Rybakach.

W małym domku już wszyscy spali, tylko jak zwykle w jednym okienku było światło.

Gdy Rafał do drzwi zapukał, wyszła z kagańcem blada dziewczyna do sieni.

— Czy jeszcze nie spisz? — jak zwykle zapytał Rafał.

— A któżby wam drzwi otworzył i poświecił? — odpowiedziała dziewczyna.

Rafał wszedł za dziewczyną do izby, która, jak to było jej zwyczajem, przy oknie usiadła. On usiadł na kufku i dziwnem okiem w nią się wpatrzył. A w tej chwili przyszły mu na myśl słowa wyrzeczone przez szambelanowę:

Jest tyle biednych kobiet, dlaczego ich nie kochacie?..

Na wspomnienie tych słów puściły mu się łzy z oczu.

W oczach bladej dziewczyny zaszklily się także dwa jaśniejsze światła...

## XXVI.

Ubogi i wspaniały domek na Rybakach zamek królewski miały w tej chwili wiele podobieństwa. Tu i tam upływała noc, zwolna wskazówki na zegarze posuwały się nader leniwie; tu i tam liczono chwile tej nocy bolesnym tętnem serca, karmiącego się wspomnieniem tego, co było, a obawą tego, co będzie....

Zaraz po wyjściu Potockiego, Kołłątaja i Piatolego, zamknął się król w swoim gabinecie i nakazał, aby nikogo nie puszczano do niego.

Długi czas siedział w krześle nieruchomie, jakby był posągiem z marmuru.

Patrzył przed siebie okiem wyteżonym, jakby coś widział w powietrzu. Czasami tylko smutny uśmiech przebiegł po jego twarzy.

Po niejakiem czasie jaśniej zrobiło się przed nim. Począł powoli obejmować całe swoje i kraju położenie.

Najprzód po otrzymanych listach z Wiednia od księżnej marszałkowej, a mianowicie po depeszy, która niby od samego Kaunitza pochodzić miała, nie miał najmniejszej niepewności, że dzień jutrzejszy będzie ostatnim dniem jego życia.

Ruchliwa jego wyobraźnia przedstawiała mu już ów moment fatalny z wszystkimi akcesoryami, w jakie zazwyczaj ubiera się mord i zbrodnia...

Przyrodzone, ludzkie uczucie wzdrygnęło się na widok tego strasznego momentu, który nawet wychodzi poza granice wszelkiej tragiczności...

Ale ratunku nie było! Sprawa kraju wymagała tego koniecznie, aby dobrowolnie stanął na cel ręki zbrodniczej.

Inaczej być nie mogło! Nieobecność jego podczas jutrzejszego obchodu potrąciłaby odrazu kraj w przepaść bezgłębną, dałaby do ręki broń wszystkim ukrytym nieprzyjaciółom; Europa miałaby dowód, że król nie jest w zgodzie z narodem... a jedności tej i zgody przedewszystkiem dzisiaj potrzeba, gdy wojska cudzoziemskie grożą wkroczeniem i nowym zaborem...

Stanisław August odetchnął pełną piersią, a twarz jego zadrgnęła boleśnem uczuciem...

Wnet jednak wyprostował się, a zobaczywszy postać swoją królewską w zwierciadle, wpatrzył się w nią z pewnem upodobaniem.

Piękne, szlachetne uczucie malowało się teraz na jego twarzy. Oczy zajaśniały żywszym blaskiem... wyobrażał sobie w tej chwili, że poświęcając się za dobro kraju, stanie się wielkim, pierwszym bohaterem...

A jakże to nie uczuć żądy bohaterstwa, jeżeli cały naród pała dzisiaj taką żądzą? Czyż ma on być niższym od prostych ludzi Sołtyka, którzy grosz swój ostatni oddali na ratunek ojczyzny? Czyż król ma w tyle pozostać od tych, którzy co dopiero przyjęci do usług Rzeczypospo-

litej płacą świętym ogniem poświęcenia, życie swe i mienie niosąc w ofierze?...

Czyż miałby tylko on sam jeden, jak twierdzili Piattoli z Potockim, być odstępcą narodowego odrodzenia się?... Czyż właściwie nie przystoi jemu przeprowadzić narodowi w jego szlachetnym zapale?...

Obchód jutrzejszy ma być wielkim aktem politycznym; czyż ma on niżyc go nieobecnością swoją do niezdarnej karykatury motłochu i kilku krzykaczy? Czemże się stanie podówczas owa „carta magna“ Rzeczypospolitej, konstytucya trzeciego maja, która tyle trudu kosztowała? Czyż ma on sam, swoją ręką królewską rozedrzeć tę kartę i tryumfującym wrogom rzucić jej szczątki na pastwę?... Czyż król ma być pierwszym zbiegiem z armii narodowej dla tego, że ktoś do niego wymierzyć może?...

Nie, toby był wstyd i hańba na wszystkie wieki potomne! Pamięć takiego króla przeklinanoby w dziesiątem pokoleniu, ulicznicy wzięliby go do szopek swoich obok Heroda i Piłata, i straszyliby nim dzieci i prostaczków, spiewając: Oto król Stanisław August...

Do czegoż zmierza grożąca deklaracya Imperatorowej... zwłaszcza po tylu doświadczeniach?...

Czyż nie jest to jedyny ratunek kraju, jeżeli król i naród staną wobec tych pogróżek silnie razem jako mąż jeden?... Czyż inaczej być może? Czyż już niezzerwano wszelkiej możności transakcyi?

Tu późno cofać się!...

Jakaż droga pozostaje? Naprzód iść, naprzód w imię Boga, z ufnością w Jego wszechmoc i w potęgę własną...

Innej drogi nie ma, każda inna jest przegraną, a kto na nią wchodzi, jest odstępcą i zdrajcą!...

Przy tych ostatnich myślach rzeczywiście wspaniale wyglądał Stanisław August. Twarz jego pełna i zazwyczaj apatyczna okraszała się rumieńcem szlchetnego zapału, w oczach rozświecił się blask wielkiej, podniosłej żądz... cała postać jego dziwnie ożywiła się.

Wstał z krzesła i dumnym krokiem bohatera przeszedł się kilka razy po komnacie. Przystąpił do okna i spojrzął na gwiazdzone niebo nocy, które dzisiaj było dla niego, jakoś dosyć czytelne.

Tam te gwiazdy mrugające do niego, to pismo boże, jakie jasno czyta człowiek, gdy wznioślejszem uczuciem zbliża się do Boga.

Tam szukali dawni astrologowie losów ludzkich, a on w tej chwili widział tam tylko imiona bohaterów, którzy umieli poświęcać się dla jakiej myśli wielkiej i wspaniałej... A czyż może być coś wznioślejszego nad miłość ojczyzny, nad poświęcenie się za nią?

Ale ta noc... ta noc jest może ostatnią jego życia!...

A cóż ma więcej życie przynieść nadto, co mu już dało? Czyż nie lepiej umrzeć w porę, z zielonym laurem na głowie, niżeli powoli chylić się do grobu jak połamana próchnem świecąca drzewina?

Stanisław August przeszedł się znowu kilka razy po komnacie.

Kroki jego usłyszał czuwający pod drzwiami Ryx.

Ostrożnie otworzył drzwi i oznajmił królowi, że Pani Krakowska i generałowa Grabowska już dłuższy czas czekają na niego w żółtym pokoju...

Żółty pokój! Cóż to za słowo czarowne!... Ileżto wspomnień wiąże się do tego ulubionego żółtego pokoju!.. Jakże ten pokój o żółtych adamaszkowych obiciach wielce do życia przywiązuje!...

Chwilę wahał się król... wkrótce jednak otworzył drzwi i wyszedł.

W swoim pokoju zastał, prócz siostry swojej i genera-  
lowej, obywatela Minschowa.  
Generałowa Gradowska była smutniejsza niż zwykle. Trzy-  
miesiątka przed oczyma i płakała płaczem apasmaty-  
cznym.  
Nad nią pochyliła się Minschowa z jakimś łasko-  
wym w celu, aby ją trzeźwić, gdyż co moment w otulinie  
wpadała.  
Minschowa na stronie rozmawiała, nadwyszczał żywo  
z Panią Karowską. Oczyma i głową przywracała potężnie,  
jakby chciał sztytem przesiedzieć Pani Karowską, każdemu  
razem ulegała się z trzęsieniem i jego potężniejszego  
nawet Minschowa w zapalczywie nawał, klaszcząc sobie na  
czoło. Gdy Stanisław August wyjechał, sztytem obaczęła  
stała na chwilę, a wyraz jego twarzy, przed chwilą tak  
niekiedy i exaltacja, zmienił się. Na czoło wystąpiły  
kamaszki, usta skrzywiły się jakby od gorzkości, a oczy  
przygasały i świeciły tylko, jak świeci próchno w nocy.  
Była to chwila uciążliwych rozmyślań.  
Lecz za chwilę wyprostowała się znów postać kró-  
lewska, a twarz wróciła do dawnego, exaltowanego wyrazu.  
Przybyła jej nawet w tej chwili coś wesołości.

## XXVII.

**W** złotym pokoju zastał, prócz siostry swojej i generałowej, obojga Mniszchów.

Generałowa Grabowska była śmiertelnie blada. Trzymała chustkę przed oczyma i płakała płaczem spazmatycznym.

Nad nią pochyliła się Mniszchowa z jakimś flakonikiem w celu, aby ją trzeźwić, gdyż co moment w omdlenie wpadała.

Mniszech na stronie rozmawiał nadzwyczaj żywo z Panią Krakowską. Czynił ręką prawą takie poruszenia, jakby chciał sztyletem przebić. Pani Krakowska każdym razem uchylała się z twarzą od tego poruszenia czego nawet Mniszech w zapale nie uważał.

Gdy Stanisław August z progu tę scenę obaczył, stanął na chwilę, a wyraz jego twarzy, przed chwilą tak piękny i szlachetny, zmienił się. Na czoło wystąpiły zmarszczki, usta skrzywiły się jakby od gorączki, a oczy przygasły i świeciły tylko, jak świeci próchno w nocy...

Była to chwila uczuć egoistycznych...

Lecz za chwilę wyprostowała się znowu postać królewska, a twarz wróciła do dawnego, szlachetnego wyrazu. Przybyło jej nawet w tej chwili coś wesołości...



— Cóż to jest? — zapytał z uśmiechem, — czy przedstawicie „Płaczące niewiasty?”

Pierwsza Pani Krakowska spostrzegła króla. Rzuciła się na niego z głośnym płaczem.

— Królu! — zaszlochała — królu, czy to prawda co mówią? Czy to być może?... Czyż sam chcesz, aby dzisiejsza noc była ostatnią życia twego?...

Uspokoj się siostrze, — odrzekł król spokojnie, — wszystko stać się może, bo u Boga nie ma nic niepodobnego... a nawet i to, że noc dzisiejsza może być ostatnią nocą mego życia!... Ale pozwólcie mi, aby ta noc, która ma być ostatnią nocą króla, była nocą prawdziwie królewską!... Precz z małodusznością!

— Królu — wśród płaczu ozwała się generałowa — czy chcesz, abyśmy z tobą pomarli?

Stanisław August z gorączkowym rumieńcem a słodkim uśmiechem zbliżył się do przyjaciółki dobrych i złych dni życia swego, wziął ją za rękę i rzekł:

— Mości Hrabino! W młodości mojej uczono mnie, że ludzie poświęcają się dla innych w tej myśli, aby im przez swą śmierć jakąś korzyść przynieść... Jeżeli ja umrę, to dla was, abyście wy żyli!...

Tu głos jego zadrzał... podniósł rękę generałowej do ust.. i tak chwil kilka trzymał ją...

Mniszchowa wzięła go za drugą rękę i rzekła:

— Jeżeli WKMość wiesz z pewnością o jutrzejszym zamachu, to pocóż iść na obchód? Niech się cieszą jutro ci, którzy się z czego cieszyć mają!

— Wy dnia jutrzejszego nie pojmujecie! — odparł król.

— Byłoby to szaleństwem z twojej strony, królu — ozwała się Pani Krakowska, — gdybyś dobrowolnie życie jutro naraził!

— Być może, że to szaleństwo, — odpowiedział smutno król; — mówią, że tylko szlachetnego serca ludzie popadają w szaleństwo i mieszkają potem między waryatami. —

Mniszchowa spojrzała na męża. Nie mogła pojąć słów króla. Zdawało się jej, że król już mówi od rzeczy...

Zbliżył się do króla Mniszech i rzekł:

— Miłościwy królu! Wiem, że taka chwila w życiu człowieka jest wielką chwilą, która mu każe żegnać życie i wędrować w krainę nieznaną... Jeżeli dla zwykłego człowieka jest taką ta chwila, czemże musi być dla króla, który nagle cały naród osieroca!... Czyż królu zważyłeś na to?

— Wszystko zważyłem — odparł krótko król — inaczej być nie może!

— Więc chcesz nas królu wszystkich w żalobę pogrążyć... nas twoich najbliższych i całą Rzeczpospolitą?...

— Przeciwnie, chce was pocieszyć tem wspomnieniem, żeście mieli króla i przyjaciela, który nie uląkł się śmierci, gdy tego żądał *salus reipublicae*!

Wszystkie trzy kobiety zaczęły w głos płakać. Król ze łzami spojrział na nich. Uśmiechnął się boleśnie i rzekł:

— Płacz wasz, to ciernie, które mi na ostatek drogi pod nogi rzucacie! Czyż to się godzi?

Na te słowa generałowa odsłoniła oczy zapłakane i uśmiechnęła się niemi do króla przez łzy z tym dziwnym, demonicznym urokiem, jakim mimo lat dojrzałych umiała zawsze trafić do serca Stanisława Augusta.

— Tak, tak, — odparł z widoczną radością król, — z taką twarzą to rad was widzę i rad z wami rozmawiam!...

— Gdyby tylko ta noc nie była ostatnią!—szlochała pani Krakowska.

— Oby była ostatnią mego życia, po której mają nastąpić dni jasne i słoneczne!— odparł król z uśmiechem.

Ta napoły rzewna, napoły dowcipna odpowiedź króla wprowadziła obecnych w jakiś weselszy humor.

Rozmawiano bardzo wiele o dniu jutrzejszym. Rozbie-rano krytycznie wszystkie listy i depesze, i starano się dociec w nich prawdziwego znaczenia. Mówiono przeciw i za koniecznością obecności króla na jutrzejszym obchodzie, rozciągano niebezpieczeństwo do olbrzymich rozmiarów, to znowu ściągano je do małoznaczącej obawy. Słowem, stosownie do uczuć, jakie mówiącymi miały, zapatrywano się na jutrzejsze wypadki i możliwe ztąd konsekwencje.

Król w żywej rozmowie zdawał się zapominać o jutrzejszem niebezpieczeństwie, usiłując mianowicie przed kobietami zmniejszyć je o ile można było. Nie odstąpił jednak od zamiaru wzięcia udziału w jutrzejszej uroczystości, co uważał za swój obowiązek.

Potem nadeszli jeszcze inni krewni i przyjaciele. Przyszedł Prymas, brat króla, Czartoryski Stanisław, Małachowski i Kazimierz Sapieha i inni.

Wszyscy podali za powód tak późnych odwiedzin krążące po mieście pogłoski o dniu jutrzejszym.

Król był nadzwyczaj rad tym odwiedzinom.

W charakterze swoim miał Stanisław August wielką słabość do pewnych teatralnych efektów.

Zgromadzenie tak liczne podnieciło w nim uczucie bohaterskie, jakie właśnie pierś jego napełniało. Miał widzów,

a wystąpienie wobec nich dodawało mu energii i pomnażało w nim adoracją samego siebie.

Rozmowy teraz zawiązały się dłuższe. Ponieważ obecni do różnych obozów należeli, to i rozmowy przybrały wkrótce charakter nader żywy, polemiczny.

Przyczyniło się to do podniesienia energii w królu. Musiał bowiem gorącą walkę stoczyć z bratem, Prymasem, który konstytucji wcale nie sprzyjał, i nawet sam nie chciał jutro brać udziału w obchodzie.

Z natury rzeczy wypadało królowi bronić konstytucji i jutrzejszego jej obchodu, a gorąca walka przy rozdrażnionym już i tak umyśle uniosła go tak daleko że każdego nazwał zdrajcą i odstępcą, ktoby śmiał przez jutrzejszą abstynencją wydać w obec wrogów i Europy świadecwo, że w narodzie nie ma ani zgody ani jedności!

Wymówione przez króla słowa padły całym ciężarem na niego i odcięły mu zupełnie możliwy odwrót, jeźliby go chciał tentować.

Do tego przyczynili się jeszcze inni obecni, a mianowicie marszałek litewski, Kazimierz Sapieha, człowiek młody i zapalony, który rad zawsze przebywał w ostatecznościach życia. Każda namiętność zapalała go całego, i w tej chwili prócz tej namiętności nic innego nie widział. Sławny orator, ognistego umysłu, umiał każdy przedmiot z najjaskrawszej strony pochwycić, i w słuchających wlać przekonanie, jakie sam miał.

To też podjąwszy znaczenie dnia jutrzejszego, tyle ognistych słów rzucił królowi, taki przerażający obraz roztoczył przed nim, gdyby konstytucją trzeciego maja zachwiana była, a stronnicy Imperatorowej do steru przy-

szli, że Stanisław August już wszelką wątpliwość stracił, jakaby go w jutrzejszych zamiarach jego najść mogła.

Miękkiego usposobienia królowi przybyło tym sposobem hartu, na jakiby się może nie był zdobył, gdyby go zostawiono między płaczącymi kobietami. Chociaż i tak podniósł on się już do wysokości bohaterskiej w swoim sposobie, któraby się może zachwiała, nimby kur po raz trzeci zapiął...

Kiedy król już spostrzegł, że cała rozmowa na tem się zatrzymała, iż jutrzejszej uroczystości żadną abstynencyą psuć nie można, w czem nawet i niechętny dotąd Prymas się zgodził, uznał teraz za stosowne uzupełnić rolę swoją, która już i tak stała się nieodwołalną

Chciał przedewszystkiem okazać moc ducha i spokój, potrzebny każdemu wyższemu bohaterowi.

Zostawiwszy więc wszystkie rzeczy polityczne na boku, przeszedł w humor nadzwyczaj wesoły, jakby dzień jutrzejszy miał być podobny do każdego innego dnia.

Opowiedział zgromadzonym kilka pociesznych anegdotek, dodał do nich kilka wypadków z własnego życia, i śmiał się nad tem, co opowiadał, tak serdecznie, jakby miał przed sobą najszcześniejszą przyszłość!...

Kobiety jakoś rozweseliły się także, a stojący nieco na boku widzowie podziwiali króla, który w tej może ostatniej nocy swojej potrafi utrzymać tak dobry humor, świadczący o sile jego woli i charakteru.

Król widział tę radość i bardzo tem był zadowolony. Były to niejako oklaski dla aktora, grającego genialnie rolę swoją. Ale odtąd tak się przejął rolę swoją, że już nie mógł jej zmienić!...

Po dosyć ożywionej wieczerzy rzekł król do Mniszchowej:

— Opowiadał mnie niegdyś marszałek, że starając się o serce pani, upojony był wielkopolskimi spiewkami, jakie mu pani przy klawikorcie spiewałaś... Spragniony jestem w tej chwili jakiej nuty wielkopolskiej, chciałbym aby zaleciała do mnie z tej kolebki narodu naszego... Śmierć jest również kolebką nowego życia, wyszepnął ciżej jakby do siebie.

Mniszchowa chciała zatrzeć wrażenie ostatnich słów królewskich, usiadła prędko do klawikortu i zaczęła spiewać.

Spiewała jakąś smutną i rzewną pieśń kochającego szlachcica w kontuszu, który potem ten kontusz na habit klasztorny zamienia...

Król słuchał pieśni z wielką uwagą. Miejscami dawał znak głową i giestami, że mu się bardzo podoba. —

Po odspiewanej pieśni wielkopolskiej ozwał się znowu:

— Chciałbym dzisiaj słyszeć wszystkie nuty ziem Reczypospolitej! Mam wielkie ku temu pragnienie, ale wiele ziem nie może mi dzisiaj dosłać spiewów swoich... Małopolskie, ukraińskie dumki bardzo lubię. Podnoszą one serce i duszę, a słuchający staje się lepszym... Jest jakaś dziwna woń w tych spiewach smutnych i melancholijnych... Szkoda, nie mogę ich słyszeć... Tarnowska spiewa je wybornie.

A kiedy spostrzegł, że Pani Krakowska generałową do czegoś namawia, a mniemał, że do ukraińskich piosnek, zwrócił się do nich i rzekł:

— Nie namawiaj, droga siostrzo, generałowej do śpiewów ukraińskich. Od niej właśnie chcę usłyszeć muzykę inną, chcę usłyszeć taką melodyą, jaka dzisiaj w całej Europie panuje

Generałowa usiadła i zaspiewała po włosku.

Król unosił się nad włoską muzyką, której był wielkim admiratorem; mówił wiele o kaplicy syxtyńskiej, w której będąc jeszcze młodym był tak zachwycony śpiewem choralnym, że długi czas nie mógł przyjść do siebie!...

— Muzyka, muzyka—mówił z gorączkowym rumieńcem— jest to coś tak nieokreślonego, tak duchowego, że słusznie mają ci, którzy utrzymują, iż w niebie anieli muzyką się bawią...

Długi czas jeszcze rozmawiał z gośćmi swymi. Starał się być wesołym i dowcipnym, a nawet udawała mu się ta rola dosyć dobrze.

Wreszcie pożegnał obecnych, każdemu rękę serdecznie uściśnął i prosił ich, aby jutro wszyscy byli na obchodzie.

Kobiety zostały, bo Pani Krakowska nie chciała brata opuszczać tej nocy, która może będzie ostatnią życia jego...

Król pożegnał je i odszedł do swego gabinetu, aby jeszcze, jak mówił, niektóre rzeczy przygotować.

Znowu otoczyła go samotność, samotność i cisza nocy, której tak obawiał się Ignacy Potocki, aby królewskim postanowieniem nie zachwiała.

Ale noc ta miała w życiu Stanisława Augusta pozostać najpiękniejszą z jego wielu pięknych nocy, nocą prawdziwie królewską, w której podniósł się nad egoizm człowieka, i uczuł pragnienie, zajaśnieć ofiarą dla narodu...

Jakie bądź motywa na to się składały, samo ostateczne postanowienie otoczyło go już aureolą bohaterską...

Przystąpił do okna i spojrzął znowu na to szafirowe, gwiazdziste niebo, które jutro rozjaśni się dniem majowym dla tylu a tylu milionów, a dla niego...

Szybko odwrócił się od okna i zadzwonił na Ryxa.

Gdy Ryx wszedł do gabinetu, kazał mu zejść do Piatolego i obaczyć, czy tenże jeszcze nie spi.

Ryx odpowiedział, że x. Piatoli czuwa jeszcze, bo są u niego Potocki Ignacy, Sołtyk, Kołłataj i Chreptowicz.

Uśmiechnął się łagodnie na ten dowód przywiązania ludzi, którzy w pobliżu niego czuwają razem z nim tę noc... może ostatnią.

Otworzył tajne tapetowe drzwi i wazkami schodami chciał się spuścić na dół, kiedy właśnie usłyszał jakiś szmer wychodzący od dołu.

Cofnął się temi samymi schodkami na drugie piętro, aby ztamtąd głównem zejściem pójść do Piatolego.

Szmer zasłyszany i ciemność nocy rozdrażniła jeszcze więcej i tak rozkołysaną jego wyobraźnię...

Korytarz na drugim piętrze był długi, i potrzeba było przebyć go cały, aby dostać się na schody prowadzące do mieszkania Piatolego.

Od Wisły świecił księżyc i przez zapyłone szyby rzucał na korytarz dziwnie fanatyczne światło, które prawie wcale nie dochodziło do ziemi, tylko gdzieś zawieszało się w powietrzu...

To wieszanie się światła na jakichś niewidzialnych okiem atomach w powietrzu, sprawiało fantastyczne obrazy,



które jeszcze fantastyczniej ożywiała rozogniona wyobraźnia króla...

Co krok spotykał jakieś olbrzymy, które mu dalszej drogi wzbraniały; tu znowu pełzały przed nim jakieś gady i płazy; tam znowu skrzyżowane szable wskazywały na jakiś bój zacięty... a po nad to wszystko unosił się czarny kir nocy, jakby olbrzymie ramy tego nowego obrazu...

Wreszcie zbliżył się do małego słabo oświeconego okienka... Widok tego okienka uderzył go... Zkądby tam się w tej chwili światło wzięło?... Dziwne myśli przyszły mu do głowy...

Powoli zbliżył się i spojrzał ostrożnie przez okienko...

Ale przebóg, cóż tam widzi!...

Cóż to za dziwne zjawisko!.. Widzi sam siebie... siedzącego na tronie... nad nim jakaś niewiasta z potarganemi wężami... z berłem Polski nad czołem... reszty nie dozwolił mu gruby pył na szybie dojrzeć...

Chciał powoli okienko otworzyć — wtem widzenie zniknęło... a czarna, ciemna noc była przed nim i cisza grobowa...

Stanisław August stał chwilę jakby odurzony.

Po chwili wolnym krokiem wszedł do mieszkania Piatolego.

U Piatolego, jak doniósł mu Ryxe zastał wszystkich swoich celniejszych doradców. Radzili oni tutaj nad środkami ostrożności, jakieby jutro dla zabezpieczenia króla poczynić trzeba było.

Gdy król na progu się zjawił, wstali wszyscy, aby go przywitać, on zaś skinął ręką, aby się z miejsc nie

ruszali, usiadł na najbliższem krześle, jakby się czuł mocno znużonym.

Siedział tak chwilę w myślach pogrążony. Potocki pierwszy przerwał milczenie. Wspomniał coś o dniu jutrzejszym, o zapale mieszczan, o dobrych wiadomościach z ostatecznych kończyn Rzeczypospolitej, i zakończył zdaniem, że wszystkie te wieści alarmujące uważa za wymysł mal-kontentów.

— Już mi o tem dajcie pokój — odparł król — wiem, że chcecie mi odwagi dodać tylko, a nic więcej. Odwagę mam, jak widzicie, i w Bogu nadzieja, że ta odwaga nie opuści mnie w ostatniej godzinie mojej.

Tu zmienił nagle ton i zaczął dalej mówić z uśmiechem, jakby był najspokojniejszym...

Wreszcie zwracając się do Piatolego zagadnął nagle:

— Wy, którzy głęboką erudycją we wszystkich ziemskich i niebieskich rzeczach posiadacie, powiedzcie mi, czy może człowiek widzieć rzeczy nadprzyrodzone?

Wszyscy z zadziwieniem spojrzeli po sobie. Po chwili odparł Piatoli.

— Zazwyczaj utrzymują, że człowiek w pewnym chorobliwym stanie może mieć przywidzenia...

— Jak to — przerwał król — a jeżeli Bóg pozwoli uchylić się zasłonie, która jest między naszym ziemskiem okiem a światem duchów?

— Wiara uczy nas — odparł Kołłątaj — że Bóg czasem pozwala ludziom patrzeć na rzeczy tajemne, jednym, aby ich zatwardziałość skruszyć, drugim, aby ich w dobrem utwierdzić.

Król milczał chwil kilka po tych słowach biskupa.

Po chwili zaczął mówić:

— Czy wiecie, że w rodzie Poniatowskich jest tradycja, iż w ważnych chwilach rodu pokazuje się jednemu z Poniatowskich... postać białej kobiety?...

— Słyszałem o tem — odparł Potocki.

Król milczał. Wszyscy z niepokojem patrzali na niego.

Po chwili mówił znowu król dalej:

— Opowiadał lekarz nieboszczyka króla szwedzkiego, że tenże raz jednego, trapiiony jakimś wewnętrznym niepokojem, wyszedł z komnaty na korytarz, gdzie były drzwi do wielkiej sali posiedzeń ministrów. Z niemałym zadziwieniem ujrzał przez dziurkę od klucza światło. Przyłożył oko... ale cóż tam?... Oto w sali siedziała cała rada ministrów i innych dygnitarzy, a wszyscy byli bez głów!... I sprawdziło się to potem, bo wszystkich tych ścięto!...

Król skończył i zamilkł. Obecni nie chcieli podnosić tego przedmiotu, bo widać było po królu, że był rozdrażniony. Potocki tylko napomknął, że takie rzeczy zazwyczaj mówią się o nieboszczykach, którzy ich poświadczyć nie mogą, i że na karb dobrej wiary ludzi różne bajki puszczają się w obieg...

W tym sensie mówił i Piatoli, a nawet Kołłątaj radził podobne rzeczy z wielką ostrożnością przyjmować.

Król jednak obstawał żywo przy możliwości takich objawów, a w końcu dodał:

— Otóż ja sam w tej chwili widziałem rzeczy nadprzyrodzone.

I opowiedział szczegółowo swoje widzenie w dolnej sali.

Obecni słuchali go z wyteżoną uwagą, nie dla tego, jakoby samo przywidzenie miało dla nich jakikolwiek inte-

res, ale że to odkrywało przed nimi chorobliwe usposobienie króla, które jutro mogło cały obchód popsuć.

To też korzystając z pierwszej chwili ozwał się z wesołością na twarzy Kołłątaj:

— Dobry to znak, miłościwy królu, co widziałeś! Król na tronie, to znaczy, że żadna moc go nie przemoże, a biała kobieta koło niego, która podług tradycyi rodu tylko w ważnych chwilach się zjawia — to znaczy Rzeczpospolita, i razem czyta się tak: Król z narodem, a naród z królem!

Wszyscy przyklasnęli temu tłumaczeniu widzenia, a nawet król sam złożył usta do uśmiechu.

Po chwili spojrzął na zegarek i rzekł:

— Już druga godzina; trzeba jeszcze z reszty nocy korzystać... roztrząść sumienie i ułożyć testament!

Gdy król te straszne słowa wymawiał, spojrzeli wszyscy na niego z widoczną trwogą...

Stanisław August miał jednak tak spokojny uśmiech na twarzy, taka pogoda świeciła na jego czole, jakby mówił o rzeczach najobjętniejszych...

Wstał z krzesła, a powiedziawszy wszystkim dobranoc, wyszedł pewnym odmierzonym krokiem.

## XXVIII.

Stanisław August był zupełnie przekonany, że dnia jutrzejszego nie przeżyje. To też z całą świadomością grożącej mu śmierci przygotowywał się do tego.

Gdy do swego gabinetu napowrót zdążył, usiadł w krześle i myślał jeszcze czas niejaki nad owem zjawiskiem, które ujrzał był w pustej sali. Skłonny jednak do wiary w rzeczy nadprzyrodzone, uspokoił się tem, że to była owa tradycyjna w rodzie Poniatowskich biała kobieta, która mu pewnie śmierć przepowiada.

Wziął się więc z zimną prawie krwią do przygotowania się na tę wielką chwilę życia, chwilę ostatnią...

Wydobył z biurka testament, który od niejakiego czasu miał gotowy, przeczytał, dodał, przekreślił coś, jeszcze raz odczytał; potem zwinął i starannem pismem napisał na wierzchu: Moja ostatnia wola.

Potem otworzył małą szufladkę w biurku i wyjął z niej kilka listów...

Gdy je brał do ręki, ręka mu drżała, a oczy zwilżyły się...

Były to listy Wielkiej Księżnej... dzisiaj Imperatorowej...

Tkliwe były i czułe... przeczytał kilka, westchnął i złożył.

Po nich wziął list duży, starannie w kopertę włożony...  
Rozwinął kopertę... zaczął list czytać... łyżka kapąły  
mu z oczu...

Był to list jego własny, pisany niedawnymi czasy do  
Imperatorowej... list miłośny króla... pisany w takich go-  
rących wyrazach, jakich pozazdrościłby mu niejeden bohater  
dzisiejszych romansów... a list ten odesłała Imperatorawa...  
nierozpięczętowany.

Przypomniał sobie wyjazd swój do Kaniowa... po-  
bieżne widzenie się na okręcie z Imperatorową...

Nie, to już nie była Wielka Księżna! Dawno tamta  
umarła dla niego!...

Zamknął szybko szufladkę i zapragnął świeżego po-  
wietrza.

Kryta galerya prowadziła na taras zamkowy, wycho-  
dzący na Wisłę. Na ten taras udał się w tej chwili.

Na krawędzi dalekiego horyzontu zarumieniła się już  
jutrzeńka, a drżące fale Wisły odbiły jej pierwsze ru-  
mieńce dziewicze...

Kilka ptaszków już się gdzieś zbudziło, a ćwierkanie  
ich wywołało smutne echa od murów zamkowych.

Król oparł się o mur tarasu i patrzył na niknące  
gwiazdy, na wschodzącą jutrzeńkę... słuchał pomruku fal  
wiślanych i cichego szmeru, z jakim do życia dziennego  
wkoło budziła się natura...

Długo, długo stał król oparty o mur i przechodził  
myślą wszystkie ważniejsze momenty życia swego...

I cóż on tam widział w tem życiu?

Było tam trochę róż polnych, więcej kwiatów ekso-  
tycznych, ale najwięcej było cierni i chwastu!..

Były wielkie nieszczęścia i katastrofy krajowe...

Cóż o nim historia zapisze?

Były chęci jak najlepsze, ale była słabość charakteru; było serce złote, ale nie miało wsparcia od głowy...

Ale dzisiaj miała tego wszystkiego nastąpić ekspiacya, dzisiaj miał on wejść na stos ofiarny i uczynić dla narodu z siebie całopalenie...

W tej mierze można powiedzieć, był Stanisław August dzisiaj bohaterem...

Noc przebyta była prawdziwie nocą królewską... królewską co do cierni, na których zazwyczaj królowie sypiąją, jeżeli naród swój kochają, jako też królewską co do wzniosłych, prawdziwie królewskich uczuć, których najwyższą potęgą miało być — poświęcenie się...

Od Pragi wystrzeliły ku Warszawie pierwsze promienie słońca...

Król wpatrzył się zachwyconem okiem w złote majowe słońce... było to ostatnie może słońce jego życia!

Mimo wzruszenia, jakie w tej chwili przebył, pewnym krokiem wrócił do gabinetu.

\* \* \*

W gabinecie modlił się król czas niejaki... potem kazał zawołać spowiednika... wyspowiadał się... i w kaplicy zamkowej przyjął komunię świętą.

\* \* \*

Po komunii wszedł do żółtego pokoju, gdzie zastał razem zebrane kobiety, które śród płaczu i wzajemnej pociechy przesiedziały całą noc w pobliżu króla.

Stanisław August był wesoły. Opowiadał im o swoim widzeniu, i wytłumaczył to kobietom jak najlepiej.

Potem posiłek wziął mały — a tymczasem przed zamkiem królewskim poczęły się zgromadzać nie zliczone tłumy z oznakami jak największej radości!..

\* \* \*

Za godzinę uderzyły wszystkie dzwony stolicy — zawtorowały im działa i głosy radości stu tysięcy ludzi...

Plac przed zamkiem był cały zapchany...

— Król! król! — ozwały się tysięczne okrzyki.

— Król z narodem! Naród z królem!..

— Śmierć wrogom!.. Niech żyje konstytucya!

— Niech żyje ojczyzna, wolna i wielka!..

Takie głosy napełniły powietrze...

I cały orszak powoli sunął się do kościoła św. Jana, król wśród dygnitarzy wyszedł z sieni zamku...

Był trochę blady, lecz pewnym krokiem postępował.

Przy wnijsciu w ulicę Święto-Jańską ścisnął się tłum...

Król przyszedł w bezpośrednią styczność z tłumem...

Okrzyki radości, gwar, wrzawa napełniły powietrze...

Potocki, Piatoli, Sołtyk, Chreptowicz z trwogą śledzili na wszystkie strony, czy nie ujrzą ręki wyciągniętej...

Król szedł spokojnie z oczyma w niebo podniesionemi, ale twarz jego zmieniała czasem kolory...

Szerszem kołem otoczył go orszak mieszczan, zmieszany z patryotyczną szlachtą... a wszyscy patrzyli wokoło...

Wreszcie wszedł król do kościoła i zajął tron...

Patryoci i tutaj nie przestali trwożyć się o jego życie i z obawą oglądali się...



Król spokojnym był na tronie, chociaż usta jego czasem drżały jakim kurczem...

Skończyło się nabożeństwo... król przez tłum ściśnięty wrócił do zamku!

A gdy go w sali królewskiej wszyscy z gratulacjami opadli, wieszając mu Opieki Najwyższego Boga, która się nad nim spełniła, obrócił się król do posła francuzkiego, pana Descouches, i rzekł wzruszonym głosem:

— Je suis chez moi, mais je ne croyais pas y retourner; le danger, que j'ai courru, a été plus fort, qu'on ne peut l'imaginer!...

— Tak jest — odwracając się do posłów dodał po polsku — palec Boży był nademną, że dzisiaj do was jeszcze przemawiam! A teraz wierzę, że Bóg nie napróżno ocalił mnie! Cieszymy się nadzieją lepszej przyszłości!..

Wszyscy wzniesli okrzyk na cześć króla, konstytucyi i narodu... A okrzyk ten był prawdziwym akordem zgody i jedności!..

\* \* \*

Cały dzień przeszedł wśród powszechnej radości wszystkich mieszkańców miasta.

Na zamku była wspaniała i wesoła uczta.

Król był nader wesoły i wyrażał przy każdym toaście jak najlepsze nadzieje na przyszłość. A gdy się o deklaracji Imperatorowej dowiedziano, podano sobie wzajem ręce, że wszyscy bronić będą ojczyzny do ostatniej kropli krwi!..

\* \* \*

Wieczorem zajaśniała stolica milionem światel.

Niezliczone masy wyroiły się na ulice.

Wszędzie okrzyki radości i fanatycznego patriotyzmu.

Przez ulice miał król przejeżdżać, a potem udać się do teatru na przedstawienie „Kazimierza Wielkiego“, którego Niemcewicz naumyślnie na ten dzień napisał...

Niedaleko statuy Zygmunta stało dwóch nieznanomych ludzi.

— Czy tędy pojedzie król? — zapytał jeden drugiego.

— Tędy — odpowiedział drugi.

Pierwszy zwrócił się do najbliższej kamienicy, a wkrótce w małym okienku okazał się żelazny pierścień, jakby wylot kniejówki...

Od zamku zaczęły się rozstępować tłumy.

— Król jedzie! król jedzie! — tysiączne zawołały głosy...

— Król! Król! Gdzie król? — zawołała blada, przy tem małym okienku stojąca dziewczyna.

— Tam! tam, w zielonej karecie! — odpowiedział jakiś mieszczanin.

W tej chwili niedaleko zajaśniał nowy transparent...

Blada dziewczyna spojrzała na transparent i krzyknęła.

Był to obraz Rafała — Anusia poznała twarz szambelanowej... i z krzykiem upadła na ziemię.

Ludzie zbiegli się koło niej. Biedna sierota przyszła do siebie, ale jej zmysły w tej chwili były zmaczone. Nowe widzenie przesłoniło ujrzany transparent — i zdawało się biednej, że widzi Matkę boską!

— Matka boska! Matka boska nad królem! — zawołała głosem przeraźliwym.

— Matka boska nad królem! — powtórzył tłum niezliczony i uwierzył w cud, bo miał w tej chwili silną wiarę.

— Matka boska! — wołano zewsząd.

W tej chwili przejechał król w zielonej karecie...

Pierścień żelazny w małym okienku nie podniósł się ku niemu!..

\* \* \*

Król tymczasem szczęśliwie dojechał do teatru, gdzie go przyjęto nieustającym aplauzem... Szczęśliwy nie wiedział o grożącym niebezpieczeństwie, tylko powiedziano mu, że jakaś biedna dziewczyna z wielkiej radości zwaryowała...

A kiedy wśród sztuki Kazimierz Wielki mówi do magnata:

„Chociażem stary, choć ze siwą głową, pójdę z dobrymi Polakami, i albo trupem padnę, albo zostawię Polskę szanowną i niepodległą!..“

Powstał grzmiący okłask w całym teatrze, a król wychyliwszy się z łoży wołał donośnym głosem:

— Tak! tak! fora!

I bił przytem w dłonie, a parter odpowiedział grzmiącym:

— Niech żyje król!.. Niech żyje Naród!..

Była to najpiękniejsza chwila Stanisława Augusta.

Przecudownie wyglądał w łoży. Twarz jego jaśniała młodością i wielkiem szlachetnem uczuciem...

\* \* \*

Na tem urywam powieść moję, bo dalsze rysy króla mogłyby nam zatruć tę może jedyną, prawdziwie wielką dobę w jego życiu, którą starałem się bliżej określić.

Ostatni król polski dowodzi jasno przebiegiem życia swego, że w Polsce łatwiej nam o bohaterów, którzyby się w jednej chwili za nią poświęcić mogli, niżeli o ludzi wytrwałej pracy i niezłomnej, na długie lata i próby wystarczającej miłości ojczyzny...

Ten sam król, który w rocznicę obchodu konstytucyi chciał życie dać ojczyźnie... w kilka tygodni potem podpisał akces do konfederacyi targowickiej!..

Wprawdzie ratuje rozumowaniem sumienie swoje, ale laury bohaterskie już dla niego na zawsze stracone.

— „Jabym o siebie, o tę cierniową koronę nie dbał, pisze do Bukatego; ale gdy tak jest, że ani praw ani osób dobrych ratować nie mogę, tylko tym sposobem, musiałem tedy już uczynić sobie ten gwałt, żem podpisał ten nieszczęsny akces, który zapewne figurować będzie we wszystkich gazetach, a za który wiem, jakie mnie czekają wstydlive nagany!.. Nieznośną ztąd zgryzotę moję tem tylko słodzę, że inszego sposobu nie mam jeszcze dobrze czynienia krajowi i obywatelom!..“

A nawet i Kołłątaj prawdopodobnie tak samo rozumował, bo jak pisze Stanisław August: „zostawiwszy akces wyjechał do Warmbrun...“

A za parę lat ten sam król schodzi już do nader niskiego poziomu, kiedy składając koronę u nóg Imperatorowej, błaga ją tylko o zapłacenie długów, i wygodny kęs chleba dla swojej familii i służby!..

„Tout ce que je demanderais dans ce cas, pisze do Petersburga, ce serait de voir mes dettes acquittées et un sort assuré à ma famille et à mes serviteurs...”

Jakiż straszny upadek!..

Czy naród temu był winien, że ostatni król jego nie mógł upaść... wielkim?

Szambelanowa żyła szczęśliwie, bo w przepychu, z mężem swoim, a biedny malarz zginął w bitwie pod Maciejowicami.

Biedna sierota, która miała zmazać przewinę ojca swego, uiściła się z długu ocalając życie krolowi, chociaż ją ten dług własne życie kosztował.

Ale śmierć była dla niej może większem szczęściem niżeli życie, wzięte naprzód przez trybunał Boga na ekspiacją grzechów ojcowskich...

Bo za grzechy takie mają pokutować pokolenia, bo za nie trzeba więcej dać niżeli, „ząb za ząb, oko za oko...”

\* \* \*

O samym spisku na życie króla przy obchodzie trzeciego maja były w mieście najrozmaitsze pogłoski. Jedni wierzyli, drudzy przeczyli im.

Faktem jednak było, że uwieziono kilku podejrzanych ludzi, a między nimi niejakiego Zabiełłę, który utrzymywał, że w Wilnie major rosyjski Szulc ofiarował mu tysiąc pięćset dukatów za zabicie króla.

„Przy powtórnej indagacyi, pisze minister Bułhaków, zmieszał się i wyznał, że nie mając z czego żyć, wymyślił tę niegodziwość dla dostania pieniędzy...”

Niefortunne operacye wojsk polskich i spowodowany tem obrót w polityce był, zdaje się, główną przeszkodą, że sprawa tego mniemanego spisku, jak powiada Bułhaków, nie została należycie wyświeconą.

Drezno 15. czerwca 1870.

K O N I E C .

I N S T Y T U T

BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

## SPROSTOWANIE.

Na stronie 50 wiersz 5 z góry — zamiast: „August saski urodził się w Polsce“ powinno być: „August saski nudził się w Polsce.“

Na stronie 183 wiersz 3 z dołu — zamiast: „à la Pius XIV“ powinno być: à la Louis XIV.“



Wydruk z książki: "Sprostawie" (1833)

### SPROSTAWIE

Na stronie 50 wiersz 3 i 4. — „August” zamiast „August”  
urodzał się w Polsce” powinno być: „August” urodził się  
w Polsce.”  
Na stronie 183 wiersz 3 z dołu — zamiast: „6 la Iona XIV”  
powinno być: „6 la Iona XIV”

WYDAWCA











K

525